30 LAT

HENRYK RUDNICKI

NARODZINY GIGANTA

czytaj na stronie 7

ZAWÓD PREZENTER

DAWNE PROCESY

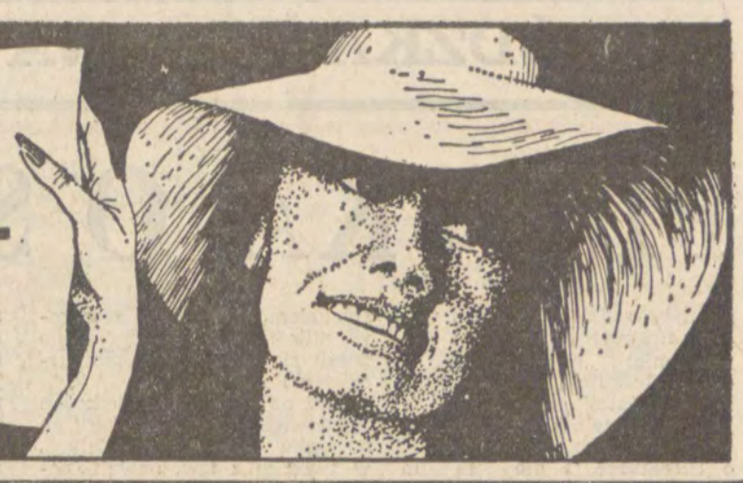

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ŁÓDŹ

ODGŁOSY

ROK XX NR 20 (1014)
15 MAJA 1977 R.
CENA 3 ZŁ

ROLNICTWO

RYSZARD BINKOWSKI

GOSPODARZ

Zanim FRANCISZEK KWIATKOWSKI dorobił się czwórki dzieci, dwóch Honorowych Odznak – Województwa Łódzkiego i Województwa Miejskiego Łódzkiego, czterech samochodów i tego pięknego, estetycznego obejścia, po którego dokładnym obejrzeniu każda komisja bez wahania przyznałaby „Złotą Wiechę", minęło ponad trzydzieści lat i sporo wody upłynęło w Nerze. I trzeba przyznać, choć zabrzmi to frazesowo, iż były to lata wyrzeczeń i ciężkiej harówy. Bo też zaczynał Kwiatkowski niemal od zera. Później, w 46 roku, trochę mu się powiodło: prowadził własny sklepik i skup zboża i mąki w Giemzowie. Ale zaraz potem splajtował; ledwie bowiem do spółki z byłym ministrem Czechowskim uruchomili młyn w Karpinie, a już państwo przejęło ten młyn na własność.

Jakeśmy zdegustowali co nieco śliwowicy, Kwiatkowski nabrał wigoru i wyjawił rezolutnie, że idąc kiedyś pod słońce, ujrzał nagle wysmukłą pierś Feliksy, a że byli sąsiadami, przez miedzę, to się szybko oswoili, no i pobrali. Żona była o sześć lat młodsza.

— Ale czy on coś stracił przy mnie? — pyta Feliksa. — **Pan popatrzy, twarz u niego bez zmarszczki, tylko włosy nieco posiwiały. Ale czyż w takim gospodarstwie można żyć bez trosk?**

Franciszek Kwiatkowski ma czerstwą, zdrową cerę, błyszczące młodzieńczo ciemne oczy, jest szczupły i bardzo żywotny, przeskoczyłby jeszcze niejednego miastowego trzydziestolatka.

Feliksa, o pełnych kształtach blondynka, trzyma się prosto, mówi z dostojeństwem i porusza się statecznie po obejściu, świadoma tego, jak wiele dorobili się swoją wieloletnią pracą.

— Weseliska zawsze były u nas huczne — stwierdza — **ale mimo to można zrobić jakieś porównanie, wykazać różnice. Na naszym weselu było 60 osób, jechaliśmy autem, a za nami gnały na złamanie karku bryczki. Tańcowało się w izbie. Na weselach naszych dzieci bywało po 120—150 osób, wszyscy w samochodach, a bawiono się w salach, bo są teraz remizy i domy ludowe.**

Kwiatkowski namyśla się, dotykając końcami palców równo przyciętego, podczernionego hiszpańskiego wąsika.

— Pyta pan, jak się zaczęło to prawdziwe gospodarowanie? Ano, zaczęło się od schedy Feliksy. Dostała w Kalinie od ojca 4 morgi, na których zaczęliśmy uprawiać ogórki i truskawki. Jak się uzbierało trochę grosza, kupiłem tutaj, sześć kilometrów na zachód od Brójec, kawał szczerego pola. Konkretnie — 10 morgów ziemi od dziedzica, Stanisława Żelechlińskiego, dworek wtedy tylko po nim pozostał. To było w 48 roku. Ale dopiero w 56 roku, jak się urodziła Halinka, najmłodsza z naszych dzieci, która zresztą już ukończyła maturę i wyszła za mąż w Modlicy, tak, tak, za rolnika, rzecz jasna, postawiłem w tym szczerym polu stodołę.

— Pamiętam — wtrąca Feliksa — **jakeśmy przewozili drzewo. Na zakręcie wóz nie mógł się zmieścić, byłby się złamał i troje dzieciaków omal nie wpadło pod koła. Bo dzieci wieźliśmy razem z drewnem, nie było ich gdzie zostawić...**

Następnie Franciszek Kwiatkowski pobudował budynek mieszkalny wraz z gospodarczym od zachodniej części podwórza, a że było za mało, wzniósł więc taki sam od strony wschodniej.

Dziś ma 57 lat i myśli o nowym domu, takim piętrowym, z balkonami.

— No, bo kiedyś — śmieje się — **nie planowałem tak, jak zrobiłbym to dziś. Ciasno się robi. Kiedy zaczęliśmy budować chlewnię, jedna ściana zaszła na stodołę. Ta stodoła jest drewniana, ale mocna i niestara, powiązaliśmy więc ją i posługując się lewarami, wsadziliśmy na drewniane rolki i przesunęliśmy do tyłu, na nowy fundament.**

Na chlewnię Kwiatkowski wziął 600 tys. kredytu, ale cały obiekt kosztuje półtora miliona. Jestem pewny, iż u rolnika indywidualnego drugiej takiej chlewni nie znajdzie w całym województwie miejskim.

2.

Oprócz stodoły, wszystkie zabudowania u Kwiatkowskiego wzniesione są z czerwonej cegły: garaże, magazyny, piwnice, stajnia, obora, pomieszczenia mieszkalne, strychy. W stodole znajduje się elektryczna sieczkarnia i młockarnia, ale między

Dalszy ciąg na str. 3

SPORT

Stanisław Cyganiewicz Zbyszko

ADAM LEWASZKIEWICZ

SŁAWNI SIŁACZE

Kawiarnia w śródmieściu Łodzi. Przy stoliku siada starszy pan popijając herbatę przegląda gazetę. Przy sąsiednim stole rośli młodzieńcy próbują swych sił „na rękę". Starszy pan wybiera najsilniejszego i proponuje zmierzyć swe siły. Zaskoczenie, uśmiechy. Rozpoczyna się niecodzienna walka. Z jednej strony dwudziestokilkuletni młodzieniec z drugiej 82-letni starszy pan. Walka nie trwa długo. Zwycięża... starszy pan. A był nim sławny niegdyś mistrz Europy LUDWIK POPŁAWSKI.

Dalszy ciąg na str. 10

FILM

MARIA KORNATOWSKA

KINO WŚRÓD KWIATÓW

Czytaj strona 8

PLOTKA O SYMPOZJUM

Gdyby sądzić o ludziach według strawestowanego tu powiedzenia: „powiedz mi o czym plotkujesz, a odpowiem ci, jaki jesteś" wyszłoby na jaw, że czytelnik w kraju nad Wisłą lubi sobie poplotkować o literaturze. I nie są to pierwsze lepsze, błahe plotki — kto z kim w jakich układach, i nie tylko o tym, który klucz otwiera tę czy inną powieść współczesną. Plotkuje się także o sprawach bardziej fundamentalnych — że oto powieść już dogorywa, a co naprawdę nowoczesnego wpada nam w rękę jest już „antypowieścią". Najwidoczniej więc żyjemy sprawami literatury. Tacy jesteśmy!

Ale dlaczego zaraz inwektywa — plotkarze? Bo, jak się dowiedziałem, czytelnicy znad innych rzek o „antypowieści" ledwo co słyszeli. Nawet nad Sekwaną, mimo iż właśnie tam, w przedmowie do jednej z książek Natalii Sarraut, jeszcze przed wojną, użył tego określenia sam Sartre. Ale termin w Paryżu nie zrobił kariery i uległ całkowitemu zapomnieniu. Cóż za przykrość dla nas, którzy lubimy przy kawiarnianym stoliku dzielić się nowinkami z Zachodu! Zawsze pierwsi po Paryżu.

Skąd się o tym (oczywiście też z przykrością) dowiedziałem? Z sympozjum naukowo-literackiego, urządzonego z okazji Łódzkich Dni Literatury, p.n. „Powieść — kryzys czy rozwój?" A ponieważ na tej imprezie szerszą publiczność (oprócz młodzieży polonistycznej) reprezentowało niewielkie grono osób, poczuwam się do miłego obowiązku przekazać pozostałym zainteresowanym to czego w ich imieniu pilnie wysłuchałem, abyśmy — szeregowi miłośnicy literatury — nie gubili się więcej w plotkarskich domysłach.

Otóż najsilniejsze niepokoje o los powieści doszły do głosu na początku lat pięćdziesiątych, w związku z tzw. nową powieścią francuską. Ten awangardowy kierunek, sięgający swoimi korzeniami do czasów przedwojennych (niektórzy uważają, że do początków wieku) zakwestionował dotychczasowe formy powieści, którą dziś nazwalibyśmy klasyczną albo tradycyjną. Nie znaczy to wszakże, że i obecnie — zarówno u nas, jak i na całym świecie — przestały ukazywać się i mieć powodzenie powieści w dawnym stylu.

Główne nurty dyskusji, prowadzonej przez literaturoznawców i pisarzy na łódzkim sympozjum sprowadzały się niejako do dwóch spraw kontrowersyjnych — czy te nowe formy można jeszcze zaliczyć do gatunku powieściowego, jako stanowiące konieczną (a przynajmniej przydatną) modyfikację powieści klasycznej, czy może raczej tylko do tych nowych form należy przyszłość gatunku...

Dyskusja (mówiąc między nami, czytelnikami) miała też swoje mielizny i przez jedną z nich ośmielę się na swoją rękę przebrnąć, pozostałe przezornie omijając. Odzywały się mianowicie głosy, co prawda dość nikłe, że pojawianie się dziś powieści utrzymanych całkowicie w dawnej konwencji i ich poczytność przemawiają za żywotnością tradycyjnego nurtu. Zabrakło mi głosu wprost replikującego, że sztuka to nie towar i że — dla przykładu — na „murowane" powodzenie mogłyby liczyć dziś współcześnie powstające wiersze w poetyce Pola czy Syrokomli, a nie jest to przecież równoznaczne z możliwościami wyrażenia w tej poetyce nowych obszarów doznań i rozszerzenia skali wrażliwości odbiorców. A to by właśnie znaczyło — rozwój, czyli przyszłość.

Ale byłby to poniekąd odrębny temat: w jakiej mierze „nienadążanie" świadomości za przemianami życia społecznego stanowi pożywkę dla utrzymywania się, albo lepiej, dla wegetacji form przestarzałych i w jakiej mierze istnienie tych starych form opóźnia przemiany w świadomości, rozumianej także jako wrażliwość estetyczna społeczeństwa.

Ale — do rzeczy, czyli do kwestii, czym jest owo „stare i nowe" w odniesieniu do powieści? Na sympozjum dyskutanci, bez zauważalnych dla profana rozbieżności zdań (a może to jedna szkoła polonistyki?) uprzytomnili zebranym główne cechy charakterystyczne „nowej" powieści: rozbicie anegdoty i coraz wyraźniejsze traktowanie fabuły jako pretekstu do autorskiej wypowiedzi, ucieczka w eseistykę i wzrastające zainteresowanie autorów samą problematyką swojej twórczości (autotematyzm), zmiana roli bohatera, dawniej objaśniającego doskonale poznawalny świat i zmiana funkcji dialogu.

Co mogło się wydać postronnemu bardzo znamienne (choć wcale, przyznam się, nie zaskakujące), ogromna większość dyskutujących, szukając egzemplifikacji dla swoich tez, powoływała się głównie na twórczość Tomasza Manna, na „Czarodziejską górę", „Doktora Faustusa" oraz „Józefa i jego braci". Wspominano też o jego eseistyce. Widocznie więc doświadczenia pisarskie tego wielkiego twórcy zachowują ważność i dzisiaj, mogą służyć jako drogowskaz. Tym ciekawsze to, że przecież Mann, jak mi się wydaje, przykuwa uwagę czytelnika, zmusza go do niemałego wysiłku, nie tylko stosowanymi zabiegami formalnymi, ile przede wszystkim stroną filozoficzno-poznawczą swoich dzieł. I jeśli co stanowi dla czytelnika trudność, to właśnie meritum, jeśli tak wolno określić. Znaczyłoby to, że — rozdzielając tu sztucznie te pojęcia — forma jest ściśle przyporządkowana treści.

Może nie dopowiedziano w dyskusji, że u Manna fabuła, mimo iż zbudowana z tak wielu elementów autobiografii, jest właśnie tylko pretekstem do pokazania pewnych prawidłowości i prawd — jak niegdyś mawiano — „typowych". I może warto tu przypomnieć credo pisarza, wypowiedziane w bardzo dowcipnym eseju („Bilse i ja") w związku z „Buddenbrookami" i z całkiem mierną powieścią płaskiego opisywacza zdarzeń, który doigrał się procesu sądowego o zniesławienie. Mann zwraca uwagę na zupełną bezprzedmiotowość kwestii, czy fabuła czerpie wątki wprost z życia, czy jest zapożyczona z innych utworów, czy wreszcie stanowi produkt czystego zmyślenia. Ważne jest jej przetworzenie: „Nie umiejętność zmyślania wątków i postaci, lecz dar tworzenia dusz stanowi o talencie pisarza" i dalej... „rzeczywistość przecenia stopień, w jakim pozostaje ona rzeczywistością dla twórcy, który ją sobie przyswaja". I jeszcze dalej: „Nie mówcie: „To jestem ja, to jest on". To tylko wypowiedzi pisarza, dla którego byliście pretekstem".

Pozwoliłem sobie na tak obszerne przytoczenia, ponieważ wydaje mi się, że w dyskusji, wśród bardzo istotnych wypowiedzi na temat struktury współczesnego dzieła powieściowego w porównaniu z powieścią klasyczną brakowało mi trochę egzemplifikacji z dziedziny spraw „zmyślenia i prawdy" i psychologii aktu twórczego. Po prostu pisarze nie zwierzali się nam, jakie nowe środki i sposoby okazują się im najbardziej przydatne w kreowaniu dzisiejszych bohaterów. I tak, sympozjum zamiast dwugłosu pisarza i krytyka, stało się raczej monologiem tego ostatniego.

Pomimo tego, jako miłośnik powieści, chętnie wierzę na słowo referentce sympozjum, profesor Teresie Cieślikowskiej, że powieść jest gatunkiem tak elastycznym i pojemnym, iż ciągle jest jeszcze podatna na zmiany, które niesie z sobą czas. To znaczy, że powinna jeszcze wydawać dzieła wybitne.

Poczytamy, zobaczymy...

JERZY KWIECIŃSKI

FILM W SZKOLE

IV Ogólnopolski Festiwal Filmów Dydaktycznych i towarzyszące mu Sympozjum włączono w obchody Łódzkiej Wiosny Artystycznej, dopełniając tym samym jej tegoroczny filmowy profil. IV FFD, kontynuując tradycje trzech poprzednich, odbywał się jednak w nowych ramach organizacyjnych i zapowiedział przeobrażenia natury merytoryczno-programowej.

1.

Idea tej imprezy zrodziła się przed laty wśród członków Polskiego Stowarzyszenia Filmu Naukowego, a Łódzki Oddział PSFN w trakcie trzech pierwszych Festiwali i Sympozjów pełnił funkcję Komitetu Organizacyjnego. Tak więc dzięki finansowym dotacjom zainteresowanych resortów, pomocy łódzkiej instancji partyjnej i administracyjnej oraz społecznikowskiej pasji grupy pracowników nauki, kinematografii oraz nauczycieli z Łodzi, zrodziła się impreza której celowość trudno dziś przecenić. Zespołowi ludzi, o których tu mowa, należy zatem złożyć dziś wyrazy serdecznego podziękowania.

Od tego roku Festiwal Filmów Dydaktycznych włączony został do programu imprez, kierowanych przez centralne Biuro Festiwali i Imprez Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów, zyskując tym samym nowe ramy organizacyjne. Impreza odbywała się pod protektoratem Ministra Oświaty i Wychowania — Jerzego Kuberskiego, i zastępcy Ministra Kultury i Sztuki — Mieczysława Wojtczaka i Sekretarza KŁ. PZPR — Genowefy Adamczewskiej.

Od IV FFD impreza ta zmieniła także swój profil. W latach poprzednich w orbicie zainteresowań, zarówno organizatorów, jak i uczestników festiwalu i sympozjum znajdował się zarówno film dydaktyczny dla szkół jak i wyższych uczelni. Tego roku FFD koncentruje swoją uwagę na problemach filmu szkolnego. Stało się tak na skutek stanowiska Ministerstwa Nauki, Techniki i Szkolnictwa Wyższego, które nie wyraziło zainteresowania dla tej imprezy, upatrując w działalności Ośrodka Postępu Technicznego w Katowicach i w jego filmowych przeglądach główne miejsce dla problemów audiowizji w wyższych uczelniach. Dotychczasowe doświadczenia każą jednak z niepokojem myśleć o przyszłości akademickiego filmu dydaktycznego. Dwa pokazy filmów dla wyższych uczelni oraz przyznaną w tej kategorii nagrodę na IV FFD trzeba chyba już, z ogromnym żalem, traktować jako **gest pożegnalny wobec dotychczasowej tradycji łódzkiego Festiwalu.**

Odbywał się on w tym roku pod hasłem **„Film dydaktyczny a reforma systemu edukacji narodowej"** i zainaugurował go wykład **„Film szkolny a problemy reformy oświaty w Polsce"**, wygłoszony przez ministra Oświaty i Wychowania — **Jerzego Kuberskiego.** Część sympozjalna IV FFD miała szczególnie interesujący program. W 28 łódzkich szkołach odbyły się pokazowe lekcje z filmem dydaktycznym, co stało się zaczynem dyskusji o kształcie i funkcjach tego typu filmów, dyskusji kontynuowanej na drugi dzień w sekcjach tematycznych. Udział łódzkiego środowiska nauczycielskiego w określeniu poziomu i pożytków płynących z tych lekcji i dyskusji ocenić trzeba bardzo wysoko. I choć strona organizacyjna wymagać będzie w przyszłości jeszcze dopracowania, indywidualny wkład nauczycieli łódzkich szkół w nadanie odpowiedniej rangi tej imprezie zasługuje na duże uznanie i podziękowanie. Składamy je na ręce Kuratora Oświaty i Wychowania m. Łodzi — dra **Tadeusza Podwysockiego**, pełniącego jednocześnie funkcję dyrektora IV FFD.

W tym miejscu należy również zaapelować do samych realizatorów filmów dydaktycznych o to, aby w przyszłości ich udział w Sympozjum był większy niżeli miało to miejsce w roku bieżącym. Toż przecież wnioski z dyskusji tych płynące do nich przede wszystkim są kierowane. A wniosków tych jest jeszcze bardzo wiele — dotyczą one zarówno chwili obecnej, jak i nadchodzącej reformy systemu oświaty. Przynosi ona nowe potrzeby związane z ilością, tematyką i kształtem filmów dydaktycznych, związane są one także z trybem rozpowszechniania tych filmów.

Wiele jest jeszcze do zrobienia, lecz zamanifestowane na Festiwalu i Sympozjum stanowiska dwóch głównych partnerów — kierownictwa Ministerstwa Oświaty i Wychowania i Ministerstwa Kultury i Sztuki, każą optymistyczniej niż kiedykolwiek patrzeć na przyszłość tego ogniwa jakim jest film, nie tylko zresztą dydaktyczny w ogólnym systemie kształcenia i wychowania. Jako ramowy program działalności w zakresie interesującego nas tu problemu można uznać, odczytany na zakończenie IV FFD, a przygotowany przez zespół ekspertów, **„Raport na temat filmu dydaktycznego i potrzeb z nim związanych".** Za dwa lata uczestnicy łódzkiej imprezy do tego raportu odnosić będą zapewne swoje spostrzeżenia i uwagi.

2.

Filmy prezentowane w trakcie pokazów konkursowych IV Festiwalu charakteryzowały się ogromną różnorodnością tematyczną — już choćby ze względu na swoje przeznaczenie: dla różnych przedmiotów nauczania w odmiennych typach szkół. Próba bardziej wnikliwej ich oceny, która byłaby zarazem spojrzeniem ogólnym, z góry skazana jest na niepowodzenie. Liczba filmów przekraczała 60. Naturalne, że w takiej sytuacji najlepszym wyjściem jest pisać o filmach najsilniej pozostających w pamięci i to ze względu na ich wartościowość, jak i zdecydowaną niechęć, jaką wywołują. Więcej miejsca musi być poświęcone grupie filmów „wychowawczych", których założeniem jest nie rozwiązywać problem, lecz go prezentować i czynić przedmiotem dyskusji.

Drugą grupę stanowią filmy już w swej naturze mniej podlegające rozważaniom pozamerytorycznym — dotyczą one konkretnego zagadnienia — ściśle umiejscowiając się w programie nauczania. Jeżeli więc chodzi o tę ostatnią grupę, to ocena należących do niej filmów musi polegać przede wszystkim na określeniu stopnia wykorzystania specyficznie filmowych środków do opracowania określonego tematu, przy wzięciu pod uwagę jasności i precyzji wykładu.

Szczególnie udane były filmy dotyczące zagadnień fizyki, np. **„Fale czy cząstki" Rohdana Mościskiego** i **„Energia wewnętrzna i jej zmiany" Józefa Arkusza** (film, tak jak i poprzedni, zrealizowany w WFO) oraz większość filmów przyrodniczych. Na przeciwległym biegunie umieścić można nagrodzony Srebrnym Światowidem film **Edmunda Szaniawskiego „Polacy w Rewolucji Październikowej"**, ze względu na — w znacznym stopniu niepełne — potraktowanie tematu charakteryzujące się zarazem wyjęciem problemu z szerszego kontekstu historycznego. Przykładem zdecydowanie nie udanej próby filmu o tematyce literackiej jest — krytykowany przez nauczycieli uczestniczących w Festiwalu — film **„Szlakiem bezdomnych" Tadeusza Junaka.** Fabuła filmu stanowi zlepek fragmentów adaptowanych z różnych utworów Żeromskiego, wybranych pod kątem ukazania problemu antagonizmów klasowych występujących w jego dziełach. Na domiar złego aktorzy odtwarzający poszczególne postaci dobierani są według pokrewnego klucza interpretacyjnego. Fakt, że na przykład Judyma i Cezarego Barykę kreuje ten sam aktor, stanowić ma potwierdzenie poglądu o ciągłości myślowej twórczości pisarza, przejawianej w konstrukcji bohaterów. Wydaje się, że tego typu zabiegi są interpretacyjnym nadużyciem. Czy zresztą w szkole (i nie tylko w szkole) potrzebna jest tak „ułatwiona" literatura?

Film — **Ryszarda Rydzewskiego „Wiosenny spacer"**, który w dyskusjach stał się obiektem powszechnej adoracji, zwraca uwagę na bardziej charakterystyczne cechy filmu posługującego się fabułą. Tematem filmu jest — najogólniej mówiąc — erotyzm wieku maturalnego, występujący tam w dwu postaciach: prywatkowo-negatywnym i poetyczno-pozytywnym. Bohater historii cierpi na brak partnerki, poza tym jest sympatyczny. Ale pierwsza cecha jego sytuacji życiowej określa go całkowicie. W trakcie prywatki, gdy pepsi-cola uderza mu do głowy, w tramwaju, na ulicy — wszędzie poszukuje sytuacji od dawna oczekiwanej. Wreszcie poznaje przystojną intelektualistkę, z którą udaje się na tytułowy spacer do parku. Przez pół filmu kamera błądzi po twarzach bohaterów, kwiatkach, listkach i ptaszkach. W rezultacie bohater dokonuje nieoczekiwanie zamachu na cześć towarzyszki spacerów. Napotykając na zdecydowany opór, w dość ostrych słowach odprawia ją w zarośla, gdzie zrozpaczona wpada w ręce parkowych chuliganów. Czy słyszący odgłosy szamotaniny bohater, zatrzymany na stop — klatce, pomoże dziewczynie, z którą połączyła go nić prawdziwej (filmowej) sympatii — pozostaje dla widza zagadką. Pozornie „ostry" i „życiowy" film jest w rezultacie typowym przykładem uproszczonego dydaktyzmu. Nieokiełznane instynkty bohatera uwolnione zostały tylko po to, aby na lekcji wychowawczej można je było na powrót wpędzić w podświadomość licealisty.

Przykład tego filmu zwraca uwagę na to, że jeżeli film dydaktyczny stawia sobie zadanie prowokowania do dyskusji, to nie powinien pokazywać walki licealnego diabła z aniołem. Zwłaszcza, jeśli obydwaj są sztuczni. Film przyjęty został z aprobatą. Tylko jeden z dyskutantów uważał, że problem jest wydumany i proponował jako odtrutkę na uczuciowe stressy młodzieży film **„Ja chodzę, ty chodzisz"** o kalekach w klinice prof. Weissa w Konstancinie. Sądził że kontakt z prawdziwym nieszczęściem pozwala odróżnić problemy ważne od błahych. Pozwolimy sobie nie podzielać tego poglądu.

Ze zdziwieniem i nawet niechęcią przyjęty został najmądrzejszy, naszym zdaniem, film Festiwalu **„Dzieci" Wiesława Helaka i Wojciecha Maciejewskiego.** Pierwsza część akcji rozgrywa się w przedszkolu. „W lesie chodzą mrówki, latają motylki i komary" — mówi wychowawczyni. „Kto z was kim chciałby być?" — pyta dzieci. Wojtuś chciałby być motylkiem, bo motyl jest kolorowy, Piotruś komarem, bo gryzie, a Ania mrówką, bo jest mała. Następnie w przedszkolnym ogrodzie odbywa się zabawa — inscenizacja Maciuś jest motylem, Pawełek komarem, a reszta dzieci to mrówki. Motylka przygniata gałąź, komar nie może mu pomóc. Ale mrówki uwalniają Maciusia. „Powiedzcie dzieci, kim chciałybyście być teraz?". Wszystkie dzieci chciałyby być mrówkami, bo jest ich dużo i pracują. Druga scena odbywa się już w szkole, w klasie. Trwa właśnie ad nad muchą. Mucha nie pracuje, jest darmozjadem, trzeba ją skazać. „A czy wśród ludzi są darmozjady?" — pyta nauczycielka. Oczywiście — nie pracują, żyją z renty mamusi, wylegują się w łóżkach. „To bardzo źle" — mówią dzieci. Trzeba wytłumaczyć darmozjadom, że robią brzydko i zmusić do pracy. „A jak wy, dzieci będziecie pracować?" — „Uczciwie rzetelnie, dla dobra kraju" — odpowiadają. Krzyś chce być kierowcą: „Wielu kierowców oszukuje, ale ja będę pracował uczciwie" „Niektórzy dają koledze pół litra aby za nich pracował" — mówi Piotrek. „A dlaczego dzieci chcecie pracować uczciwie?" — „Żeby sobie coś solidnego kupić, żeby kupić Fiata". Lekcja skończona. Wynik dydaktyczny wspaniały. Szkołą zostaje pusta; — dzieci już poszły. Kamera rejestruje pusty korytarz, gdzie słychać jeszcze echo wierszyków o rzetelnej pracy i nie opuszcza szkoły. Przecież wszyscy wiedzą, co jest poza szkołą.

Ten mądry, ironiczny film pozostał niezrozumiany. Ktoś proponował tylko, aby uczyć szacunku dla pracy na przykładzie filmu przyrodniczego **„Gniazdo wijacza"**, w którym oglądamy budowę gniazda przez afrykańskiego ptaka.

3.

Przykład odbioru tego ostatniego filmu wskazuje na problem bardzo już ogólny. Wiadomo, że niedostateczne wykorzystanie filmów w procesie dydaktycznym wynika ze zbyt małej liczby kopii i niewystarczającego wyposażenia szkół w aparaturę projekcyjną. Ale wydaje się, że sprawy techniczne nie są ostatecznie najistotniejsze. Aby móc właściwie korzystać z filmu który nie jest tylko rozszerzeniem podręcznika, ale samoistnym środkiem dydaktycznym, konieczna jest najpierw znajomość języka filmowego w takim stopniu, który umożliwia jego właściwe zrozumienie, ocenę i interpretację. Bowiem uzyskać dobre odpowiedzi od uczniów jest łatwo również na źle zadane pytania. Tylko, że wtedy będą to odpowiedzi dobre, ale nieprawdziwe.

EWA NURCZYŃSKA
PAWEŁ JĘDRZEJEWSKI

INFORMACJE

„RODOWÓD"

W sali Domu Środowisk Twórczych przy al. Kościuszki 33 w dniu 16 maja br. o godz. 19 zostanie zaprezentowany esej poetycki Marii Siwińskiej, Konrada Frejdlicha oraz Mieczysława M. Szargana pt. „Rodowód", w którym wiersze Andrzeja Biskupskiego, Tadeusza Chróścielewskiego, Jana Czarnego, Stanisława Czernika, Konrada Frejdlicha, Tadeusza Giegiera, Jana Huszczy, Jerzego Jarmołowskiego, Antoniego Kasprowicza, Macieja J. Kononowicza, Zbigniewa Kosińskiego, Mieczysława Kucnera, Romana Łobody, Wacława Mrozowskiego, Mariana Piechala, Igora Sikiryckiego, Mieczysława M. Szargana, Bernarda Sztajnerta, Jana Sztaudyngera, Jerzego Waleńczyka, Jerzego Wawrzaka, Jerzego Wilmańskiego i Józefa H. Wiśniewskiego recytować będą Teresa Makarska, Marek Barbasiewicz, Piotr Krukowski, Janusz Peszek oraz Andrzej Żarnecki.

Wystąpią również: Elżbieta Podolak-Mikołajczak — flet i Jerzy Żak — gitara klasyczna. Całość reżyseruje — Andrzej Żarnecki.

OBIECUJĄCA PREMIERA W „PSTRĄGU"

Najpopularniejszy z łódzkich teatrów studenckich „Pstrąg" w ostatnim czasie wystawił nową premierę pt. „W poszukiwaniu koloru". Scenariusz i reżyserię przygotowała **Krystyna Piaseczna.** I jej to właśnie tak zasłużony niegdyś dla akademickiego ruchu scenicznego „Pstrąg" zawdzięcza, że teatr ten powoli zaczyna wydobywać się z regresu po odejściu starej generacji „pstrągowców" z Janem Skotnickim na czele. Zaprezentowane przedstawienie jest bardzo ambitne w sensie wymowy społecznej, szybkie i zwarte reżysersko, sprawne aktorsko oraz pomysłowe scenograficznie i muzycznie. Wydaje się, że przedstawieinie to jest... najlepszym przedstawieniem „studenckim" bieżącego sezonu.

K. PENDERECKI WŚRÓD NAGRODZONYCH W WIEDNIU

W gmachu Austriackiej Akademii Nauk w Wiedniu odbyło się uroczyste wręczenie nagród im. Gottfrieda von Herdera. Wśród siedmiu laureatów tegorocznej nagrody, wybitnych przedstawicieli nauki i sztuki różnych krajów europejskich znalazł się znakomity polski kompozytor — Krzysztof Penderecki. W czasie uroczystości chór austriackiego radia i telewizji wykonał „Stabat Mater" K. Pendereckiego.

DALSZY CIĄG „ŁEZTERNU"

Estrada Łódzka we wrześniu na własnej scenie (ul. Narutowicza 28) wystąpi z teatralną prapremierą komedii Feriduna Erola i Romana Gorzelskiego pt. UŚMIECH SZERYFA Z HOLLYŁODZI". Zresztą nie będzie to prapremiera w pełnym tego słowa znaczeniu, bo znamy ją z telewizji. Ponieważ sztuka ta w wersji z „małego ekranu" podobała się recenzentom i widzom — autorzy postanowili adaptować ją na scenę teatralną.

Jak pamiętamy jest to dalszy ciąg przygód bohaterów (niektórych) popularnego „ŁEZTERNU". W „Uśmiechu szeryfa z Hollyłodzi" występują znane postacie takie jak: uosobienie nieśmiertelnego zła — Szwarc, Irlandczyk, O'Ko, Szkot polskiego pochodzenia Mac Owiec i in. Sztukę tę opracował muzycznie P. Hertel.

POLSKIE WIERSZE W RADZIECKIM MIESIĘCZNIKU

Ostatni numer radzieckiego miesięcznika „Inostrannaja Litieratura" przynosi przekłady wierszy Jerzego Harasymowicza i Tadeusza Nowaka. Wybór poprzedza esej o wybitnych polskich poetach napisany przez Natalię Astafiewą.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), GRAŻYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego) JERZY WILMAŃSKI, (sekretarz redakcji) Stale współpracują: ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, ANDRZEJ MAJER, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC.

ROLNICTWO

GOSPODARZ

Dalszy ciąg ze str. 1

nimi wisi na słupie „młockarnia zasadnicza", czyli cep ze starym, wyślizganym bijakiem. W garażach stoją: Ursus 330, koparka elewatorowa dwurzędowa, kosiarka, beczkowóz, który samoczynnie wciąga i wypycha gnojówkę oraz inne narzędzia rolnicze. Ponadto dwa samochody marki „Żuk", „Fiat 125 p" i starego typu „Warszawa". Na podwórzu znajduje się zabita na głucho studnia, ponieważ Kwiatkowski, nie licząc się z kosztami (inwestycja kosztowała 60 tys. zł), doprowadził z odległego rurociągu — wodę do gospodarstwa.

Ale największym dla niego osiągnięciem jest wzniesiona kosztem półtora miliona złotych chlewnia. Budowę rozpoczęto w maju ubiegłego roku, pracowano także w zimie, często po siedmiu fachowców na raz, toteż po roku będzie można wprowadzić świniaki. To także zasługa kierownika robót, Mariana Sadowskiego. Obecnie wykończeniowe roboty spawalnicze prowadzi też świetny fachowiec, Czesiek Hibner.

Na strych wchodzi się jeszcze po drabinie. Świeża posadzka, czyściutko, weselisko można urządzić. A że chlewnia ma wymiary 11 x 40 metrów, to na dole i na górze od biedy można by pomieścić dwadzieścia M-4. I bez przesady, w tej chlewni jest położony parkiet i zainstalowane centralne ogrzewanie, a chodniki będą wyłożone terrakotą, na ścianach zaś pociągnięta lamperia. Ale dopuśćmy do głosu Kwiatkowskiego, bardzo się ożywił, oprowadzając mnie po chlewni.

— **Przyznam szczerze** — wyjaśnia — **że ja tę chlewnię podpatrzyłem, chociaż nie powiem gdzie, ale jednocześnie udoskonaliłem. Te pniaki, dębowe i grabowe, przyciąłem nieco dłuższe, żeby czasem świniakom nie zachciało się ich wyryć. Ale nie ma obawy. Zalewa się je lepikiem, wierzch jest posypany piaskiem, dzięki czemu łatwiej zeskrobać pozostały lepik. Potem lepik zastyga i świnie mają suchy „parkiet".**

Na strychu znajduje się zbiornik, do którego wpompowuje się serwatkę. Będę ją dowozić „Żukiem" z mleczarni w Kraszewie, 1000 litrów dziennie wystarczy, bo w chlewni zamieszka około 300 „lokatorów". Po obu stronach chodnika znajdują się koryta, na czas ich napełniania karmą przednią ścianę kojca odsuwa się do wewnątrz, dzięki czemu świnie nie przeszkadzają sobie i karmiącemu. Tylna ściana kojca jest również ruchoma, składana. Pod ścianą podłoga jest wyłożona posadzką. Świniaki, wbrew temu, co się o nich mówi, nie paskudzą wszędzie, tylko właśnie pod ścianą przychodzą robić kupkę. Kiedy zbierze się trochę odchodów, prosiaki zamyka się w części suchej, a posadzkę spryskuje wodą, która wraz z kałem spływa przez otwory w blasze nakrywającej kanał i dostaje się ściekami do dwóch zbiorników o wymiarach 8 x 6 m, usytuowanych poza chlewnią.

W przedniej części chlewni zainstalowano mieszalnię pasz. Będą jeszcze drzwi, które zamknie się na czas przygotowywania karmy, żeby świniaki się nie denerwowały. Pasza treściwa dostaje się do mieszalni przez otwór ze strychu, stamtąd też spływa serwatka. Mieszalnia ma urządzenie do wydmuchiwania płynnej karmy, która dostaje się wprost do wózka paszowego, zawieszonego na szynie pod sufitem. Wózek popycha się i karma spływa wężem do określonego stanowiska.

— Kiedy ta chlewnia da czysty zysk?

— **Jeśli w ciągu roku dobrze pójdą dwa rzuty, to zaciągnięty kredyt mam spłacony.**

— Wszystko szło gładko, nie było kłopotów z materiałami?

— **Były. Urząd Gminy dał zlecenie na 40 m sześc. drewna na podłogi, którego nadleśniczy z Kaletnik nie chciał honorować. Wysłał mnie 70 km stąd, aż za Głowno. Wydział Rolnictwa w Łodzi musiał interweniować. Przez ten kaprys nadleśniczego wynikły dwa miesiące zwłoki...**

Zwracam uwagę na stertę dębowej kory. Nie pójdzie na opał, przyda się dla świń, gdyby, co nie daj Boże, miały dostać biegunki. Tak, tak, ludziom także zalecają lekarze napar z kruszyny... A potem teren wokół chlewni się ogrodzi, żeby obcy się nie kręcili, bo mogą przywlec zarazki.

3.

Nie powinniśmy wstydzić się dobrych obcych wzorów. Franciszka Kwiatkowskiego można nazwać wzorowym farmerem. Jest jedynym gospodarzem w gminie Brójce, który może rocznie sprzedać państwu produkty wartości miliona złotych. Wszystko można wyliczyć na podstawie kwitów. W ub. roku sprzedał do chłodni truskawki za 450 tys. złotych. Ponadto odstawił: 30 ton kapusty, 20 ton wczesnych ziemniaków, 30 tys. litrów mleka i 20 sztuk tuczników po 120 kg każdy. Ostatnio dostarczył dwa buhajki po 600 kg sztuka i 4 świniaki po 120 kg. Nie wlicza w to sprzedanych ogórków. Gdyby odpowiednio zwiększył uprawę ogórków, mógłby zebrać za nie trzy miliony!

— **Jeśli coś robić, to na dużą skalę. Krowy mam duże, ciężkie, ale dają średnio po 4,5 tys. litrów mleka. Jest również koń. Traktorem w ogórki na przykład nie wjedzie, koń więc w gospodarstwie potrzebny. Ale kiedy wprowadzę świniaki, krowy zlikwiduję. Nie opłaca się trzymać nawet jednej na własny użytek. Konia wyprowadzę ze stajni, gdzie urządzę magazyn buraków, i wstawię go do obory. W oborze mam kilka kojców dla świń. Trzy maciory są na wyproszeniu, będzie więc od czego zaczynać.**

— **No i skończy się ciasnota** — wtrąca żona. — **Zimą było tak, że prosiaki gnieździły się razem z cielętami. Młoda jałóweczka była przywiązana do żłobu i krowa ją zadusiła. Płakaliśmy niemal, bo dla człowieka ze wsi strata żywego zwierzęcia, to największa strata...**

Przy hodowli świń zmniejszy się areał truskawek. Trzeba będzie więcej ziemi przeznaczyć na pasze. Kwiatkowski zrobił już zapas kiszonki z liści kapuścianych, buraczanych i seradeli. Mówi, że jest znakomita, żółciutka jak najlepsza machorka.

— **Zbiera się, proszę pana, grube tysiące, ale wszystko to kosztuje, zanim się zbierze. Trzeba jeździć i szukać ludzi, mieliśmy już dwa przykre wypadki drogowe, zresztą nie z naszej winy. Przy zbiorze truskawek pracuje po 100 ludzi, przywożę ich najwięcej z Jankowa. Łubianka mieści dwa kilo truskawek, za zebranie takiej łubianki, w zależności od okresu, płaci się od dwóch do siedmiu złotych, czyli nieraz połowę wartości truskawek. A ile jest nocy nieprzespanych? Zaczyna się myć i wycierać ogórki wieczorem, kończy o pierwszej w nocy, a o drugiej trzeba wyjeżdżać, żeby zająć miejsce na rynku...**

Kwiatkowski twierdzi, iż ludziom nieraz nie chce się myśleć, że brak jest oszczędności i ekonomicznego rachunku. Potrzebna do chlewni winklówka. Jest w Tuszynie, ale to już inne województwo, więc nie sprzedadzą. Zięć z Modlicy kupił, bo on mieszka w tym województwie. Tona długiego drutu zbrojeniowego kosztuje 8 tysięcy. Krótkiego nie ma. Kwiatkowski pojechał na złomowisko, wybrał odpowiedni i zapłacił o 5 tys. mniej. Również ze złomowiska uzyskał brakujące słupki do bramy, o cztery tysiące taniej niż w geesie.

Gospodarstwo liczy 23 hektary, bo najmłodszy z synów dokupił ostatnio 5 hektarów, akurat na wprost domu, po drugiej stronie drogi. Kupił dzięki poparciu wiceprezydenta Krowirandy, bo świadkowie do podpisu byli już gotowi, ale rejent nie chciał się zgodzić, twierdząc, iż syn ma za niskie kwalifikacje rolnicze.

— **Jurek** — mówi o najmłodszym z synów Kwiatkowski — **to zapaleniec, on tu zostanie. Jak miał cztery lata, konia z wozem przyprowadził z Giemzowa, urodzony rolnik. Teraz chce zakładać stawy. Po kryjomu wydzierżawił dodatkowo 3 morgi, żeby było na paszę i zielonki. Ale ci młodzi chcieliby wszystko na raz, a nie mogą uwierzyć, że kiedyś gnój rozrzucało się widłami...**

Jeden z synów, Henryk, wyłamał się. Ukończył szkołę zawodową, ale jeździ jako konwojent w zakładach mięsnych w Łodzi. Najstarszy, Zbigniew, ma kupione gospodarstwo (4,5 ha) w Hucie Wiskickiej i hoduje krowy. Halina gospodarzy w Modlicy, Jurek, jeszcze kawaler, pozostał z rodzicami.

— I nigdy nie chcieli uciekać do miasta?

Kwiatkowski uśmiecha się figlarnie.

— **Halina była po ogólniaku i pewnie jej się marzył jakiś urzędniczy stołek. Ale jak zobaczyła, że w najgorętszym okresie można w ciągu jednego dnia zebrać za truskawki 60 tys. złotych, to przestała mieć wątpliwości, gdzie powinno być jej miejsce. Ja panu coś powiem i niech pan to zapisze. My się często z żoną śmiejemy z tych, co to chwalą zagranicę i którym śni się wyjazd do Ameryki. W Polsce można żyć naprawdę dobrze i dostatnio. Tylko trzeba, proszę pana, z główką, i nie bać się roboty...**

RYSZARD BINKOWSKI

Foto: Archiwum

NIE TYLKO HISTORIA

„MORZE ŚRÓDZIEMNE" FERNANDA BRAUDELA

Teoretycznie pod koniec zeszłego roku, praktycznie zaś w pierwszym kwartale bieżącego, staraniem Wydawnictwa Morskiego w Gdańsku pojawił się w tłumaczeniu polskim pierwszy tom dzieła historycznego, stanowiącego jedno z najwybitniejszych osiągnięć współczesnej nauki historycznej w skali światowej. Jego autorem jest historyk francuski Fernand Braudel (ur. 1902), do niedawna profesor w College de France i prezydent słynnej VI Sekcji „Ecole Pratique des Hautes Etudes", członek zagraniczny Polskiej Akademii Nauk, uczony utrzymujący bliskie stosunki z historykami polskimi.

„Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II" to tak zwana „teza" doktorska uczonego, opublikowana po raz pierwszy w 1949 r., dzieło które doczekało się drugiego, znacznie rozszerzonego wydania francuskiego w 1966 r. oraz tłumaczeń na włoski, hiszpański i angielski. Do tej listy przekładów dochodzi dzisiaj tłumaczenie polskie. Uczony pracował nad swym dziełem od 1923 r., napisał je w pierwszej redakcji w oderwaniu od swego warsztatu, kiedy podczas II Wojny Światowej przebywał w niemieckim oflagu, ukończył zaś dopiero po wojnie. Zaprezentował w nim całościową historię Morza Śródziemnego jako łącznika dla żyjących na jego obrzeżach cywilizacji.

Takie postawienie problematyki nie zrodziło się jednak w umyśle historyka od razu. Pierwotnie zamierzał on napisać tradycyjną rozprawę o śródziemnomorskiej polityce Filipa II. Zasadnicza zmiana skali zainteresowań dokonała się w związku z dołączeniem przez uczonego do kierunku „Annales" i nawiązaniem ścisłej współpracy z jego współtwórcą — wielkim historykiem francuskim Lucien Febvrem. Wejście F. Braudela do kręgu „Annales" — słusznie podkreślają autorzy rozprawy, poprzedzającej polskie tłumaczenie dzieła francuskiego badacza — „znaczyło przede wszystkim akceptację sposobu widzenia i rozumienia przeszłości, przyłączenie się do buntu przeciwko historiografii tradycyjnej, porzucenie zastarzałych predylekcji tematycznych i procedur interpretacyjnych. Powiedzieć można, że dzieło Braudela o świecie śródziemnomorskim w XVI wieku było pierwszą na tę skalę realizacją głoszonych przez „Annales" programów".

Refleksja F. Braudela wyrasta z żywych w nauce francuskiej tradycji łączenia w badawczej praktyce kompetencji historyka i geografa. Dzieło składa się z trzech części, „z których każda stanowi odrębną próbę całościowego wyjaśnienia", a wszystkie razem stanowią dopiero całość jego rozważań. Część pierwsza — powiada sam autor — „dotyczy historii prawie nieruchomej, historii człowieka w jego stosunkach z otaczającym go środowiskiem; historii płynącej powoli, zmieniającej się powoli, złożonej częstokroć z uporczywych nawrotów, wciąż zaczynanych od nowa cykli". W części następnej rozważa autor historię — jak ją określa — „o wolnym rytmie": „chciałoby się powiedzieć, jeśli to wyrażenie nie wypaczałoby pełni jej sensu, że jest to historia społeczna, historia zbiorowości i grup. W jaki sposób te podwodne fale unoszą całość życia śródziemnomorskiego — oto pytanie, jakie zadaję sobie w drugiej części mojej książki, badając po kolei życie gospodarcze, państwa, społeczeństwa, cywilizacje, a wreszcie usiłując, w celu lepszego wyjaśnienia mojej koncepcji historii, pokazać jak te wszystkie, głęboko tkwiące siły działają w złożonej dziedzinie wojny".

I wreszcie trzecia, integralnie powiązana z poprzedzającymi część dzieła F. Braudela, poświęcona — jak sam powiada — historii właściwie tradycyjnej, wydarzeniowej, tyle... że rozpatrywanej w nietradycyjnych kategoriach, historii ukazującej „wzburzenia powierzchni, fale, unoszone potężnym ruchem przypływów i odpływów". „Historia ta — powiada o niej F. Braudel — ma krótkie, szybkie, nerwowe oscylacje. Jest nadwrażliwa, jak wynika to z jej definicji, najmniejszy krok wprawia w ruch wszystkie instrumenty pomiarowe. Ale właśnie jako taka jest ze wszystkich najbardziej pasjonująca, najbardziej człowiecza, a także najbardziej niebezpieczna. Nie dowierzajmy tej gorącej jeszcze historii, takiej, jak ją odczuwają, opisują, przeżywają współcześni zgodnie z rytmem swojego życia, krótkiego jak nasze. Ma ona wymiar ich gniewu, ich snów i ich iluzji". Ten niebezpieczny świat historii wydarzeniowej — powiada zaraz dalej francuski uczony — można się starać jako tako ujarzmić, kiedy ujawni się uprzednio „te wielkie ruchy podskórne, często ciche, których znaczenie ujawnia się nam tylko wtedy, gdy obserwujemy rozleglejsze obszary czasu. Głośne wydarzenia są często tylko chwilami, tylko przejawami szerszych tendencji i tylko przez te tendencje mogą być wytłumaczone".

Tyle F. Braudel. Uczony wyróżnił w swym monumentalnym dziele odmienności poziomów dokonywania się dziejów, wyróżnił — jak to określił — w historycznym czasie trzy jego odmienne postacie: „czas geograficzny", niemal nieruchomy, czas bardzo trudno dostrzegalnych zmian, następnie „czas społeczny", długofalowy, pulsujący już szybszym od poprzedniego rytmem, wreszcie najkrótszy, najszybszy, najprędzej przemijający spośród nich — „czas jednostkowy", krótkiego trwania.

„Ta klasyczna już pozycja światowej historiografii — piszą autorzy szkicu o F. Braudelu, otwierającego polski przekład dzieła — zainteresować powinna nie tylko historyka Europy nowożytnej, nie tylko historyków i w ogóle humanistów, dla których książka ta może stanowić przedmiot refleksji metodologicznej, ale także szersze kręgi czytelników wrażliwych na historię. Na historię na miarę globu ziemskiego, cywilizacji, społeczeństw, imperiów, obejmującą jednocześnie zdarzenia jednostkowe, losy ludzi. Reumatyzm i podagra miały wpływ na wysiłki, jakie don Garcia de Toledo podejmował dla odbudowania floty hiszpańskiej — toż to przecież zdaje się należeć do tradycyjnej historii anegdotycznej! Ale książka Braudela ukazuje, że unowocześnienie historiografii wcale nie oznacza wyrzucenia z niej spraw ludzkich, zdarzeń politycznych czy życia prywatnego, całkowitej redukcji roli przypadku. Jest niełatwym zadaniem objąć we wspólnej konstrukcji i we wspólnym wykładzie wielość płaszczyzn działania się historii, wielość czasów historycznych, wielość procesów i zdarzeń. Ale że warto tak pojmować zamierzenia historyka — książka ta dowodzi tego najlepiej".

Na razie tylko tyle. Po ukazaniu się drugiego tomu polskiego tłumaczenia tego wspaniałego dzieła trzeba nam będzie raz jeszcze doń powrócić, aby zastanowić się nad kształtem zaproponowanego przez francuskiego uczonego modelu nowoczesnej, globalizującej historiografii.

ANDRZEJ F. GRABSKI

LAUREACI TURNIEJU POETYCKIEGO

W Społecznym Domu Kultury „Lokator" odbył się II Wiosenny Turniej Poetycki „Debiuty-77", zorganizowany przez Zarząd Łódzki ZSMP i Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy „Wiadukt".

Jury w składzie: Dorota Chróścielewska, Henryk Pustkowski (przewodniczący), Konrad Tatarowski, Stanisław Wojdyn i Henryk Zasławski przyznało następujące nagrody: I — **Zdzisławowi Boguszewiczowi** za wiersz **„Szczęście"**, II — **Magdalenie Remane** za wiersz **„Maraton"**, III — **Januszowi Gauerowi** za wiersz **„Czas spalony"**. Wyróżniono: **Krystynę Panusz** za wiersz „Miejsce", **Ewę Włodarczyk** za wiersz „On dał mi korale" i **Piotra Celnika** za wiersz „List".

Nagrodę publiczności, ufundowaną przez SDK „Lokator" zdobyła **Bożena Siuta** za wiersz „Kalectwo".

Turniej został zorganizowany dla autorów, którzy dotychczas nie zdobywali nagród i wyróżnień w innych turniejach jak również nigdzie nie publikowali swoich wierszy.

ZDZISŁAW BOGUSZEWICZ

SZCZĘŚCIE

Nie chcę kupionego tanio
nie chcę kupionego drogo
nie chcę za darmo
chcę takiego
którego nie kupię i nie sprzedam
musi być
bez zegarka i bez kalendarza
nie może odróżniać dnia od nocy
lata od zimy

chcę szczęściem kąsać
nawet w założonym kagańcu

MAGDALENA REMANE

MARATON

Jeszcze nic — a tyle za nami
zadyszanych zegarków cmentarzy
gdzie spojrzeć — leżą odpoczywający
zgubili się po drodze wypadli z kieszeni
z rytmu, przestrzelonego brzucha
z pamięci
bieg bieg szaleńczy
albo cokolwiek przyśpieszony
i jednostajnie nieporadny

Jeszcze nic — a tyle za nami
nie napoczętych myśli
nie dokończonych a wysoce budujących
refleksji nad motylem przyklejonym do liścia
dyskusji poematów dobrych rad i
pożegnalnych toastów
Naprzód —
porzucając broń (bo zbyt ciężko)
jednokierunkową autostradą
do Aten
szybciej szybciej
na agorze ktoś beznadziejnie czeka
na zwycięstwo

JANUSZ GAUER

CZAS SPALONY

Czuję jak mi życie
przechodzi pomiędzy palcami
a ja nie mogę zacisnąć
pięści
wśród ludzi najłatwiej oddycham
w masce przeciwgazowej którą zdejmuję
jedynie do mycia
wszystko co mam
wyślizguje się z dłoni
a w ustach zostaje metaliczny smak
łykanego ukradkiem
powietrza
i tylko siedzę na łóżku w bezruchu

W pamięciach fikcyjna przeszłość zajmuje już miejsce tej drugiej, o której niczego nie wiemy z pewnością... nawet, że jest fałszywa.

Jorge Luis Borges

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

ZAWÓD PREZENTER

Zanim oczy, otwarte już od kilku sekund, spostrzegły, że ręka dziewczyny przesuwa się nad jego ciałem tak blisko, zanim zdał sobie sprawę z tej nieśmiałości, z tego, co być może nie było jeszcze pieszczotą, a tylko przygotowaniem do pieszczoty, zanim jeszcze odnalazł się w pełni w tej materialności — uświadomił sobie, że fikcja, która w tej chwili oddala się już od niego, była przemieszaniem jakichś zupełnie nie przylegających do siebie rzeczywistości: po ulicach miasta, którego nie znał, a którego obraz przywoływał jakąś straszną przeszłość sprzed lat trzydziestu, posuwał się bezgłośnie kabriolet Rolls Royce'a, za kierownicą nie było nikogo, on siedział skurczony na tylnym siedzeniu, a przed nim, w wystudiowanej pozie, znajdowała się Verushka. Julita, bawiąc się niedbale gałązką wyrwaną z żywopłotu, pomyślała przez chwilę, patrząc na włosy Dominiki umodelowane à la Mufka, że jej fryzura już przed miesiącem przestała być modna. „Zasypia nad ranem — mówi Dominika. — Budzi się gdzieś około drugiej. Niedługo powinien wyjść do miasta". Elżbieta machinalnie spogląda na zegarek, jakby nie ufając swojemu zmęczeniu, które i tak wskazuje jej upływ czasu. Jest godzina druga. Jej ręce pełne wprawy, przedzielają arkuszami kalki arkusze papieru, zdaje sobie sprawę, że dzisiaj zrobiła dużo, po przepisaniu jeszcze trzech stronic będzie już mogła odpocząć.

Tak dziwnie zmieszana fikcja oddala się już od Eddiego. Teraz ta ręka znajduje się jeszcze bliżej ciała, dotykając lekko włosów. Ona jest dla Eddiego tylko dziewczyną. Nie stara się nawet przypomnieć jej imienia, tak jak nigdy nie starał się go zapamiętać. Była to dla niego po prostu tylko — ona. Ale ten luźny stosunek nie przeszkadza temu, że leży teraz przy nim i jej coraz bardziej odważne pieszczoty są dla niego w miarę przyjemne. Pełen lekkomyślności zdaje sobie sprawę, że jest już rano (ściślej rzecz biorąc tylko dla niego jest to poranek), o tej porze zwykł się budzić, o ile, tak jak dzisiaj, nie budzą go pieszczoty jakiejś dziewczyny. Zazwyczaj sam nie sypia, zdarza się, że kiedy się budzi, nie wie, kto śpi koło niego, a kiedy odkrywa kołdrę, poznaje całkiem nowe ciało. Tak właśnie w tej chwili ogląda jej obfite piersi, szczupłą talię, kształtne biodra, a jego duma jest mile łaskotana jej erotyczną odwagą, dopóki nie następuje moment, kiedy każdemu na ogół zaczyna być trochę wszystko jedno.

Julita myśli, że Dominika dzięki tym włosom ciągle ją wyprzedza. „Jest lekkomyślny i trudno z nim wytrzymać" — mówi Dominika, a ona zaczyna wyczuwać, że w tym zdaniu i spojrzeniu wypowiedziana jest jej słabość.

Z nagiego jej ciała przenosi wzrok na pokój i leniwie ogląda miejsce, w którym mieszka. Jego spojrzenie wolno przesuwa się po podłodze pokrytej okładkami long-play'ów Czesława Niemena, potem przeskakuje na ścianę wylepioną twarzami innych idoli. Eddiemu podoba się ta tapeta. Z otwartymi ustami, z mikrofonami w rękach, sprawiają w sumie wrażenie, jakby zostali przyłapani w momencie niezbyt stosownym, ale on myśli, że jest to moment reprezentatywny i pełen znaczenia, tak jak pełna znaczenia jest wisząca obok tapczanu gitara z naciągniętymi zamiast strun sznurkami, tak jak podłączony do sznurka mikrofon, zawieszony u sufitu na tyle nisko, że poruszając się na tapczanie, nie można było go nie potrącić. On, Eddi, jest zadowolony z tego, z własnej pomysłowości, którą musiał włożyć w doprowadzenie tej piwnicy do takiego stanu, że nie jest już do żadnej piwnicy podobna. I, w tym zadowoleniu, obecność dziewczyny nie jest już mu potrzebna, więc, po dłuższym okresie ciszy, daje jej zrozumieć, aby się stąd wyniosła, a kiedy ona nie pojmuje tego, odczekawszy moment ponawia żądanie, wtedy ona rzuca się do następnych pieszczot, a Eddi ze śmiechem broni się przed natarczywością. W tej chwili rozwija się całkiem poważna szamotanina, w której staczają się z tapczanu i, w obustronnej irytacji, przewalają na twarzach bożyszcza, aż do momentu gdy Eddi uwalnia się od jej objęć i z manifestacją przewagi rzuca w jej kierunku części ubrania. „Idź już — mówi, a kiedy spotyka jej nierozumiejące spojrzenie, powtarza: — Idź już". Z ironicznym uśmiechem, z wystudiowaną pewnością, która stała się już odruchowa, a więc z twarzą nieustannie wystawioną dla otoczenia, jakby przygotowaną i wymodelowaną dla obiektywów, Eddi obserwuje, jak ona niezdarnie ubiera się zdenerwowana. Ubrana stoi jeszcze nie zdecydowana. „Możesz mi dać spokój, jesteś wolna".

Julita odrzuca gałązkę wyrwaną z żywopłotu i myśli, że nawet nie posiadając tak modnej fryzury jak Dominika, ma nad nią przewagę, ponieważ jest odważniejsza. Ale już w następnym momencie przychodzi jej do głowy, że i to nie jest tak pewne, przynajmniej musi to udowodnić. Dominika wskazuje głową dziewczynę wychodzącą z domu, przy którym wyczekują. Obie wiodą za nią wzrokiem, chcąc w jej zachowaniu odnaleźć zapowiedź swojej porażki albo powodzenia.

Eddi, jeszcze nagi, przemierza w tę i z powrotem swoje mieszkanie, obserwuje, jak jego bose stopy depczą twarz idola, wybucha perlistym, niczym nie krępowanym śmiechem i rzuca się na tapczan. Z włączonego magnetofonu rozlega się żywa i bardzo głośna beatowa muzyka, na którą żywiołowo reaguje ruchami ramion i mimiką. Kiedy słyszy muzykę, przestaje myśleć i jest zadowolony, kiedy przestaje myśleć. Zmieszany z muzyką rozlega się śpiewny głos „disc-jockey'a: — This is radio Luxembourg your station of the stars. Eddi chwyta wiszący u sufitu mikrofon. — It's eleven forty five. — Usta Eddiego powstarzają tekst słów disc-jockey'a, usta Eddiego przestają być już jego ustami, usta Eddiego wypowiadają głos, który rozlega się z magnetofonu: — Beanz meanz heinz, beanz meanz heinz, beanz meanz heinz. We call it the seaside hedge! Why? Because it withstands even sea gales! Toughest helge fot anywhere? Grows to 8 pound but can be trimmed hard to any height. Evergreen. Pink flowers. Only pound 2.50. And now the greatest voice youve ever heard — the latest hit of Engelbert Humperdinck — The last waltz. — I kiedy rozlega się ostatni walc, Eddi zdegustowany wyłącza magnetofon. Wychylając się z tapczanu, dosięga rękoma znajdujący się w pobliżu telefon, machinalnie wykręca numer, po czym powraca na tapczan umieszczając słuchawkę obok ucha. — Halo... halo... skoro dzwoni pan ciągle o tej samej porze, może zechce pan ujawnić w końcu swoje nazwisko... o co panu chodzi?... raz opowiada pan jakieś dziwne zmyślone historie, albo pan w ogóle milczy... — Kiedy głos kobiety podnosi się w zdenerwowaniu, Eddi uśmiecha się z satysfakcją. — Dlaczego pan milczy? Dlaczego milczysz, dlaczego pan nic nie mówi? Czego pan chce ode mnie, o co panu chodzi? Jeśli się panu chce dzwonić do mnie codziennie o tej samej porze, niechże pan znajdzie w sobie odwagę, aby się ujawnić. Czasami mówi pan całkiem przyjemne rzeczy, więc niech pan... no, niech pan... Ja tego nie rozumiem, ja nie wiem, o co panu chodzi. Czy chce się pan ze mną spotkać, czy mnie pan śledzi? Czy mnie pan zna? Skąd pan mnie zna? No niech pan wreszcie coś powie... — W tej długiej przerwie Eddi z niecierpliwością czeka następnego zdania. — Daj mi wreszcie spokój, głupcze, idioto, głupcze.

Elżbieta ze złością odrzuca słuchawkę. Kiedy ją jeszcze raz podnosi, aby położyć kres tej zabawie, słyszy już tylko sygnał rozłączenia. Myśli, że niepotrzebnie dała się w to wciągnąć, ale nie umie o tym zapomnieć, tak jak nie umie porzucić spraw niedokończonych. Wykręca z maszyny arkusze do pisania i z ulgą myśli, że to na dzisiaj koniec.

On z lekkim uśmiechem satysfakcji podnosi się z tapczanu, ale za chwilę myśli, że irytacja dziewczyny, która go nie zna (właściwie nie wie, że to on) w lepszy sposób zaznacza jego istnienie niż płytkie uwielbienie, z którym spotyka się na co dzień. Ponieważ w następnym momencie chce już odrzucić od siebie tę myśl, a wie, że może mu w tym dopomóc muzyka, zmienia taśmę na magnetofonie i głośne dźwięki niszczą powstałe w nim uczucie. Eddi wchodzi na stół, aby odsłonić zasłonki, chwilę patrzy w okno, otwiera je, zauważa dwie nastolatki chowające się za żywopłotem. Schodząc ze stołu niezręcznie strąca doniczkę z kwiatkiem, wysypuje się z niej ziemia i nierealnie kolorowa, plastikowa atrapa kwiatka. Eddi siada przy stole, w tym przypadkowym momencie wypoczynku nie stać go na uprzątnięcie tego, co się rozsypało, widzi na stole nieporządek, porozrzucane taśmy magnetofonowe, przedmioty nieużyteczne, atrapy, do których istnienia dorobił już ideologię. Lewą ręką rozsuwa przedmioty, prawą zaś odnajduje stukartkowy zeszyt, przegląda zapisane strony, będące produktem jednej z wielu fikcji, którymi jest otoczony, fikcji, którą sam stwarza, aby znaleźć kolejne ze swoich usprawiedliwień, a więc wolno przewraca zapisane kartki z zainteresowaniem odnoszącym się do samego siebie i do tego, do czego nie ma już dostępu bezpośrednio, a próbuje dostać się za pomocą wyobraźni. W tej chwili wyłącza magnetofon, gdyż potrzebna jest mu cisza, przysuwa do siebie staroświecki kałamarz ze stojącym w nim gęsim piórem, wyjmuje je, potem przycina, zaczyna pisać: — Jeden, dziewięć, cztery, trzy, październik, dwanaście. Wczoraj zlikwidowaliśmy pięciu, dzisiaj obmyślamy następną akcję. Walczymy, walczymy, obmyślamy metody walki. Wieczór w paczce i długie dyskusje. Trochę śpiewaliśmy budujące piosenki, aby podtrzymać się na duchu. Wypiliśmy trochę bimbru pod kaszankę, a potem robiliśmy to do rana — Eddi zastanawia się przez chwilę, aby dopisać jeszcze jedno zdanie: — Bo nie można było wyjść po godzinie policyjnej. — To zdanie podkreśla grubo.

Julita zdaje sobie sprawę, że gdyby chociaż w przybliżeniu znała jego myśli i pragnienia, jej dostęp do niego byłby o wiele łatwiejszy. Ale on zachowuje się tak niezrozumiale, że trudno przewidzieć, czym można by go do siebie przyciągnąć. I w tym ogólnym chaosie utwierdza się w przekonaniu, że musi umieć zaimponować, że musi umieć być odważna.

Kot kręci się przy otwartym oknie. Eddi po zamknięciu zeszytu obserwuje go przez chwilę, chwyta z podłogi jedną ze skorup i rzuca w jego kierunku. Potem odsuwa kałamarz. Przed wyjściem, w jakimś odruchu anachronicznej pedanterii, zmiata ziemię z twarzy Czesława Niemena, przez chwilę zastanawia się, co zrobić z tą ziemią, aby zadowolony ze swego nowego pomysłu, odnaleźć futerał aparatu fotograficznego i zapakować ją do niego.

Julita i Dominika, znudzone wyczekiwaniem, przechodzą na drugą stronę ulicy, a potem skierowują się do parku. „Tędy i tak będzie przechodził" — mówi Dominika i myśli, że będzie lepiej, jeśli on spotka je w parku, będzie to naturalniejsze i wolne od tego śmiesznego natręctwa. Park jest przejściowy, ale obie, chcąc uniknąć zaludnionych uliczek, przechodzą przez gęste krzewy, za którymi, pozbawiona ławek, znajduje się pusta trawiasta płaszczyzna.

Eddi wybiega z domu. Jest zadowolony ze stylu swojego zachowania, z tego, jak biegnie, z tego, jak przeskakuje niski fragment żywopłotu. Myśli, że właśnie jest to w stylu, że jest w tym młodość i niezależność, i chętnie w ten właśnie sposób odróżnia się od hipisów, którzy lubią włóczyć się powolnie niczym głuchoniemi starcy. Biegnąc i kręcąc wokół futerałem aparatu, spostrzega kobietę w starszym wieku, która opędza się przed śmiesznym kundlem. „Niech pan zatrzyma tego pieska, nie mogę uwolnić się od niego" — głos kobiety brzmi ciepło, ale zawarta jest w nim nuta konieczności. Eddi widzi, jak ona niezdarnie usiłuje oddalić się od pieska, obserwuje skrytą irytację maskowaną kobiecym zażenowaniem, schyla się i cmokając stara się zwabić do siebie kundla, ale kiedy ten nie reaguje, Eddi z ubolewaniem rozkłada ręce, odwraca się, aby idąc w kierunku parku kontynuować swój taniec. Jeszcze jedno spojrzenie Eddiego do tyłu, jeszcze jedno machnięcie siatka kobiety, aby uwolnić się przed krępującą adoracją.

Julita, siedząca obok Dominiki na półukrytej w krzewach ławce, zamknęła oczy i teraz wyraźniej czuje na twarzy promienie popołudniowego słońca. W tej chwili nie widzi Dominiki, nie wie, co myśli Dominika, ale, podświadomie manifestując odwagę, odpina guziki swojej bluzki, pod którą nie ma stanika. Teraz Dominika zauważa tańczącą sylwetkę Eddiego, który, w pozornej samotności i oddaleniu, nie zdaje sobie sprawy, że ktoś go może widzieć. Ręka Dominiki w przypadkowym ruchu, który miał obudzić Julitę, zastyga w połowie drogi, ponieważ Dominika nagle zdaje sobie sprawę, że warto, aby to, co w tym momencie ma przed oczami, pozostało dłużej jej własnością. Eddi, biegnąc po krótko strzyżonej trawie, nie widzi nikogo, a kiedy znajduje się już na środku otwartej przestrzeni, zaczyna bawić się w fotografowanie. Nachyla się, przyklęka, zmienia pozycję ciała i punkt widzenia obiektywu, nie mając w rękach aparatu co chwila naciąga fikcyjną migawkę. Coraz bardziej podoba mu się ta zabawa, z każdym nowym ułożeniem ciała, z każdą chwilą, zabawa traci cechę fikcyjności. Eddi słyszy już dźwięk migawki, świat widziany przez niego ograniczony jest prostokątną ramką kadru. Park zamknięty w tej ramce przestaje już być parkiem, w którym się znajduje, pojawiają się w nim kobieta i mężczyzna, zbliżeni do siebie, ale zarazem odległi, związani trudną do rozpoznania zależnością. W tę fikcję, starannie wywoływaną przez Eddiego, zaczyna dostawać się cienki śmiech dziewczęcy, będący dźwiękiem świata realnego. Eddi przerywa zabawę. Wolno wodząc wzrokiem dokoła, z powrotem zajmuje miejsce w realności, aby, w którymś kolejnym spojrzeniu, dostrzec dwie dziewczyny siedzące nie opodal na skrytej do połowy w krzewach ławce. Przyłapany i nieruchomy potrzebuje gestu, który mógłby być rozwiązaniem i rozładowaniem. Wtedy przypomina sobie wiszący na ramieniu futerał, chwyta go w rękę, zamachuje się nim i rzuca w kierunku Julity i Dominiki. Zaskoczone tym nagle poważnieją, Julita podnosi z ziemi leżący przy niej przedmiot.

Elżbieta wie, że po przeprowadzonej właśnie z szefem rozmowie będzie musiał przepisywać w domu. Niechętnie myśli o tym w momencie, kiedy dwubiegowa winda hamuje na parterze biurowca, w którym pracuje. Elżbieta zdaje sobie sprawę, że w łatwy sposób mogłaby wyrwać się z tej stabilizacji, która polega na pracy w biurze, przepisywaniu na maszynie i służeniu matce, ale świadomość, że przejście wyżej byłoby wejściem w kompromis i rezygnacją z własnej niezależności, nakazuje jej odrzucać tego rodzaju pokusy. Jest zmęczona monotonią swojej egzystencji. Kiedy na przystanku oczekuje na tramwaj, wie, że gdyby przyjęła pewne propozycje, mogłaby pożegnać się z masową komunikacją, zdaje sobie sprawę, jaką wartością kobiety jest jej uroda i rozumie, ile mogłaby dzięki niej osiągnąć. Ale kiedy w tej chwili, stojąc na przystanku, widzi zadufane twarze, oddzielone od niej szybami samochodów, ogarnia ją niechęć, której nie rozumie, wtedy jest zadowolona z siebie, zapomina o pokusach, zmęczeniu, i przyrzeka sobie, że nie da się zwabić w pułapkę.

Eddi, wykorzystując chwilę ich zdziwienia, oddala się lekkim krokiem. I kiedy przechodzi obok muru oddzielającego park od śmietnika, zauważa coś, co go zatrzymuje. Jeszcze nie wie, dlaczego przystanął, jeszcze nie zna przyczyny swojej reakcji, dopiero kiedy myśl dogania jego zachowanie, zaczyna rozumieć i wie, że widzi zwłoki psa z rozbitą głową. Eddi kojarzy sobie i wtedy ogarnia go dreszcz przelotny. Kilka następnych chwil zabiorą mu domysły, ale zaraz wraca do swojego stylu. Kiedy mija bawiące się dzieci, musi kopnąć piłkę, a potem na ulicy staje się jednym z przechodniów. Szybko biegnie za tramwajem, w którym zobaczył twarz znajomej. Chociaż nie lubi tego, chociaż nie lubi przepychać się w tłoku i zauważać spojrzenia, które go nie akceptują, przebija się między ludźmi, aby się znaleźć bliżej tej dziewczyny. Ta sytuacja uwłacza jego dumie, ale dziewczyna, chociaż znajduje się w tym samym ścisku, w pozycji tak samo niewygodnej, pełna jest godności, która nawet, a może — właśnie, na niego działa w sposób deprymujący. „Nie jest to najwygodniejszy środek lokomocji" — mówi Eddi, który byle jak, ale jak najszybciej pragnie nawiązać rozmowę. W tej wydłużającej się chwili oczekiwania na odpowiedź słyszy jakiś śmiech, który jest być może śmiechem z jego długich włosów, słyszy szepty, które być może dotyczą jego ubioru. „Trochę za wcześnie wstałeś — odpowiada Elżbieta, która słowa Eddiego odbiera jako aluzję do swych niedawnych myśli. — Za godzinę nie będzie już tłoku". Teraz Eddi odczytuje tę już wyraźną aluzję, wie, że jego stylu bycia Elżbieta nigdy nie zaakceptuje. Nie przyzwyczajony do takich sytuacji, kiedy musi zabiegać o zainteresowanie, myśli, że być może nie potrzebna jest ta cała maskarada, o tyle niepotrzebna, że on z góry zdany jest na przegraną. „Może masz i rację — odpowiada i, zdając sobie sprawę, że dialog może się urwać, dodaje dla formy: — obiecałaś mi kiedyś odwiedziny". — „Ach" — mówi Elżbieta i Eddi odczytuje w tym słowie wszystko to, czego się domyśla, więc dopowiada dla usprawiedliwienia: — „Niczego ci nie proponuję" — Ale teraz Elżbieta, wychwyciwszy w tonie głosu pewien smutek, machinalnie podtrzymuje go na duchu: — „Może kiedyś dotrzymam obietnicy". — I Eddi, powtarzając to niewiadome „kiedyś", prowokuje odpowiedź w poważnym tonie: — „Tak. Na razie mam dużo pracy. Nie mam czasu. Zresztą po co?" — W tej chwili wie już na pewno, że musiałby w sobie zbyt wiele zmienić, aby uzyskać zainteresowanie Elżbiety, wie, że te zmiany musiałyby dotyczyć wszystkiego i że nie stać go na taką przebudowę. Ona z trudem przeciska się do wyjścia, a on podąża za nią, próbując jeszcze coś dorzucić, aby zręcznie zakończyć rozmowę. Elżbieta wysiada i tramwaj rusza, a Eddi jedzie dalej, nie zdążywszy wysiąść i nie zdążywszy dopowiedzieć ostatniego słowa.

(cdn.)

NIE TYLKO PRZECIW APARTHEIDOWI

— Faszyzm jest faszyzmem — powiedział w wywiadzie dla „Polityki" przewodniczący SWAPO, Sam Nujoma — **a faszyści rozumieją tylko język siły. Istniejące napięcie rasowe jest bez wątpienia celowo stwarzane przez Południową Afrykę, gdyż obecny reżim RPA może istnieć tylko dzięki dyskryminacji rasowej, tworzeniu podziałów między poszczególnymi grupami ludności i wywoływaniu nienawiści na tle rasowym. (...) Boją się oni demokratycznego systemu rządów, gdyż zdają sobie sprawę z tego, że są mniejszością, która straciłaby władzę, gdyby doszło do prawdziwych demokratycznych wyborów. Oni władają przy pomocy siły i dlatego siłą tylko można odebrać im władzę.**

Sam Nujoma ma 53 lata i jest przewodniczącym działającej od 1959 roku Organizacji Ludu Afryki Południowo-Zachodniej, znanej jako SWAPO, co jest skrótem od angielskiej nazwy tej organizacji. **W 1972 roku** ONZ uznała SWAPO za jedynego, legalnego przedstawiciela narodu Namibii, a od 1973 roku SWAPO uznaje ONZ. Jednakże rząd RPA sprawujący kontrolę nad Namibią i okupujący ją faktycznie, nie uznaje SWAPO i nie dopuszcza jej delegacji do udziału w rokowaniach na temat sposobu przyznania niepodległości Namibii.

Namibia ma stać się niepodległa z początkiem 1979 roku. Rząd RPA już od sierpnia 1975 roku prowadzi rozmowy z przedstawicielami różnych grup etnicznych zamieszkujących Namibię. SWAPO uważa, że przywódcy plemienni, którzy podejmują się rokowań z nielegalnie sprawującym w Namibii władzę rządem RPA, dopuszczają się zdrady wobec narodu Namibii. SWAPO uważa, że przed jakakolwiek rozmową na temat przyszłości Namibii, wszyscy więźniowie polityczni powinni być zwolnieni, a Balthazar Vorster musi zobowiązać się publicznie do wycofania wszystkich wojsk południowoafrykańskich z Południowo-Zachodniej Afryki. W Namibii bowiem obowiązuje stan wyjątkowy, a na mocy praw antyterrorystycznych członków SWAPO karze się śmiercią. Na straży tych praw stoją właśnie wojska RPA.

ONZ domaga się, aby wszelkie przygotowania do ogłoszenia niepodległości Namibii odbywały się pod nadzorem Rady ONZ do spraw Namibii, na czele której stoi Sean McBride. Zdaniem sekretarza generalnego ONZ Kurta Waldheima wszelkie dotychczasowe prace nad przyszłością Namibii, prowadzone przez RPA **„nie spełniają podstawowych warunków ONZ".** O przyszłości Namibii powinien decydować naród tego kraju i jego reprezentanci skupieni w SWAPO.

Już na przykładzie walki o niepodległość Namibii można łatwo dostrzec, że toczy się ona nie tylko o zniesienie apartheidu, o zrównanie w prawach ludności białej i czarnej ale przede wszystkim o przejęcie władzy przez zdecydowaną większość tego kraju. W artykułach pt. **„Jak narodził się apartheid?"** i **„Teoria i praktyka apartheidu"** (patrz „Odgłosy" nr 17 i 18, 1977 rok) ukazane zostały warunki, w jakich ukształtował się ten kolonialny system sprawowania władzy oraz jego istota. Apartheid został potępiony przez całą postępową opinię publiczną świata, co znalazło wyraz w dokumentach ONZ i Organizacji Jedności Afrykańskiej. Do walki z apartheidem stanęły też narody południowej Afryki. Ale jest to walka nie tylko z dyskryminacją rasową. Jest to również walka o prawa należne większości ludności tego rejonu Afryki.

Walka z kolonializmem trwa w Afryce od bardzo dawna. Jednakże polityczna mapa „czarnego kontynentu" zaczęła zmieniać się dopiero w drugiej połowie naszego stulecia i proces ten jeszcze się nie skończył. Dla walki ludów południowej Afryki poważne znaczenie miał przewrót polityczny, jaki dokonał się w Portugalii. Wtedy to na mapie Afryki pojawiły się nowe, niezależne państwa, gdzie rządy przejęła czarna większość narodu. Stało się to bodźcem do nasilenia walki o wyzwolenie i niepodległość. Przybyło też sojuszników i powstały realne warunki dla przygotowywania zbrojnych oddziałów wyzwoleńczych. SWAPO na przykład korzysta z baz i ośrodków szkoleniowych położonych na terytorium Angoli i Zambii. Front Patriotyczny Zimbabwe ma takie same bazy w Mozambiku.

Niedawno w Luandzie odbyło się spotkanie szefów rządów 5 „państw frontowych": Tanzanii, Botswany, Zambii, Mozambiku i Angoli, graniczących bezpośrednio z Rodezją — Zimbabwe, RPA lub Namibią, poza Tanzanią oczywiście. Uznali oni, że walka tocząca się w Namibii, RPA i Zimbabwe **„jest jedna i niepodzielna"**, a ocena i strategia tej walki podejmowana przez ruch wyzwoleńczy tych krajów jest wiążąca również dla „państw frontowych", które zobowiązują się też popierać tę walkę i służyć jej pomocą.

Front Patriotyczny Zimbabwe dokonał niedawno połączenia oddziałów partyzanckich ZAPU — Afrykańskiego Ludowego Związku Zimbabwe i ZANU — Afrykańskiego Narodowego Związku Zimbabwe w jedną ludową armię Zimbabwe. Oddziały partyzanckie działają przede wszystkim w rejonach położonych w pobliżu granicy z Mozambikiem i Zambią, gdzie mają swoje bazy. Richard Halla z tygodnika „The New York Times Magazine" twierdził w połowie ubiegłego roku, że tysiąc partyzantów działało wówczas w Zimbabwe, a 10 tysięcy szkoliło się w Mozambiku i Tanzanii. Biała ludność Zimbabwe żyje pod nieustannym strachem. Ale biali nie poddają się i nie rezygnują, choć walka jest beznadziejna.

„Ich domy — pisał Richard Halle — **otoczone są wysokimi ogrodzeniami z drutu kolczastego, a wielu z nich śpi z bronią przy łóżku. W dzień narażeni są na najechanie na miny, podkładane przez partyzantów w ciągu nocy".**

„Ian Smith — twierdzi „Le Monde" — **prowadzi batalię obliczoną na zwłokę".** Jest to jednakże batalia, zdaniem tego pisma, beznadziejna i niemożliwa do prowadzenia na dłuższą metę. Ian Smith bowiem — jak utrzymuje „Le Monde" — **„nie ma ani ludzi, ani środków materialnych, by tę walkę toczyć bardzo długo".**

Sprawa więc od dawna jest przesądzona. Władza białych kolonialistów w Rodezji musi się skończyć. Mają oni tego świadomość i szukają takiego sposobu, aby odbyło się to łagodnie i aby wiele na tym nie stracili.

— Wciąż jeszcze utrzymuje się dyskryminacja rasowa, której usunięcie uważamy za konieczne — powiedział sam Ian Smith przedstawicielowi pisma „Time". Johnowi Elsonowi — **lecz chciałbym podkreślić, że dyskryminacja istniała tutaj równie długo jak Rodezja, nawet pod panowaniem brytyjskim. Bardzo zależy nam na tym, by wspólnie z czarnymi przywódcami rozwiązać te problemy w możliwie najlepszy sposób.**

Jednakże rozmowy, jakie odbyły się z początkiem 1977 roku w Genewie, nie dały rezultatów. Teraz do „sprawy rodezyjskiej" włączył się dr David Owen — brytyjski minister spraw zagranicznych, który w kwietniu 1977 roku podróżował po Afryce, szukając sposobów wyjścia z impasu. Zaproponował, aby przy współudziale Wielkiej Brytanii i USA odbyły się ponowne rozmowy, w wyniku których można byłoby ustalić sposób przejęcia władzy w Zimbabwe przez afrykańską większość. Jednakże politycy z Pretorii twierdzą, że dr David Owen nie dysponuje żadnym skutecznym planem. Natomiast przywódcy ruchu wyzwoleńczego Zimbabwe — Joshua Nkomo i Robert Mugabe, jak to oświadczyli w Lusace, stolicy Zambii, uważają, że wszelkie porozumienie z reżimem Iana Smitha, dostatecznie już skompromitowanym zbrodniczymi praktykami apartheidu, byłoby dla nich nieopłacalne, a także nie widzą uzasadnienia dla udziału Wielkiej Brytanii i USA w jakichkolwiek rozmowach na temat Zimbabwe. Pozostaje więc walka.

Oliver Reginald Tambo sekretarz generalny Afrykańskiego Kongresu Narodowego, organizacji narodowo wyzwoleńczej RPA, działającej od 1912 roku, a znanej pod skrótem ANC (African National Congress), stwierdził niedawno, że celem wszelkiego działania afrykańskich patriotów jest nie walka przeciw apartheidowi, nie walka o prawa obywatelskie dla czarnej ludności, ale walka o zdobycie władzy.

— Afryka Południowa musi być wyzwolona całkowicie — powiedział Andrewowi Nagorskiemu, dziennikarzowi „Newsweeka" prezydent Gabonu, El Hadż Omar Bongo. — **Jeśli biała mniejszość nie zechce prowadzić dialogu, nie będzie żadnego wyjścia poza chwyceniem za broń.**

ANC przez długie lata działała legalnie i w sposób pokojowy unikając stosowania siły. Prowadzono walkę polityczną, koncentrując się na strajkach, wiecach i demonstracjach. Na tym też tle doszło do rozłamu w ANC, gdyż elementy skrajne z Robertem Mangaliso Sobukwe na czele domagały się stosowania bardziej radykalnych metod walki. W 1958 roku R. M. Sobukwe założył PAC (Pan African Congress) — Kongres Panafrykański. Po masakrze ludności afrykańskiej w Sharpeville w 1960 roku, gdzie zabito 69 Afrykanów i 180 raniono, oba ugrupowania zostały zdelegalizowane. W 1961 roku skrajne elementy ANC powołały do życia organizację bojową Umkoto we Sizwe, co w języku zuluskim znaczy: Włócznia Narodu. ANC już 17 lat działa nielegalnie, coraz silniej umacniając swoje wpływy wśród czarnej ludności RPA. Wielu działaczy ANC jest też członkami powstałej w 1921 roku a zdelegalizowanej w 1950 roku Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. Siedzibę swoją ma ANC w Tanzanii, a jej agendy znajdują się w Londynie, Kairze, Algierze i Lusace.

Po fiasku interwencji wojsk RPA w Angoli znacznie ożywił się ruch wyzwoleńczy w Południowej Afryce.

— Obserwuję Afrykańczyków — zwierzała się żona pastora z RPA Dawidowi Holdenowi z „Sunday Times". — **Widzę błysk w ich oczach, poczucie pewności w ich kroku i zaczynam się bać. Ale kiedy mówię o tym moim rodakom, oni mówią jedynie o wystrzelaniu czarnych.**

W przeciwieństwie do Namibii czy Zimbabwe sytuacja białej ludności RPA przedstawia się znacznie bardziej skomplikowanie.

— Wielu z nich — powiedział Sean McBride o Niemcach mieszkających w Namibii — **mieszka w ogromnych pałacach, w posiadłościach obejmujących od 30 do 50 tysięcy akrów i wielu ma do dyspozycji po kilkudziesięciu niewolników. Ich ziemia będzie na pewno rozdzielona między chłopów.**

Nie będzie przyjemnie opuszczać tego wszystkiego i wracać do dalekiej i często już zapomnianej Europy, jeśli się nie będzie chciało żyć pod rządami czarnej ludności. Ale Afrykanerzy z RPA nie mają takiej alternatywy. Są narodem południowej Afryki i nigdzie poza tą Afryką nie ma dla nich miejsca. Koloniści z Rodezji czy Afryki Południowo-Zachodniej zachowają prawo wyboru innego miejsca do życia, opuszczając kolonizowany kraj afrykański. Afrykanerzy muszą znaleźć wspólny język z Afrykanami. Innego wyjścia nie ma. Ale w RPA mało kto to rozumie. I nie tylko w RPA.

„Obrońcy białej władzy — pisał niedawno „Le Monde" — **dysponują poważnymi atutami: potężną armią, która wcześniej czy później będzie wyposażona w broń atomową — jeśli jej jeszcze nie ma — dynamicznym przemysłem, ogromnymi rezerwami złota i diamentów, a także, wraz z Przylądkiem Dobrej Nadziei i sąsiednią bazą Simonstown, pozycją strategiczną, której utratę świat zachodni odczułby dotkliwie".**

Kolonizatorzy więc nie rezygnują. Łagodzą wprawdzie apartheid, starając się tym pozyskać przychylność Afryki i świata, ale nie mają zamiaru go znieść. Deklarują chęć przyznania praw czarnej większości, ale w ramach swojej dominacji. Szykują różne pułapki, aby nawet po nadaniu niepodległości Namibii, zachować tam swoje wpływy. W tym celu tajna służba RPA — BOSS przy pomocy specjalistów z USA i... Izraela szkoli agentów, którzy byliby skłonni rozbić SWAPO od wewnątrz i byli przygotowani do tego, aby po uzyskaniu niepodległości przez Namibię prowadzić tam działalność dywersyjną. Prowadzi się również starania, aby w niedalekiej już przyszłości uzależnić gospodarkę Namibii od gospodarki RPA.

Można przeciwstawiać się ruchowi wyzwolenia południowej Afryki spod kolonialnego panowania białej mniejszości. Można hamować proces kształtowania się ruchu wyzwoleńczego, który cierpi dość często na wewnętrzne sprzeczności i plemienne antagonizmy, na brak ideowych programów, wchłaniając czasem wszystko, co okazuje się przydatne dla walki wyzwoleńczej, ale nie można w ogóle procesu wyzwalania się Afryki zatrzymać.

Opracował:
LUCJUSZ WŁODKOWSKI

DNI OŚWIATY KSIĄŻKI i PRASY

MAŁO KSIĄŻEK ZA ROGATKAMI

Czy książka wymaga dzisiaj energicznej, dobrze zorganizowanej propagandy w drodze do czytelnika? Nieprzypadkowo stawiam to pytanie, zdarzało mi się bowiem słyszeć sprzeczne odpowiedzi. Powiadają jedni, że dobrej książce nie jest już potrzebna żadna propaganda. Wystarczy tylko zapowiedzieć jej wydanie, wystawić w księgarni a czytelnicy sami się ustawią w karnej kolejce, przy czym większość odejdzie rozgoryczona. Dawniej zdarzało się niekiedy, że poszukiwanych książek nie brakowało, obecnie z reguły darmo ich szukać, chyba przez znajomości. Krewniacy, kumple pośród sprzedawców, zza księgarskiej lady wciąż zyskują w cenie Wiadomo, papieru brak, nakłady dzieł ogólnie pożądanych nie odpowiadają realnym potrzebom, są stanowczo zbyt niskie. Po cóż więc kosztowna propaganda?

Tego rodzaju stanowisko, słuszne w pewnej mierze, argumentowane bywa także dojrzałością naszego czytelnika, który uformował wcale zdrową i sensowną strukturę popytu na książki. Nie kupuje przecież wyłącznie kryminałów, czy łzawych romansów mimo zachęty ze strony filmu nie ogranicza się wyłącznie do klasyki, ale sięga po encyklopedie ogólne i tematyczne, rzuca się na słowniki psychologiczne, wierzeń religijnych, geograficzne, myśliwskie, gwar, zwrotów potocznych techniczne i jakie tylko chcecie. Ceni sobie chyba wysoko — jeśli zważyć na cenę — albumy, wydawnictwa bibliofilskie przepada za opasłymi pamiętnikami, poznaje bez trudu i kupuje natychmiast dobrą powieść nawet jeśli jeszcze niewiele wie o autorze. Zna bowiem już dobrze swoje potrzeby nasz polski czytelnik i umie wybrać książki, które uczą, rozwijają zainteresowania, lub też przynoszą miły wypoczynek w towarzystwie dzielnego oficera śledczego milicji i kilku nieboszczyków lub wrogów państwa.

Nie twierdzę, że jest inaczej, fakty mówią za siebie, dobra książka (zła też niekiedy) znika z księgarskich półek w okamgnieniu, a jednak chciałbym do tej optymistycznej sytuacji wnieść zastrzeżenia i to poważne. W moim przekonaniu mamy do czynienia z efektownym stanem pozornym. Proszę zwrócić uwagę na paradoks: sprzedaż książek rośnie szybko. W roku 1970 sprzedały nasze księgarnie książek za 1.950 milionów złotych, w roku 1976 za 3.640 milionów Wzrost szybki nawet po uwzględnieniu „cichutkich" podwyżek cen. Dłonie same składają się do oklasków. Toć przecież w roku ubiegłym ukazało się około 10 tysięcy tytułów w łącznym nakładzie ponad 150 milionów egzemplarzy! A na jednego mieszkańca kraju i tak przypada zaledwie 4,5 egzemplarzy książek rocznie, co oznacza, że wleczemy się przy końcu europejskiego ogonka, pozostajemy w tyle za krajami socjalistycznymi z wyjątkiem Albanii, jeśli należy to państwo brać pod uwagę. To także fakt uparty i rzeczywisty.

Propaganda książki bardzo jest potrzebna — powiadają inni, ponieważ książka rozchodzi się u nas nierównomiernie, trafia bez pudła do amatorów z dużych miast i ośrodków kulturalnych, omija jednak nadal tysiące małych i jeszcze mniejszych. Łudzimy się więc szukając dobrej książki w stolicy, mylimy sądząc, że jest bardzo dobrze, ponieważ za rogatkami dużych miast o czytelników znacznie trudniej.

Podczas obrad ostatniego Zjazdu Związku Pracowników Książki, Prasy i Radia wiele mówiono o potrzebie propagandy książki. Nietrudno się domyślić, że najwięcej postulatów kierowano pod adresem naszych księgarzy. Są to życzenia słuszne, ale część z nich z pewnością należy do znanego u nas gatunku pobożnych. Oto fragment jednego z głównych referatów:

„Przez swoją obecność w terenie, a także różnorodność form oddziaływania na odbiorcę, księgarnie mogą i powinny przekształcać się w ośrodki dostępnej dla każdego wiedzy ze wszystkich dziedzin życia: politycznego, ekonomicznego, społecznego i kulturalnego. Aby sprostać tak pojmowanym zadaniom, księgarz musi być nie tylko znawcą literatury pięknej, ale także — a może przede wszystkim — kompetentnym przewodnikiem w wielotematycznym skomplikowanym świecie lawinowo narastającej wiedzy, jaką przekazuje nam dzisiaj słowo drukowane".

Nic tu dodać i niczego ująć, to tak być powinno, ale przecież nie jest. Przeciętny bywalec księgarni bez trudu zauważa dużą płynność kadr za ladą. Ledwie zdąży dogadać się jakoś ze sprzedawcą co do poszukiwanych tytułów, a już przychodzi następny i trzeba wszystko zaczynać od nowa. Trzymają się tylko ci najstarsi, lubiani i szanowani. Zawód księgarza, tak to jest, nie należy do atrakcyjnych, praca trudna, wymagająca kwalifikacji, bez miała docenta, konferansjera, agitatora, płaca nie najlepsza. Od współczesnego księgarza żąda się prawie encyklopedycznej wiedzy, talentu propagandysty, pionierskiej postawy, zwłaszcza za rogatkami dużych miast, w tak zwanym terenie. Tam właśnie ciągną się obszerne połacie, puste, prawie dziewicze z punktu widzenia księgarza. Dwie trzecie naszych gmin w ogóle nie posiada żadnych placówek księgarskich. Teraz bez trudu rozumiemy ów żenująco niski wskaźnik książki na jedną czytelniko-głowę. Z tego mało budującego faktu wynika również i to, że rzadko po kraju rozrzucone księgarnie muszą obsługiwać zbyt wielką ilość mieszkańców, a to uniemożliwia poważną i skuteczną działalność popularyzatorską. W bieżącej pięciolatce ma powstać 650 nowych księgarń. Cieszymy się i z tego, ale równocześnie niezupełnie dajemy wiarę, inwestycje kulturalne nie mają u nas szczęścia. Tymczasem brakuje nam księgarń z prawdziwego zdarzenia w wielu wojewódzkich miastach. Około 1000 placówek księgarskich obsadzonych jest przez jedną, najwyżej dwie osoby, pracujących bez mała w przysłowiowych kurnikach. Tam się tylko sprzedaje, zabiega o wykonanie planów finansowych, o przemyślanej pracy upowszechnieniowej trudno mówić.

Brak także księgarń w nowych osiedlach mieszkaniowych, o czym łodzian przekonywać nie trzeba. Brak również wielkich, nowoczesnych, uniwersalnych księgarń, owych kombinatów, w których mogłyby się wykształcić nowe formy pracy z czytelnikiem i jego nowe potrzeby. Na dobra sprawę takiej księgarni nie ma nawet prawie milionowa Łódź, wciąż jeszcze przeważają stare, miłe ale przerabiane w nieskończoność, ciasne księgarnie.

Wskaźnik — 4,5 egzemplarza książki na jednego obywatela szybko rozwijającego się kraju można poprawić, przybliżyć do europejskiej przeciętnej, ale nie przy pomocy słusznych haseł. I nie tylko poprzez regulację płac i szkolenie księgarzy. Trzeba skrócić odległość książki od czytelnika, eksponować książkę. Ale nie przygodnie tylko w kioskach „Ruchu", w zadymionych, nieprzytulnych klubo-kawiarniach pomiędzy pastą do zębów i herbatnikami, ale na przejrzystych stelażach, w przyjemnej księgarni. Książka nie powinna konkurować z mydłem, środkami piorczymi i lemoniadą, a tak się dzieje zwłaszcza na wsi, skąd wciąż jeszcze po ulubionego autora, tytuł niezbędny przy zdobywaniu wiedzy, trzeba się wyprawiać jak po drogie prezenty.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

JUBILEUSZ WYDAWCY

Fot: W. Parys

Z dyrektorem Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego „Prasa–Książka–Ruch", mgr PIOTREM SAGANEM, rozmawia Włodzimierz Stokowski.

— Panie Dyrektorze, kiedy — po wyzwoleniu — ukazała się w Łodzi pierwsza gazeta w języku polskim?

— W styczniu 1945 roku, a ściślej mówiąc — 24 stycznia 1945 roku, w kilka dni po wyzwoleniu miasta przez wojska radzieckie. Była to gazeta „Wolna Łódź".

Pierwszy numer „Głosu Robotniczego" ukazał się 20 czerwca 1945 roku, „Dziennika Łódzkiego", obecnie „Dziennika Popularnego" — 1 lutego 1945 roku, a „Expressu Ilustrowanego" — 17 stycznia 1946 roku.

W tym czasie zaczęły powstawać Delegatury Spółdzielni Robotniczej „Prasa", które były zalążkiem przyszłego kształtu dzisiejszej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej. 25 kwietnia 1947 roku Komitet Centralny PPR podjął uchwałę o powołaniu do życia centralnej instytucji wydawniczej, mającej skupić w jeden organizm rozproszone wydawnictwa prasowe. 10 maja 1947 roku odbyło się pierwsze plenarne posiedzenie rady nadzorczej Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa". Program wydawniczy Spółdzielni głosił udostępnianie masom czytelniczym taniej prasy robotniczej, wydawanie literatury pięknej, popularno-naukowej, popieranie twórczości literackiej, że wymienię tylko najważniejsze punkty tego programu.

— Od tego czasu upłynęło już 30 lat. Czy zechciałby Pan powiedzieć, jak przebiegała ewolucja w nakładach łódzkich gazet na przestrzeni tego czasu?

— Trend stałego wzrostu nakładów najwyraźniej ilustrują liczby. Na przykład średni nakład „Głosu Robotniczego", w 1945 roku wynosił 37 tys. egzemplarzy, w 1976 roku — 267 tys., sobotnio-niedzielne nakłady pisma sięgają 540 tys. egzemplarzy. Równolegle z nakładem rosła ilość kolumn, dziś „Głos" wydaje 36 kolumn tygodniowo. Stałą tendencję wzrostu nakładów w ciągu tych minionych lat wykazywały także pozostałe łódzkie pisma.

— Skoro już jesteśmy przy liczbach, proszę powiedzieć, ile pism wydaje teraz Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, jakie to są tytuły i jakie mają nakłady?

— Wydajemy 8 tytułów: „Głos Robotniczy" — nakład, jak już wspomniałem: 267 tys. egzemplarzy, „Dziennik Popularny" — 94 tys. egzemplarzy, „Express Ilustrowany" — 113 tysięcy, „Odgłosy", tygodnik społeczno-kulturalny o charakterze strefowym, z nakładem ok. 19 tys. egzemplarzy, dwutygodnik satyryczny „Karuzela" o zasięgu krajowym i nakładzie ponad 600 tys. egzemplarzy oraz trzy tygodniki lokalne: „Gazeta Ziemi Piotrkowskiej" — nakład 17 tys. egzemplarzy, „Ziemia Łęczycka" — 12 tys. i „Życie Pabianic" — 8 tys. egzemplarzy. Mowa o nakładach średnich. Jednorazowy dzienny nakład średni prasy wydawanej przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe wynosi ponad milion egzemplarzy.

Pragnąłbym zwrócić uwagę na dynamiczny rozwój czytelnictwa w łódzkim regionie w okresie ostatnich kilku lat. Wiąże się to z szybko postępującą rozbudową regionu, urbanizacją, rozbudową przemysłu. W tym nader istotnym procesie przyswajania nawyków czytelniczych ważną rolę odgrywają czasopisma wydawane przez nasze Wydawnictwo.

— Jakie są perspektywy rozwojowe prasy łódzkiej?

— Są uzależnione od kilku czynników integralnie związanych z działalnością naszego Wydawnictwa. Za bardzo pilne zadanie uważamy opracowanie kierunków polityki wydawniczej, opartej na wnioskach wypływających z obserwacji i analizy procesów zachodzących w sferze czytelnictwa prasowego. Poszukujemy najlepszych dróg i sposobów dotarcia do czytelników poprzez trafne sformułowanie polityki kolportażowej opartej na badaniach geografii rozmieszczenia nakładów. Rozwiązanie tych i, oczywiście, wielu innych problemów, które trudno by szerzej omówić na tym miejscu, pozwoli nam na wykonanie głównego zadania Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego w systemie strefowego wydawania gazet, a mianowicie zapewnienie każdej rodzinie zamieszkałej na terenie województw: łódzkiego, piotrkowskiego, sieradzkiego i skierniewickiego choćby jednej gazety spośród naszych pism codziennych. Śmiem twierdzić, iż mimo różnych trudności obiektywnych, jak choćby trudności z papierem, zrobiliśmy na tej drodze duży krok do przodu.

— Panie Dyrektorze, jak plasujemy się z naszą prasą na nowych terenach, na które weszliśmy po reorganizacji administracji terenowej w 1975 roku?

— Chodzi tu przede wszystkim o rejony Opoczna, Sochaczewa i Żyrardowa. Początkowo mieliśmy trudności, ponieważ dominowała tam prasa warszawska, szczególnie na obszarze sochaczewsko-żyrardowskim. Przez pewien czas byliśmy eliminowani z rynku, powoli jednak zdobywaliśmy teren i dziś, dzięki rzetelnej informacji i publicystyce dotyczącej problematyki tych miast i aglomeracji, możemy mówić o rozwojowym trendzie naszej prasy na tych terenach.

Mają w tym swoją zasługę zespoły redakcyjne, ale nie tylko. Ogromną pomoc okazały nam tutaj poszczególne wojewódzkie instancje partyjne, które precyzyjnie i celnie pokierowały działalnością redakcji na tych terenach, czy to podczas obrad na radach redakcyjnych „Głosu Robotniczego", czy też na bieżąco konsultując kierownictwa redakcji.

— Jakie gazety tam docierają?

— Do Sochaczewa, Żyrardowa i Opoczna — „Głos Robotniczy" i „Dziennik Popularny".

— A „Odgłosy"?

— Też, ale „Odgłosy" i „Gazetę Ziemi Piotrkowskiej" staramy się kolportować przede wszystkim w Opocznie i w rejonie opoczyńskim, gdzie nie ma jeszcze nawyków czytania tych pism...

W Łódzkim Wydawnictwie Prasowym działa pracownia socjologiczna. Jaki program badań wykonuje i czy spełnia pokładane w niej nadzieje w dziedzinie badań prasoznawczych?

— Nie ulega wątpliwości, iż skuteczność oddziaływania środków masowego przekazu warunkuje rzetelna wiedza, znajomość problemów współczesnego społeczeństwa. Stąd konieczność systematycznego prowadzenia badań socjologicznych. W obliczu stale rosnących wymagań, zarówno naszego dysponenta politycznego jak i odbiorcy, wysuwanych pod adresem prasy regionalnej, stworzenie takiego ośrodka naukowo-badawczego stało się koniecznością. Ośrodek ten powinien spełniać funkcję doradczą dostarczając informacji naukowej, oddziaływać na doskonalenie warsztatu i pobudzać inwencję dziennikarską. Obok tego, wyniki tych badań stworzą, jeśli można tak powiedzieć, bank informacji dla redakcji naszych pism. Realizację tych zamierzeń na szerszą skalę hamują na razie trudności lokalowe.

Uważamy, że nasza pracownia socjologiczna powinna działać w dwóch kierunkach — w aspekcie wewnętrznym na linii: redakcje — pracownia i pracownia — redakcje oraz w aspekcie zewnętrznym jako instrument badań prasoznawczych dysponenta politycznego.

— Czy ośrodek opracował już metody pracy badawczej?

— Częściowo. Ale zrobiono już sporo. Konstruuje się jeszcze narzędzia badawcze, przygotowuje koncepcje organizacyjno-technicznego opracowywania wyników badań i przygotowywania ich do publikacji w formie referatów, komunikatów, informacji czy też szerszych prac publicystycznych. Przychodzą nam tutaj z pomocą redakcje łódzkich gazet. „Głos Robotniczy" uwzględnił w planie redakcyjnym w 1974 roku jeden z tematów badawczych naszej pracowni socjologicznej, dotyczący czytelnictwa wśród młodzieży pracującej. W ubiegłym roku wykorzystaliśmy już materiały uzyskane z podobnej sondy socjologicznej, zamieszczonej również na łamach „Głosu", dotyczącej środowiska młodzieży akademickiej.

Nasza placówka socjologiczna opracowuje także wyniki badań treści materiałów zamieszczanych na łamach łódzkich czasopism. Analizy te, prezentowane poszczególnym redakcjom, ukazują zawartość treściową gazet i czasopism, wydawanych przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w układzie tematycznym, rodzajowym i merytorycznym.

— Z tego, co Pan powiedział wynika, że pracownia socjologiczna przy ŁWP jest zaawansowana w pracach badawczych. Czy ma ona jakieś dane dotyczące zmian w preferencjach czytelniczych odbiorców naszej prasy?

— Tak. Jeśli chodzi o sprawy merytoryczne, to czytelnik żąda od redakcji pełniejszej interpretacji ważnych wydarzeń w kraju i na świecie, żąda treściwej publicystyki, pogłębionej informacji. Ale przede wszystkim nasi czytelnicy wysuwają konkretne postulaty tematyczne. I tak na przykład 37 proc. ankietowanych czytelników uważa, że na łamach pism zamieszcza się zbyt mało materiałów dotyczących zwyczajów i obyczajów ludzi w Polsce i na świecie, ich sposobów bycia, poglądów na różne sprawy życiowe, 31 proc. ankietowanych pragnie widzieć więcej artykułów poruszających zagadnienia polityki krajowej i międzynarodowej, działalności różnych partii politycznych na Zachodzie, publicystyki z dziedziny walk narodowo-wyzwoleńczych, rozbrojenia, międzynarodowego odprężenia, przewrotów, naświetlania działalności organizacji neofaszystowskich i in., 28 proc. czytelników domaga się więcej informacji na temat turystyki, sportu, powitałoby także z zadowoleniem więcej rozrywek umysłowych i humoru. 25 proc. ankietowanych wyraża opinię, iż za mało miejsca poświęca się w gazetach sprawom nauki, oświaty i wychowania. Więcej publicystyki poruszającej problematykę wsi i rolnictwa domaga się 20 proc. ankietowanych.

— Te wskaźniki procentowe świadczą o jakościowej ewolucji w preferencjach czytelniczych. Wynika to niewątpliwie z postępów w edukacji społeczeństwa. Czytelnik jest teraz bardziej wymagający, bardziej refleksyjny.

— Z pewnością. Z badań prowadzonych przez naszą pracownię socjologiczną wynika jeszcze, że czytelnik oczekuje od autorów publikacji prasowych znajomości rzeczy w poruszanych sprawach, zwięzłości i klarowności sądów, krótkiej formy zawierającej istotną treść, rozszerzającą wiedzę z danej dziedziny, czystości języka.

— Inaczej mówiąc — na pohybel wodolejstwu, gadulstwu i tasiemcowym dywagacjom o niczym.

— Właśnie.

— Czy w preferencjach czytelniczych odbiorców naszej lokalnej prasy nastąpiły jakieś zmiany w okresie ostatniego roku? Mam na myśli okres 1975—1976. Pracownia socjologiczna ŁWP prowadziła z pewnością takie badania porównawcze.

— Owszem, przeprowadzono taką konfrontację zainteresowań czytelników. Wynika z niej, że w roku 1976 nastąpił dalszy wzrost zainteresowania problematyką społeczno-obyczajową, zagadnieniami polityki w kraju i na arenie międzynarodowej oraz tematyką wsi i rolnictwa. Natomiast wyraźnie zmniejszyło się zainteresowanie czytelników sportem. Sport już od pewnego czasu bardzo wyraźnie traci uprzywilejowaną dotąd pozycję w zainteresowaniach czytelniczych.

W 1976 roku większe zainteresowanie niż w roku poprzednim wzbudzały artykuły dotyczące budownictwa mieszkaniowego, komunikacji miejskiej, usług, handlu, przemysłu spożywczego i służby zdrowia.

— Ta jakościowa ewolucja w wymaganiach czytelnika jest szczególnie uderzająca, jeśli porównać ją dziś z wynikami dorywczych badań ankietowych lat 50-tych i 60-tych. Tu już można mówić o skoku. I to zobowiązuje zespoły redakcyjne.

— Na pewno. Najważniejszym zadaniem redakcji pism łódzkich i terenowych jest stałe podnoszenie poziomu gazet. Wymaga to dużych umiejętności, fachowości, doświadczenia, doskonalenia organizacji pracy, zwiększenia operatywności działania. Nawiązanie dialogu: dziennikarz-czytelnik jest na łamach gazety główną wykładnią politycznej działalności naszej partii, zjawisk zachodzących w naszym kraju. Stopień zaspokajania słusznych potrzeb czytelniczych społeczeństwa naszego regionu jest jednym z głównych kryteriów oceny prawidłowego funkcjonowania prasy. Zadanie to może wykonać tylko zaangażowana politycznie, dobrze przygotowana fachowo, ideowa kadra dziennikarska.

Wiodącą rolę w tym procesie, na naszym terenie, odgrywa Dziennik Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej — „Głos Robotniczy".

Kończąc naszą rozmowę, pragnę jeszcze, z okazji trzydziestolecia działalności Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, podziękować wszystkim naszym dziennikarzom, drukarzom, pracownikom administracji i obsługi, pracownikom kolportażu za ich trud, dzięki któremu gazety i czasopisma wydawane przez ŁWP docierają codziennie do rąk naszych Czytelników, oraz złożyć Im najlepsze życzenia dalszych sukcesów w pracy.

— Dziękuję za rozmowę.

Fot: W. Parys

30 LAT

HENRYK RUDNICKI

NARODZINY GIGANTA

Na pierwszej powojennej gazecie łódzkiej, która nosiła tytuł „Wolna Łódź" — nie było wydawcy. Podpisano ją krótko: **„Kolegium redakcyjne. Drukarnia Państwowa w Łodzi, ul. Piotrkowska 86".** Ukazująca się w tych samych dniach gazeta w języku polskim „Wolność" — sygnowana była przez **„Polityczne kierownictwo frontu dla polskiej ludności".** „Głos Robotniczy" miał już autentyczny kolofon: Wydawca: **Komitet Wojewódzki PPR w Łodzi.** „Dziennik Łódzki" wydawany był przez spółdzielnię **„Czytelnik",** założoną w dniu 1 października 1944 r. w Lublinie, przez Jerzego Borejszę. Stopka „Głosu Ludu" powiadamiała, że jest to **organ KC PPR.** „Robotnik" w specjalnym anonsowym kwadracie obwieszczał, że wydawcą tej gazety jest **Rada Naczelna PPS,** redaguje **Komitet,** a nakładcą jest spółdzielnia wydawnicza **„Wiedza".**

Jednym słowem — co gazeta to inny wydawca, inna drukarnia, a nawet inny kolporter. Gdy zaś kolporterów brakło — brali gazety pod pachę członkowie zespołów redakcyjnych. Ochotnicy — kolporterzy — sprzedawali gazety po fabrykach, zakładach i instytucjach.

* * *

W drukarni przy ul. Piotrkowskiej 86 drukowano najprzeróżniejsze dzienniki, i to przeważnie naraz, w jednym i tym samym czasie. Były to dni i noce gorące — mimo zimy. Poukrywani w schronach i kanałach rzeki Łódki straceńcy spod znaku swastyki — dawali znać o sobie. Strzelali do żołnierzy radzieckich i polskich, do działaczy partyjnych. Trzeba ich było kurzyć jak lisy z nor. W jednym wypadku dosłownie kilkunastoma snopkami słomy! (W podziemnym kanale Łódki, na terenie dzisiejszego parku staromiejskiego im. Bolesława Bieruta).

Brak jednego, sprawnego i sprężystego wydawcy już w czasach „Wolnej Łodzi" dawał się we znaki. Na przykład należności za tę gazetę wpływały przeważnie w markach niemieckich. Mieliśmy tych marek pełną szafę. Z wymianą marek na nowe złotówki — były trudności. Wymieniano tylko po 500 marek na głowę i to wyłącznie za odcieciem lewego górnego różka niemieckiej „palcówki" (To odcinanie uratowało niejednego kolaboranta od zasłużonej kary! Szpicle nosili bowiem „palcówki" ze specjalnym znakiem rozpoznawczym dla gestapo (napis „Beyer") — umieszczonym właśnie w lewym górnym rogu „palcówki". Wyrodków posiadających podobne dowody nie zatrzymywano podczas obław i łapanek).

Ale wróćmy do problemu wydawcy. Każdy dziennikarz, każdy pracownik drukarni wiedział doskonale, że taka partyzancka robota drukarska, wydawanie gazet przez najrozmaitsze organizacje — do niczego dobrego nie doprowadzi. Potrzebna więc była jedna silna organizacja wydawnicza, która troszczyłaby się o papier, o farbę drukarską, zabiegała o nowe drukarskie maszyny i czcionki. Bo stare łódzkie poligraficzne remanenty — solidnie podniszczone już przez okupanta — wykruszały się piekielnie szybko. Bezustannie eksploatowane czcionki tytułowe sprawiały wiele bolesnych niespodzianek. Starsi drukarze pamiętają dobrze owe przypadki, gdy u czcionek tytułowych zaczęły się zdzierać i wykruszać ostre stożki. Na przykład z małej litery t — po kompletnym zużyciu ostrego wierzchołka powstawała litera r. Można sobie wyobrazić jakie na skutek tej zamiany działy się cudeńka i cuda!

Potrzebne więc było wydawnictwo zdolne sprowadzać z zagranicy tysiące ton drukarskiego papieru, o który w świecie już wtedy było coraz trudniej. Wydawnictwo, które domagałoby się rozbudowy polskiego przemysłu poligraficznego, papierniczego, nowych fabryk farb drukarskich, wydawnictwo, które mogłoby budować coraz bardziej nowoczesne drukarnie w kraju.

Kto tedy pierwszy rzucił projekt założenia spółdzielni prasowej, wydawniczej? Spółdzielni, która przejęłaby wszystkie redakcje i drukarnie partyjne? Wydawnictwa, które zatroszczyłoby się o rozbudowę bazy maszynowej i ludzkiej, fundowało instytuty i szkoły poligraficzne, wysyłało najzdolniejszych drukarzy na studia za granicę?

Zapalili się wszyscy do tego projektu. Edward Uzdański z „Głosu Robotniczego" — po powrocie z kolejnej narady w KC rozmawiał o tych problemach z członkami kolegium. Już był gotów założyć na własne ryzyko nową spółdzielnię wydawniczą — powiedzmy jako konkurenta „Czytelnika". W tym samym czasie mieliśmy już **„ŁÓDZKI INSTYTUT WYDAWNICZY",** który drukował książki dla młodzieży, tygodnik „Przygodę" oraz pismo satyryczne „Rózgi".

Uzdański wydobył z biurka kilkanaście arkuszy poliniowanego papieru i napisał — w swoim przekonaniu — historyczny nagłówek:

LISTA CZŁONKÓW — FUNDATORÓW ODDZIAŁU ŁÓDZKIEGO ROBOTNICZEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ.

— Kto się wpisuje pierwszy? — zapytał.

— Wpisz się sam pierwszy, dla przykładu.

Wpisał tedy: Edward Uzdański deklaruje udział w wysokości trzech pensji miesięcznych, płatny ratami w ciągu roku.

— Terefere — ktoś się sprzeciwił. Za te grosze nie wybudujemy nawet garażu! Wiecie ile milionów będzie potrzeba na nową drukarnię?

Uzdański zapalił się: — O ludzie słabej wiary! A nasza drukarnia przy ul. Żwirki — z czego powstała? Z zagranicznych pożyczek? Jeździliśmy po Polsce starymi fordami i dodżami wybierając z gruzów rozbite linotypy, składaliśmy rotację z kupy wrocławskiego złomu. A teraz ta nasza drukarnia pracuje!

Więc podchodziliśmy do biurka kolejno i składaliśmy deklarację naszego udziału w tym wielkim dziele. Wpisywaliśmy nazwiska, wysokość udziału, w jakich ratach potrącać. Ot, ojcowie — założyciele!

Podsumowano listę. Suma była znaczna. Jeżeli w podobny sposób postąpią wszystkie wydawnictwa partyjne w kraju — to będzie można zaczynać!

* * *

Po trzech dniach Uzdański znów wraca z KC i od progu rzuca „bombę":

— Niepotrzebne wszystkie nasze podpisy i subskrypcje!

— Jak to? Nie będzie Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej?

Wyczekał dłuższą chwilę jak dobry aktor i powiada:

— Za mało nas! Sumy śmieszne... Ale Warszawa coś lepszego wymyśliła. Tę naszą Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą, naszą partyjną i związkową — stworzą wszyscy członkowie Polskiej Partii Robotniczej, cała CRZZ, wszystkie kobiety polskie zrzeszone w Lidze Kobiet. I cała młodzież polska ucząca się i pracująca. I całe Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Wszystkie te instancje i człony — jako osoby prawne, w imieniu nas wszystkich.

To wszystko jest już na warsztacie w KC! I będzie się ta spółdzielnia nazywała **ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „PRASA" — z młotem w herbie!**

* * *

Owszem, można było założyć spółdzielnię wydawniczą sposobem chałupniczym, za pomocą zbierania drobnych udziałów jak na kooperatywę PSS czy sklep „Społem". Trwałoby to nieskończenie długo i nie rokowało szybkich sukcesów. Wydawnictwo prasowe bowiem to nie spółdzielnia krawiecka, czy kooperatywa spożywców. Tu nie wystarczy kilka lad sklepowych czy dwu szaf chłodniczych. W nowoczesnym dziennikarstwie pracują już maszyny kosztujące miliony, urządzenia elektroniczne, międzynarodowe teleksy, najnowocześniejsze media przesyłania i rozprzestrzeniania informacji.

Międzynarodowemu Związkowi Spółdzielczemu — International Cooperative Alliance, z siedzibą w Anglii, nie podobały się poczynania polskich spółdzielców. Brytyjscy tradycjonaliści wierzą święcie tylko w pierwszy statut spółdzielni powstałej w roku 1844 w mieście Rochdale. „Statut Rochdalski" — owa biblia kooperatystów angielskich — dążył jeno do ograniczenia wyzysku uprawianego przez kapitał prywatny. Cały ich postęp to była sprawiedliwa regulacja cen rynkowych oraz... dywidendy. Niewiele lat wstecz udział handlu spółdzielczego w obrotach detalicznych wysp brytyjskich — wynosił od 6 do 14 procent.

Z tych właśnie „ewolucyjnych" względów International Cooperative Alliance orzekł, że polska spółdzielczość kłóci się ze statutem rochdalskim — rzekomo najstarszym statutem spółdzielczym na świecie!

A przecież Stanisław Staszic już w roku 1816 stworzył spółdzielcze Hrubieszowskie Towarzystwo Rolnicze, na 28 lat przed Anglikami.

„Gniewy" trwały kilka lat. Dzisiaj spółdzielcy brytyjscy przyjeżdżają podziwiać osiągnięcia RSW „Prasa—Książka—Ruch", osiągnięcia naszego „Społem" (tytuł zaproponowany przez Stefana Żeromskiego), a zwłaszcza interesują się naszą spółdzielczością mieszkaniową!

* * *

RSW „Prasa" powstała trzydzieści lat temu, w roku 1947. W następnym roku połączyła się z pionami prasowymi pepeerowskiej „Książki" i pepeesowskiej „Wiedzy". W roku 1950 oddano do użytku jeden z największych w Europie ośrodków poligraficznych — **Dom Słowa Polskiego w Warszawie.** W roku 1951 RSW „Prasa" połączyła się z Instytutem Prasy Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik". Już w tym czasie RSW „Prasa" przejęła 24 terenowe wydawnictwa prasowe, 172 dzienniki i czasopisma, 10 wielkich drukarń i trzy agencje prasowe: AR (Agencja Robotnicza), Interpress, CAF (Centr. Agencja Fotograficzna), WAG (Wyd Artystyczno-Graficzne), Dokumentację Prasową oraz Ośrodek Badań Prasoznawczych w Krakowie. W następnych latach doszlusowały przedsiębiorstwa upowszechniające prasę i książkę „Ruch". I tak ostatecznie narodził się i wykrystalizował polski gigant drukowanego słowa: **Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa—Książka—Ruch",** którą od wielu lat kieruje nasz łódzki dziennikarz, były naczelny redaktor „Dziennika Łódzkiego" i „Głosu Robotniczego" tow. prezes Stanisław Mojkowski.

Foto: W. Parys.

ŻYCIE SPOŁECZNE

Mało kto wie, że sądy w PRL, obok funkcji ochronnych, mają też do spełnienia zadania wychowawcze, co wyraża się we właściwym kształtowaniu poglądów, postaw i zachowania obywateli, zarówno tych, którzy naruszyli normy prawne, jak i ich otoczenia, a w szerszym zakresie — całego społeczeństwa. Najwięcej nieporozumień budzą funkcje wychowawcze sądu w stosunku do osób dorosłych, którzy naruszyli prawo. Jak bowiem sąd może wychować przestępcę, który dokonał zbrodni? — słyszy się takie pytania. Co innego nieletni. W stosunku do nich sąd nie stosuje kar, a tylko środki wychowawcze.

ZOFIA TARNOWSKA

NIE TYLKO KARA

Funkcja kary

Sądy, wymierzając sprawiedliwość, dbać muszą również i o to, by chronić społeczeństwo przed przestępstwami. Karząc, pamiętać muszą o tym, że kara ma też walor wychowawczy, zapobiega szerzeniu się przestępczości i utrwala w świadomości społeczeństwa konieczność poszanowania prawa. Kara zawiera w sobie następujące funkcje: represyjną, co rozumie się jako zaspokajanie społecznego poczucia sprawiedliwości, prewencji specjalnej — czyli resocjalizacyjne oddziaływanie na samego sprawcę i prewencji ogólnej — czyli wychowawczego oddziaływania kary na społeczeństwo.

Dla uczciwych członków społeczeństwa sama wiadomość o ukaraniu winnych naruszenia prawa ma duże znaczenie wychowawcze, przekonuje bowiem o rzeczywistej sile prawa, które skutecznie ochrania panujące stosunki społeczne. Sprzyja to kształtowaniu wśród ludzi nietolerancyjnego stosunku do przypadków naruszania prawa i skłania do współdziałania z organami państwa w zwalczaniu przestępczości.

Dialog z obywatelami

Społeczeństwo powinno wiedzieć, że normy prawa są istotnie przestrzegane i szanowane, a tych, którzy je naruszają, spotyka zasłużona kara. W tym zawarte jest wychowawcze oddziaływanie postępowania sądowego. Dostarcza ono codziennie stałych dowodów, że prawo oznacza prawo. Sądy, rozstrzygające różne sprawy, prowadzą ustawiczny dialog z obywatelami, przekazując im określone treści moralne, prawne i polityczne. Przyczynia się do tego zasada jawności, kiedy rozprawa odbywa się jawnie, a na salę sądową mają wolny wstęp wszyscy, dzięki czemu wymiar sprawiedliwości dokonuje się publicznie i pod kontrolą społeczeństwa. Od tej zasady stosuje się wyjątki tylko w szczególnych przypadkach.

Wolny wstęp publiczności na każdą z sal rozpraw, możliwość obserwowania toczącego się procesu i wysłuchania orzeczenia, jakie jest ogłaszane — wszystko to oddziaływuje wychowawczo na publiczność, a za jej pośrednictwem na społeczeństwo.

Warto jednak pamiętać, że do sądu przychodzą najczęściej osoby zainteresowane procesem, bliskie i znajome oskarżonego lub pokrzywdzonego. Rodzi to niekiedy sytuacje, w których emocje kierują się w jedną stronę, prowadzi do napiętnowania, wyrażania woli, aby winny był jak najsurowiej ukarany. Nie raz sąd musi przywoływać publiczność do porządku, korygować jej reakcje.

Czy sąd ma wpływ na dobór publiczności? Mógłby mieć. Zwracałam niejednokrotnie uwagę na rozprawy, na których sądzi się afery gospodarcze, duże kradzieże mienia społecznego. Na tych rozprawach powinni znaleźć się przedstawiciele organizacji związkowych i politycznych, organizacji społecznych i gospodarczych. Wydaje się, że sąd może przekazać sygnał o takiej sprawie do zainteresowanego zakładu pracy, a organizacje w nim działające mogą zdecydować, kto może i powinien wziąć udział w rozprawie i jak wykorzystać dokonane tam spostrzeżenia.

D.S. Kariew, pisząc o radzieckim ustroju sądów, uważa, że wychowawcze oddziaływanie sądu jest tym skuteczniejsze, im większa liczba osób obecna jest na rozprawie sądowej. Rzecz jednak w tym, że rzeczywista reprezentacja pracującego społeczeństwa nie ma czasu na przychodzenie do sądów.

Sposobem na zbliżanie spraw sądu do społeczeństwa jest przeprowadzanie rozpraw poza budynkiem sądowym, w określonym środowisku, gdzie działali sądzeni. W praktyce sądów radzieckich metoda przeprowadzania rozpraw sądowych na terenie zakładów pracy czy w kołchozach jest stosowana dość często zaleca ją zresztą uchwała Plenum Sądu Najwyższego ZSRR. U nas, po nie najlepszych doświadczeniach, metoda ta nie jest raczej stosowana.

Nie docierający głos

Przy okazji warto zwrócić uwagę na jeden ważny — moim zdaniem — szczegół: nieakustyczność sal rozpraw, a przede wszystkim największej, na której odbywają się tzw. duże procesy. W każdym przypadku to, co się dzieje przy stole zespołu sędziowskiego, powinno docierać do uszu wszystkich uczestników. Najczęściej jednak sąd musi prosić i oskarżonych i świadków o podnoszenie głosu, żeby nawet do zespołu sądzącego docierały ich słowa. Często obrońcy zwracają się do sądu z prośbą, aby osoby składające wyjaśnienia czy zeznania mówiły głośniej. A już najgłośniej powinny brzmieć dla całej sali słowa uzasadnienia wyroków. Wówczas przecież dokonuje się ostatecznego podsumowania stopnia winy, podaje się wersję wydarzeń ustalonych w toku postępowania dowodowego, przytacza się główne dowody, podaje ocenę sądu, motywuje się wymiar kary, a motywy te adresowane są nie tylko do oskarżonych czy pozwanych. Oceniane są również postawy świadków, wiarygodność ich zeznań, lub niedostatek czy błędy w stosunku do faktów podawanych w czasie śledztwa. To są bardzo ważne sprawy i powinny one docierać do uszu wszystkich. Tymczasem, po zakończeniu rozprawy, często słyszy się pytania ze strony osób opuszczających salę: — na ile ich skazali? Co mówił sędzia?

Coraz więcej sądów, nawet rejonowych, dorobiło się radiofonizacji. Świadkowie wzywani są na salę przez głośniki. Sąd Wojewódzki w Łodzi jeszcze się tego niezbędnego urządzenia nie dorobił. Omawianie i analizowanie orzeczeń sądów znajdujemy co prawda w prasie, ale jest to przekaz pośredni. Inne wrażenie i inne doznania płyną z bezpośredniego odbioru. Dlatego uważam za stosowne zwrócić uwagę na konieczność unowocześnienia sal sądowych.

„CUDZE LISTY"

Wszystkim tym, którzy przed kilku laty odnaleźli w filmie Ilij Awerbacha „Monolog" świat sobie bliski, można polecić najnowszy film tego reżysera pt. „Cudze listy". Oba te utwory łączy wspólna tonacja, a tworzy ją szczególne wyciszenie ekranu. Awerbacha nie interesuje dynamizm, gwałtowność, tempo, a często i brutalność współczesnego świata. Swoją i naszą uwagę skupia na tych sprawach, którymi coraz rzadziej zajmuje się sztuka. Ilję Awerbacha interesuje wewnętrzny świat człowieka, jednakże obserwuje go i analizuje w kontekście tych przejawów społecznego życia, które mają wpływ na jego ukształtowanie. Ilja Awerbach uczy przy tym szacunku dla indywidualności człowieka, walczy o prawo zachowania i pielęgnowania cząstki tego, co własne, niepowtarzalne, niepodatne na uniformizację. Dla obrazu tych spraw tworzy w swych filmach atmosferę pełną nostalgii i mądrej zadumy, wypływa ona zapewne ze świadomości, iż dostrzegalne we współczesnym świecie procesy homogenizacji, standaryzacji i stereotypizacji życia sięgają głębiej i dotykają nie tylko zewnętrznych przejawów życia. Oglądając filmy Awerbacha, ale przecież i innych jego kolegów także, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że wielkie tradycje rosyjskiej literatury są ciągle jeszcze żywe.

Bohaterkami filmu „Cudze listy" uczynił Awerbach nauczycielkę — Wierę i jej uczennicę Zinkę, żyjące w małym miasteczku. Ich portrety służą zobrazowaniu spraw, o których tu mowa, a przedstawiony konflikt wykracza daleko poza układ: dorośli — młodzi, nauczyciel — uczennica. Służy analizie różnych życiowych postaw.

Ilja Awerbach — wróg stereotypu, tworzy sytuację odbiegającą od dominujących układów w tradycji tematu: wychowawca i jego podopieczny. W jego filmie postacią i osobowością silną, łamiącą drugiego człowieka jest... uczennica. Człowiekiem delikatnym, kruchym, wrażliwym — nauczycielka. I nie sądzę, że pogoń za oryginalnością doszła tu do głosu. Ten układ sił był Awerbachowi potrzebny. Wiera jest człowiekiem dorosłym i ukształtowanym, jej wybory i decyzje nie są młodzieńczym gestem. Jest jaka jest, bo inna nie potrafi, nie chce być. Jej bezinteresowność, zdolność do ofiar i wrażliwość skazują ją na dosłowną i metaforyczną samotność. Jej wybory są jednak w pełni świadome, są wyrazem wewnętrznej koncentracji, w nich Wiera ciągle znajduje potwierdzenie siebie. Jest to tym bardziej piękne i nieoczekiwane, że jest przy tym pozornie kobietą słabą i delikatną. Podkreślić tu należy osobowość aktorską Iriny Kupczenko, znanej naszej publiczności z pięknych ról w „Wujaszku Wani" i Szlacheckim gnieździe".

Zinka, 16-letnia uczennica Wiery jest jej przeciwieństwem, choć takie cechy jak uczciwość i szczerość są dla nich wspólne. Uczciwość Zinki idzie w parze z postawą skrajnej bezkompromisowości — jest w niej wobec ludzi wprost okrutna. Nie istnieją dla niej żadne sytuacje szczególne. Zinka „wie", co jest złe a co dobre i swą „wiedzę" pragnie narzucić innym, pragnie też ich sobie podporządkować. W kreacji postaci Zinki odnaleźć można pewną głęboką refleksję. Zinka jest tworem pewnej ogólnej atmosfery wychowawczej, pewnego stereotypu stworzonych wzorców, które tak łatwo nazwać pozytywnymi. Dlatego Zinka nigdy nie zrozumie indywidualności i motywacji postępowania swej nauczycielki.

Film „Cudze listy" jest jedną z najgłębszych i najwnikliwszych wypowiedzi, jakie dane mi było widzieć i słyszeć, dotyczącą zarówno szkolnego jak i pozaszkolnego systemu kształtowania osobowości młodego człowieka. Jest to wypowiedź nie dająca ocen wartościujących, lecz w sposób mądry i odpowiedzialny stawiająca fundamentalne dla zagadnień tych pytania. Pytania, na które na pewno próby odpowiedzi podejmować powinni nie tylko nauczyciele. Film Ilji Awerbacha pytania związane z problemem tożsamości człowieka wyprowadza z sytuacji, w której zaczyna się ona rysować, w momencie, gdy człowiek zaczyna sam dokonywać świadomych wyborów, lecz „dorosły czas" Zinki jest już przed nią blisko.

Przy okazji swego filmu Ilja Awerbach powiedział: „Wychowanie, to wzajemna relacja pomiędzy ludzkimi duszami. Film będzie traktować przede wszystkim o tym, a nie o stosunku uczennicy do nauczycielki".

EWA NURCZYŃSKA

KINO WŚRÓD KWIATÓW

MARIA KORNATOWSKA

SAN REMO, perła liguryjskiej Riwiery, piosenką kwiatami i kasynem słynąca. Na rozsłonecznionych stokach górskich łagodnymi tarasami spadających ku Morzu Śródziemnemu, już wczesną wiosną rozkwitają wspaniałe dywany goździków, frezji, róż. Tu działają bowiem najmocarniejsi w Europie „badylarze", sławni plantatorzy i eksporterzy kwiatów. Na miejscowym targu przyciągają oczy zupełnie nieprawdopodobne, bajeczne wprost kształty i barwy kwiatów.

Lokalna komórka partii radykalnej — walczącej o realizację swobód demokratycznych, o prawa kobiet i młodzieży — zorganizowała manifestację uliczną pod hasłem: „Na przemoc odpowiadamy kwiatem". Przechodniom wręczano ulotki oraz bladoróżowe frezje, fioletowe goździki i wspaniałe, jakby malowane, herbaciane róże. Niezależnie od nieznanego mi bliżej — przyznaję — programu politycznego partii radykalnej manifestacja ta wydała mi się zjawiskiem wielce sympatycznym w kraju, gdzie przemoc staje się chlebem codziennym, gdzie tytuły gazet krzyczą nieustannie o brutalnych zabójstwach, zbiorowych gwałtach, porwaniach, gdzie w repertuarze kin mnożą się chorobliwe utwory kultywujacé sadyzm i okrucieństwo w rozmaitych odmianach. Utajony niepokój i niepewność przyćmiły — jak się zdaje — sławiony przez poetów i piosenkarzy lazur włoskiego nieba.

Nawet pogoda nam nie sprzyja — ubolewają mieszkańcy San Remo. Ubiegłego lata lało. Od dziesięciu lat nie notowano tak chłodnej i dżdżystej wiosny, a przecież San Remo chlubi się łagodnością klimatu oraz intensywnością słonecznych promieni. I w tej dziedzinie nastał kryzys — powiadają Włosi.

Obsesja kryzysu jest powszechna. Mieszczańsko-liberalny dziennik „Corriere della Sera" opublikował niedawno artykuł na temat zachwiania się niepodważalnej dotąd w krajach Północy renomy Włochów jako wspaniałych, nieodpartych uwodzicieli. Badania naukowe poddały ponoć w wątpliwość mit „latin lover" czyli łacińskiego kochanka, a w związku z rozwojem ruchu feministycznego na światową skalę, wymagania pań znacznie wzrosły. W mit włoskiej męskości ugodził ostatecznie, ku oburzeniu swych ziomków, sam mistrz Fellini w „Casanovie". Istnieje zatem obawa, że liczba turystek śpieszących do Italii ze Skandynawii, Niemiec, Anglii i Stanów Zjednoczonych znacznie się obniży.

Krytyczna sytuacja sprawiła, że Włosi, którzy zgodnie z powszechną opinią jeszcze nie tak dawno pasjonowali się głównie miłością, sportem (jako kibice oczywiście), samochodami i piosenką, nagle rzucili się w wir dysput politycznych. W ciągu kilku lat zaledwie niesłychanie wzrosła aktywność polityczna społeczeństwa. Ożywiła się ogromnie działalność partii i ugrupowań polityczno-społecznych. Niemal na czoło życia publicznego wysunął się ruch feministyczny, mobilizując w swe szeregi płeć nadobną od uczennic począwszy, a na emerytkach skończywszy. Dynamika tego ruchu jest zadziwiająca, zważywszy dotychczasową pasywność Włoszek i anachronizmy obyczajowe Italii. Teraz panie żądają wyzwolenia i równouprawnienia na wszystkich frontach. Odżegnują się od rodziny, macierzyństwa i tak dalej. Jak to zwykle bywa w takich okolicznościach, dochodzi do wystąpień ekstremalnych, lub po prostu zabawnych. Zapomina się o tym, że rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana niż założenia, słuszne zresztą w swej istocie, jakiegokolwiek ruchu. Wyzwolenie obyczajowe i równouprawnienie nie rozwiązuje za jednym zamachem wszystkich problemów i konfliktów psychiki kobiet i nie przynosi im od razu wiekuistej szczęśliwości — jak to sobie naiwnie wyobrażają rzecznicki feminizmu. Nie sposób też bez bólu i ku powszechnej radości zniszczyć lub odrzucić pewne struktury życia społecznego, istniejące od stuleci.

I w tym względzie niezmiernie pouczająca była konfrontacja postaw prezentowanych na ekranie i widowni, podczas **XX Jubileuszowego Festiwalu Filmów Autorskich**, odbywającego się na przełomie marca i kwietnia br. w owym pięknym San Remo. W ramach pokazów konkursowych zobaczyliśmy 16 filmów z 13 krajów Europy wschodniej i zachodniej, Kanady, Australii, tudzież Trzeciego Świata. Okazało się, że w dziełach zrodzonych pod różną szerokością geograficzną, w różnych warunkach ustrojowych i obyczajowych, analizujących różnorodne środowiska społeczne, pojawiają się podobne motywy i tematy, choć oczywiście inaczej nieco widziane, inaczej rozstrzygane. Twórcami filmów byli ludzie młodzi i sądzę, że jest to również fakt nie bez znaczenia.

Nieuchronny postęp cywilizacyjny wyrywa ludzi z odwiecznych sposobów bytowania, pozbawia poczucia trwałości i bezpieczeństwa. Miasta w swym zwycięskim pochodzie pożerają wieś. Cywilizacja niszczy naturę. Jednostka na własnej skórze, boleśnie i dotkliwie odczuwa konsekwencje tych procesów. Płaci często wysoką cenę za ich realizację, nie umiejąc przystosować się do nowych warunków, tkwiąc jakby w stanie ciągłego rozdarcia: żywiąc świadomość potrzeby i konieczności zmian, a zarazem nostalgię przeszłości, pragnienie nowego i nieznanego, a zarazem tęsknotę do tego, co znane, oswojone, bezpieczne. Mieszkańcy nowoczesnego, wspaniałego świata marzą o dzikich ostępach leśnych, o prymitywnej wsi, o bytowaniu na łonie natury. Ich dziadowie wiedzą doskonale, że bytowaniu temu daleko było do rajskiej sielanki. Dla bohaterki **irańskiego filmu „Ziemia przeklęta"** (reż. Marva Nabili), wiejskiej dziewczyny, pobliskie miasto jest symbolem egzystencji ciekawszej, bogatszej niż ta, jaką wiodą jej rodzice. Inna rzecz, że niełatwo jej przychodzi wybór tego nowego życia. Nie akceptując przeszłości jest także nieufna w stosunku do tego, co niesie przyszłość, obca i niezrozumiała.

Młodzi Australijczycy, mieszkańcy Sydney z filmu „Niezgodnie z prawem", w reżyserii Johna Duigana, znużeni monotonią i hałasem miasta, pragną wyrwać się na wieś. Cieszą ich wiejskie zabawy, spacery brzegiem morza, rozpalanie ognisk na plaży. Czują się dobrze w cieple tradycyjnych, niemal rodzinnych stosunków międzyludzkich. Tutaj, w spokoju i ciszy mogą zastanowić się nad sobą, nad sensem swych dążeń i poczynań. Tutaj gubią ponakładane starannie maski i stają się prawdziwsi.

W duńskim filmie „Tu zaczyna się nasz świat" (reż. Christian Braad Thomsen) oglądamy teraźniejszość i słuchamy wspomnień z przeszłości leciwych mieszkańców jutlandzkiej wioski. Młodzi odeszli do miasta i wpadają od czasu do czasu na weekendy. Wioska dogorywa. Jej zielone łąki wkrótce pochłonie ogromna autostrada. Nie ma kto uprawiać ziemi. Stopniowo pustoszeją małe, kolorowe domki. Z opowieści mieszkańców wyłania się obraz przeszłości, wcale nie rajski i różowy. Życie w mieście jest prostsze, łatwiejsze, bardziej urozmaicone. A jednak zarówno reżyserowi jak i bohaterom filmu żal tego, co odchodzi, żal wartości, które znikają z horyzontu naszego istnienia.

W kilku filmach przewijał się temat rodziny. Jej rozpadu, kryzysu, zmierzchu tradycyjnych wartości, które leżały u fundamentów życia rodzinnego w dawnym stylu. **W fińskim filmie „Święta rodzina"** (reż. Anssi Mänttäri) wszyscy duszą się niby w familijnym kręgu, ale ostatecznie okazuje się, że nie potrafią się zeń obejść. W rodzinie źle, ale bez niej jeszcze gorzej — filozoficznie stwierdza reżyser. Każdy chce żyć samodzielnie, na swój rachunek, ale zarazem odczuwa potrzebę oparcia, bezpieczeństwa. Absolutna niezależność oznacza przecież w praktyce absolutną samotność, i, co jeszcze trudniejsze, samoodpowiedzialność. Członków „Świętej rodziny" nie stać na taką odwagę i heroizm.

W „Niedzielnych dzieciach" Agnieszki Holland, **węgierskim filmie „Odbicia w lustrze"** (reż. Rezsö Szöreny), twórcy konstatują negatywny wpływ rozpadu rodziny lub braku rodziny na kształtowanie się charakterów i postaw młodego pokolenia. W „Niedzielnych dzieciach" obserwujemy także przykład pewnego wariantu współczesnej rodziny, wariantu będącego rezultatem gwałtownego przyśpieszenia cywilizacyjno-społecznego, a opartego nie tyle na związkach uczuciowych i autentycznych wartościach, ile przede wszystkim na silnie odczuwanej potrzebie potwierdzenia się, zdobycia określonego, powszechnie akceptowanego standardu życia, w skład którego wchodzi m.in. i dziecko. **W nagrodzonej Wielką Nagrodą Festiwalu „Zofii" Ryszarda Czekały** widzimy niezawiniony przez żadną ze stron, a zarazem obiektywnie nie dający się przezwyciężyć konflikt pokoleń. Świat pewnej tradycji, głęboko zakorzenionych rytuałów uczuciowych, pewnego sposobu pojmowania domu i życia rodzinnego reprezentowany przez tytułową bohaterkę, kobietę starszą oraz dążenia, ideały, styl bycia jej córki i zięcia — nie daje się w żadnej mierze pogodzić. Świat pani Zofii, skazany na zagładę, należy do przeszłości. Świat młodych sam w sobie nie jest ani gorszy ani lepszy. Jest po prostu inny. I tu tkwi sedno dramatu. Nie ma bowiem powrotu do tego, co przemija. Młodzi filmowcy z zadziwiającą dojrzałością ukazują owe procesy przemian, w których zyskując tak wiele, tracimy przecież rzeczy ważne, cenne i kruche. Wyrażają niepokoje i konflikty wewnętrzne epoki przejściowej, czasu przemian.

W większości filmów pokazywanych **na Festiwalu w San Remo** dominowały bohaterki różnego wieku, wykształcenia i kondycji społecznej. Kobiety nowoczesne, niezależne, „wyzwolone" i te szukające dopiero swej tożsamości i miejsca na ziemi, jak młoda Iranka z „Ziemi przeklętej". Dramaty współczesności dają się najpełniej wypowiedzieć, idąc śladem Bergmana i Antonioniego, poprzez pryzmat kobiecej wrażliwości i psychiki. Przy okazji można zauważyć, że emancypacja, wbrew wyobrażeniom Włoszek na widowni festiwalowego kina, niekoniecznie uszczęśliwiła kobiety, a czasem wręcz przeciwnie — wprowadziła wyższy stopień komplikacji w ich życie. Rozdarte pomiędzy dążeniem do niezależności, do autorealizacji zawodowej i duchowej, a głęboko odczuwana potrzebę trwałych i znaczących związków uczuciowych, pomiędzy możliwościami swobodnego wyboru partnerów, a pragnieniem stabilizacji rodzinnej i macierzyństwa nie potrafią rozwiązać swoich dylematów bez bolesnego poczucia rezygnacji albo okaleczenia. Feministki na widowni nie chciały pogodzić się, zapatrzone w swoje hasła, z podobnym, bliższym chyba rzeczywistości postawieniem sprawy.

Filmy tegorocznego Festiwalu w San Remo stanowiły, moim zdaniem, owoc interesujących przemyśleń, a w niektórych przypadkach intuicyjnie trafiały w zawiłości i złożoności czasu, który przyszło nam przeżywać. Gwoli patriotycznej satysfakcji dodajmy, że kinematografia polska odegrała rolę superstar Festiwalu. „Zofia" Ryszarda Czekały została laureatem Gran Premio, **Krystyna Wachelko—Zalewska otrzymała nagrodę za kreację aktorską.** Prawdziwym triumfatorem okazał się Andrzej Munk. W San Remo odbyła się retrospektywa jego twórczości, od najwcześniejszych dokumentów poczynając, a na „Pasażerce" skończywszy. Munk podbił nie tylko umysły krytyki, ale i serca publiczności. Pokreślano jego odrębność na tle tradycji polskiego kina, akcentowano ironiczny ton, refleksyjny dystans, moralną i intelektualną wymowę dzieł świetnego reżysera. Krytyka włoska zwróciła uwagę na nowoczesność myślową i formalną filmów Munka. Czas, na ogół dosyć okrutny w stosunku do dzieł pisanych kamerą, nie osłabił siły wyrazu „Zezowatego szczęścia", „Eroiki" „Pasażerki". Wolne od efekciarskich chwytów, tandetnych sentymentalizmów i taniej symboliki, które najszybciej starzeją się i dewaluują, „ocaliły od zapomnienia" mądrość spojrzenia i moralną pasję człowieka będącego w dziejach naszego kina jednym z nielicznych, prawdziwych autorów.

KSIĄŻKA

TADEUSZ J. ŻÓŁCIŃSKI

ODMIAN NADZIEI CIĄG DALSZY

Witold Zalewski — autor m. in. „Rannego w lesie", „Pruskiego muru", „Splotu słonecznego", przed blisko dziesięciu laty opublikował swój pierwszy tom szkiców literackich z podróży po świecie, zatytułowany „Odmiany nadziei". Daleki był w tych szkicach od reporterskich relacji, skupiając się na prezentacji osobistych doznań i przemyśleń wiążących się z tymi podróżami. Trzeba tu sobie od razu powiedzieć, że tego rodzaju książek ukazuje się u nas stosunkowo niewiele, jako że nawet nasi czołowi powieściopisarze jeżdżąc za granicę przemieniają się nagle w reporterów, albo spłacają swoje stypendialne długi poprzez kolejne powieści, których choć część akcji rozgrywa się w egzotycznym plenerze, bulwersującym na równi książkowego bohatera co i późniejszego czytelnika.

Dla Zalewskiego podróże poza Polskę, których już odbył niemało, stanowią jedynie pretekst do rozważań natury historiozoficznej i filozoficznej, do dokonywania konfrontacji własnych poglądów i przemyśleń z „egzotyczną" rzeczywistością krajów, których one dotyczą. Tak było w przypadku wspomnianej tu na początku książki „Odmiany nadziei", tak jest i w przypadku obecnie wydanego tomu szkiców z kolejnych wojaży „Dolina królów".

Trasa nowych podróży wyznaczały Francja, Algier, Indie, Egipt. Różne kraje, różne kontynenty, kultury, tradycje, problemy, przemyślenia i doznania. Ale też Zalewski swoje dalekie podróże nie przeprowadza na ślepo, bez przewodnika, który jest nie tylko jego informatorem, doradcą, ale też interlokutorem, z którym się sprzecza i dyskutuje nie tylko o samo widzenie tamtych problemów, ale co ważniejsze o ich interpretację. Bardzo szybko te spory nabierają charakteru dyskusji o sprawach nie wycinkowych ale ogólnoludzkich, dotykając tak istotnego zagadnienia, jakim jest ludzka kondycja w tym świecie. Stąd patronami jego podróży są wielkie nazwiska przede wszystkim pisarzy, których książki zaważyły w sposób decydujący nie tylko na całokształcie światopoglądu autora „Czarnych jagód", ale również determinowały w jakiś sposób widzenie krajów, które stały się celem literackich podróży Zalewskiego. I tak Francję symbolizował niedawno zmarły André Malraux i Antoine de Saint-Exupèry. Algier — Albert Camus. Indie — Mahatma Gadhi a Egipt widziany jest poprzez lekturę wielkiej powieści — traktatu historiozoficznego Tomasza Manna — „Józef i jego bracia".

Różne były przyczyny wyboru właśnie tych patronów. Jedno jest pewne, to właśnie oni kształtowali wrażliwość światopoglądową pisarza, to z nimi się wadząc o zagadnienia najistotniejsze, budował pisarz swój własny światopogląd. Przyznaje się do tego zresztą Zalewski już w pierwszych zdaniach szkicu „Pogrobowcy nadziei". „Nie jest to pisarz, o którym umiałbym rozprawiać w oderwaniu od własnej biografii. Zatruciem nazywano jego wpływ na świadomość pokolenia. Pisano: „zarażeni śmiercią". Kiedy odczytuję teraz od nowa jego książki, to określenie wypływa z pamięci i kojarzy obraz własnych doświadczeń z przesłaniem André Malraux".

Bo ten pisarz na równi z Conradem zaważył na pokoleniu Kolumbów, do których się przecież zalicza Zalewski. Zaważył w sposób nieodwracalny może przez fakt, że wojna, której byli nie tylko świadkami, ale i uczestnikami, unaoczniła im prawdę, o której z wyżyn swoich doświadczeń pisał w „Drodze królewskiej" Malraux. I to co miało dla nich stanowić dopiero doświadczenie, często jakże okrutnie przerywane śmiercią, stanowiło już dokonaną przeszłość dla francuskiego pisarza. Ale stąd właśnie Zalewski nie bez goryczy stwierdza: „...to wrażenie autentyczności wszystkiego, o czym Malraux pisze, zweryfikowania własnym udziałem każdego wydarzenia, ten człowiek ze swoim cierpieniem i walką obecny w książce, pamiętam, jak stał się bliski nam przez to, że potwierdzał czynem pisarskim".

Ale na tej samej zasadzie odbierani byli wówczas i później Saint-Exupèry, Camus, Gandhi. Jeden Tomasz Mann — ten dostojny książę współczesnych pisarzy-myślicieli — filozofujący z wysokości swojego Olimpu, porażał ogromem wiedzy i przemyśleń, umiejętnością widzenia całokształtu dziejów zmagań i poczynań ludzkości na przestrzeni jej całego dotychczasowego istnienia. Stąd może właśnie wielkie wadzenie się z Mannem odbywa Zalewski na tle Luksoru, wielkich pomników Amona Re, Atona, Echnatona. Tych którzy przed wiekami, u progu narodzin człowieka współczesnego, wiedli o niego wielki bój.

Wszystko to są oczywiście symbole, lecz przecież „Dolina królów" to nic innego jak podróż pisarza do źródeł ludzkiej myśli, do jej odmian, które przybierając z czasem realne kształty zadecydowały o tak odmiennych koncepcjach historiozoficznych i światopoglądowych. Bo mimo, iż wszyscy patroni literackich podróży Zalewskiego żyli mniej więcej w tym samym czasie (w wieku XX), reprezentują jakże odmienne światopoglądy wyznaczają jakże różne filozofie. A jednak mają w tych swoich poglądach coś wspólnego, co musi fascynować, przyciągać, a równocześnie pobudzać do sprzeciwu. Tym wspólnym jest widzenie „doli człowieczej". To ona właśnie wyznacza ich humanizm, nakazuje wierzyć w sens ludzkich poczynań, obdarza wiarą w sens śmierci jako czynnika ostatecznego, zamykającego ludzką drogę życia. I w tym kontekście liczącym się jest postępowanie człowieka oraz przesłanki tego postępowania. I to bez względu na kraj, na długość i szerokość geograficzną.

Stąd w „Dolinie królów" Zalewskiego sama podróż, wielka egzotyka stanowi tylko pretekst do wielkiej polemiki z tymi, którzy mu ten świat objawili, którzy kształtowali jego światopogląd, którzy uzasadniali drogi jego postępowania. Lecz chyba dla każdego pisarza tylko takie podróże są płodne i liczące się. Tak samo jak i dla czytelnika. Podróże stawiające nie tylko pytania o dolę człowiecza, ale i starające się dać na nie równocześnie odpowiedź. Nawet gdy ta odpowiedź jest niepełna, niedoskonała. Bo wszelkie podróże, nawet najbardziej egzotyczne wiodą do przysłowiowych „źródeł czasu". I tylko różne są odpowiedzi, jak różne są widzenia tych źródeł. Zalewski w swojej „Dolinie królów" proponuje jeden z wariantów. Tym cenniejszy, że dokonany przez własne niełatwe doświadczenia nie tylko lekturowe, ale i pragmatyczne, wyniesione z lat wojny i okupacji. I chyba za Camusa ma prawo powiedzieć — „historia jest rozpaczliwym wysiłkiem ludzi, aby ożywić ich najbardziej przenikliwe marzenia...".

W „Dolinie królów" została podjęta tego próba.

Witold Zalewski: „Dolina królów". PIW. Warszawa 1976 r. s. 192, cena zł 25.—

REPORTAŻ

SPOTKANIE NA AUTOSTRADZIE

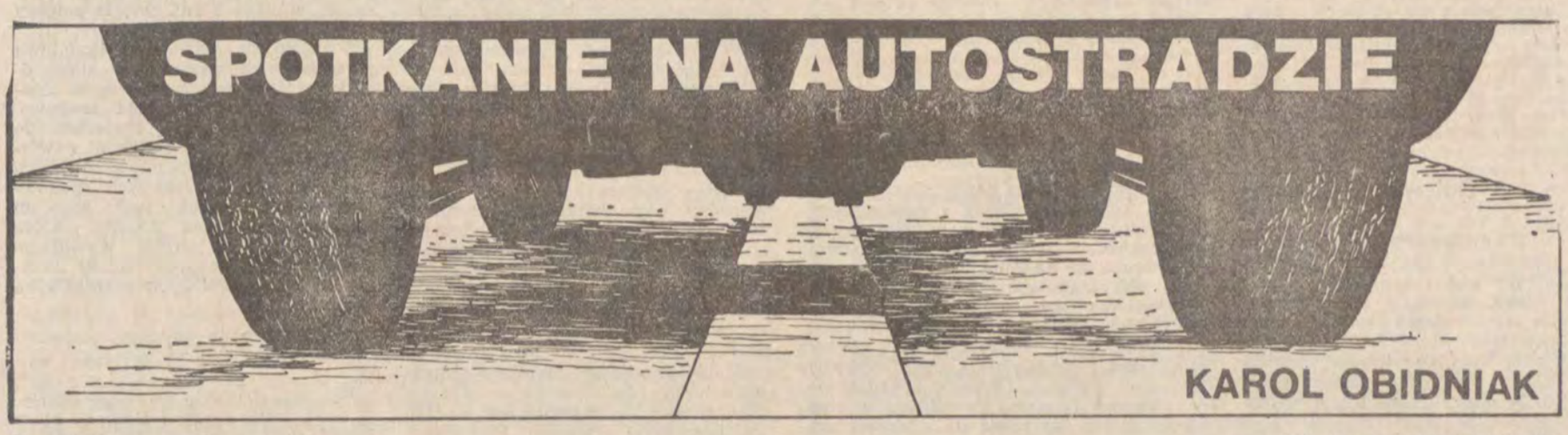

KAROL OBIDNIAK

Rys. Janusz Szymański Glanc

Wakacje minionego lata dostarczyły mi wyjątkowych wrażeń. Dwa tygodnie we Francji i trzy tygodnie w Austrii trudno zapomnieć. Porównania Paryża z Wiedniem narzucają się same i nie sposób się od nich uwolnić.

Paryż, jeszcze do wczoraj stolica imperium, od lat dziesiątków stolica europejskiej i światowej sztuki, Mekka malarzy, pisarzy, wszelkiej maści artystów, olbrzymie, złote wrota do karier przez które z trudem udaje się przecisnąć tylko najwytrwalszym, najzawziętszym, najzdolniejszym. I **Wiedeń — miasto żyjące przeszłością, wielkością, dawną, znaczeniem, którego ślady są żywe i obecne w życiu każdego Austriaka, to dwa miasta różne. Każde swoją pyszniące się odrębnością i egzotyką.**

Wiedeń nie budził erotycznego lęku u zwiedzających. Był i jest, mimo straussowskiej lekkości, wzorem dojrzałej elegancji, azylem starszych pań i panów, lśniąco czystych nastolatek, zapatrzenia w przeszłość, rozmiłowania w epoce, która, choć zgasła wraz z Franciszkiem Józefem, żyje wciąż i zachwyca niedawno na nowo odkrytym urokiem secesji.

Paryż, terroryzowany milionami turystów, zaśmiecany, kundlony przez tysiące obieżyświatów, ledwo dyszy pod natłokiem obcości. Niejednemu wydawać się może, że Francuzi są mniejszością na ulicach, że coraz częściej tracą swój charakter, swoją cudowną odrębność. Bardzo możliwe, że jest to jeszcze jedno złudzenie, chociaż: pamiętam, przesiedziałem półtorej godziny w kawiarni na Czamp de Elajzes — jak mówią Amerykanie — i wypatrywałem Francuzki o chanelowskim stylu, owej przysłowiowej paryskiej elegancji. Na setki pań i panienek zaledwie parę sprostało moim przywiezionym z Polski wyobrażeniom. Podobno można je jeszcze zobaczyć na premierach wielkich wydarzeń artystycznych, w ekskluzywnych lokalach, do których oczywiście wstęp mają tylko przez los wybrani.

Tymczasem na Kärtnerstrasse w Wiedniu aż roi się od przymilnej schludności, białych, wykrochmalonych bluzeczek, swobodnej elegancji. Teksasowe dżinsy spódnice kombinezony są dla wiedenek elementem damskiego stroju podnoszącym urodę ich nóżek zawsze w pończochach, bez względu na pogodę, bucików, bluzeczek — stanowią doskonałe tło dla dyskretnie eksponowanej biżuterii. Nie dali się wiedeńczycy zamerykanizować, z mody hippie wzięli to, co praktyczne. Brud, niechlujstwo, strzępy zostawili do naśladowania innym.

Parę lat temu głośna była sprawa dwóch młodych hippies z północy, którzy na zniczu płonącym nad Grobem Nieznanego Żołnierza pod Łukiem Triumfalnym smażyli jajecznicę. W Wiedniu leżący na trawniku wśród kwiatów turysta budzi zawsze sprzeciw i lekceważące wzruszenie ramion. To na pewno jakiś Amerykanin albo Anglik.

Chciałbym te swoje wrażenia jakoś podsumować, i — bodaj chaotycznie — grubą, nierówną podkreślić linią. Z tego, co już napisałem, można by wysnuć wniosek, że Wiedeń wciąż należy do Austrii tej, która była wielka — i która jest znacząca przez to, że nie budzi już niczyjego pożądania.

W Paryżu natomiast coraz częściej i coraz natarczywiej rodzi się pytanie, czyje to miasto, czyja stolica?

Wiem, że niepotrzebnie się martwię, że nie jedną Paryż przeżył zawieruchę, wytrzyma i inwazję turystów. Ale mnie osobiście wydaje się, że w tej masie obcych zginął gdzieś folklor Paryża, że utrzymują go sztucznie przy życiu biura turystyczne, że pokazuje się go jak dzikie zwierzęta w cyrku — na zawołanie.

Błądząc po Paryżu, trafiłem na wymarłą prawie dzielnicę. Przed niewidoczną z ulicy kawiarnię zajechał autobus z turystami. Poszedłem za nimi. W lokalu, jakby wyciętym z obrazu Moneta, pełnym luster, kryształowych kandelabrów, zakamarków i dziewiętnastowiecznej wilgoci, dzielnicowi artyści udający apaszów pokazali życie lokalu, który już dawno umarł, którego już nie ma. Po wyjściu turystów lokal opustoszał, orkiestra poszła na drinka, nikogo ze swoich. Artyści czekali na nowych wyjadaczy wrażeń, znudzeni i zmęczeni. Wyszedłem na ulicę smutny. Dawniej, dawno temu, kiedy byli między sobą, myślałem, kiedy śpiewali i tańczyli dla siebie z własnej potrzeby, pewnie było to piękne. Jaka szkoda, że teraz czynią to bez serca: zimno, mechanicznie. Tak, tak, tak w Paryżu sprzedaje się ciała, ale nie dusze. I to mnie w Paryżu drażniło, to, że tyle jest ciał na sprzedaż, a tak mało serca. Ale czy można mieć serce dla tych, którzy smażą jajecznicę nad świętym ogniem narodu?

Powie ktoś: Paryż tym jest wielki, że nawet dziś te masy turystów potrafi okiełznać, natchnąć swobodą, tolerancją, duchem braterstwa.

Powie inny: w Paryżu biedny i bogaty czują się jak u siebie w domu. Tak, to wszystko prawda, ale u siebie w domu nie pluje się na dywany, nie rzuca śmieci pod stół, nie siusia przy gościach do zlewu. Na turystach się zarabia, to prawda, ale na turystach można również stracić. Czasami traci się bardzo wiele, niekiedy własną twarz. Oczywiście Paryżowi to nie grozi, ale... przyszłość pokaże, kto w tych zmaganiach okaże się silniejszy, czy ci, którzy kształtują atmosferę paryskiej ulicy na własną, przywiezioną z zewnątrz modłę, czy ci, którzy zdążają nią do pracy?

Wiedeń zasypia przed północą. Paryż obywa się bez snu: żyje pełne 24 godziny. W Wiedniu, na każdym rogu ulicy, wita przybysza XIX wiek. W Paryżu to, co francuskie, skryło się za szczelnie opuszczonymi żaluzjami. Na ulicach króluje cudzoziemszczyzna.

Pierwszy raz zobaczyłem Paryż z dala, jakby przez mgłę, z okien pociągu, którym wraz z kolegami zmierzałem do nowo tworzącej się II dywizji strzelców pieszych. Był wiec tedy Paryż nie tylko stolicą Francji, dla mnie był on przede wszystkim stolicą naszych polskich nadziei.

Do Wiednia trafiłem przelotnie w parę miesięcy później, bo już we wrześniu 1940 roku. Po pierwszej ucieczce z niewoli przejechałem wtedy przez miasto tramwajem z dworca Franciszka Józefa na dworzec Wschodni. W kilka miesięcy później, po kolejnej nieudanej ucieczce, próbowałem szczęścia po raz trzeci. I gdyby nie pomoc — buty, płaszcz, pieniądze, gościna — na Fabiganstrasse, kto wie, co by ze mną było. Musiało jednak minąć długich trzydzieści pięć lat, bym mógł odwiedzić tych, którzy swoją pomocą przyczynili się do całkowitej odmiany mego życia.

Po długich staraniach udało mi się odszukać kuzynów, dzieci stryja Edwarda. To właśnie Klara i Eugenia, moje rówieśnice, stryj i stryjenka pomogli mi uciec z niewoli. Pomogli. Wtedy wydawało się to naturalne, dziś wiem, znając metody gestapo, że pomoc, jakiej mi wtedy udzielili, była wyrazem niezwykłego hartu, i, mimo różnej przynależności państwowej, dowodem wciąż żywej więzi rodzinnej. Przez wiele lat dręczyła mnie myśl, potrzeba wyrażenia im mojej wdzięczności. I dopiero teraz, w tyle lat po wojnie, mogłem to uczynić.

Wyczekiwali naszego przyjazdu, licząc minuty.

Zapamiętałem pierwsze słowa Klary i Eugenii: „Czemu tak późno? Czemu przez tyle lat pozwoliłeś nam modlić się za ciebie w Dzień Zmarłych? Dlaczego teraz, kiedy jesteśmy już..."

Nareszcie poznałem Watlera, kuzyna dentystę. W jego butach, płaszczu, koszuli dojechałem do Wolnej Francji.

W czasie pierwszego przyjęcia na naszą cześć Walter, mówiąc o sobie, wspomniał, że w czasie wojny był w Polsce. Zrobiła się cisza. Spojrzał na mnie:

— W ciągu całej wojny nie wystrzeliłem ani razu. Przysięgam. Dotrzymałem danego ojcu słowa. Byłem dentystą, leczyłem. Trzy lata spędziłem w niewoli na Białorusi. Proszono mnie, żebym tam został. Byłem jedynym lekarzem w mieście. Ale w Wiedniu miałem żonę i syna, ojca, matkę, siostry. Wróciłem ostatnim transportem.

Ewa, druga żona Waltera, najdłużej pozostawała nieufna. Ale, kiedy raz wzajemna nieufność i lody zostały przełamane, okazała nam tak ogromne serce i oddanie, że trudno o niej zapomnieć. Zwłaszcza, że nosi się z rzadką elegancją, jest przy tym pełna wdzięku i uroku. We dwoje objęli pieczę nad naszym pobytem. Dzięki nim mogliśmy sobie pozwolić na wypad na festiwal do Salzburga.

Wracaliśmy z Salzburga przy zmiennej pogodzie. Porywisty deszcz na zmianę z pięknymi przejaśnieniami towarzyszył nam aż do Wiednia.

Żaden samochód na autostradzie nie budził takiej sensacji i sympatii jak nasz trabancik. Na stacjach benzynowych właściciele pięknych Mercedesów, Volvo zbiegali się, by zajrzeć, co jest pod maską. Czy to aby nie najnowszy model samochodu na pedały? Pracownicy stacji ze zgrozą patrzyli, że jakąś tam przedziałką wpierw mierzę zawartość baku, potem wlewam jakieś czarne świństwo, a dopiero po tych barbarzyńskich zabiegach proszę o benzynę — super. Kiedy ruszałem z miejsca, nierzadko towarzyszyły nam brawa, jak gdybym dokonał rzeczy niezwykłej, zmuszając to-to do dalszej jazdy.

Wyprzedzający nas na autostradzie Szwedzi, Francuzi, Węgrzy, a nawet Włosi pozdrawiali nas radosnym wymachiwaniem rąk. Nic dziwnego, że na autostradzie czuliśmy się dobrze. Zainteresowanie naszym pojazdem przyjmowaliśmy z godnością, na jaką nasz plastikowy Rolls całkowicie zasłużył. Przeskakiwał góry niczym kozica, po dolinach ścigał się z najlepszymi, a to, że był zawsze na końcu stawki, mój Boże, nie każdy może być pierwszy. Najważniejsza jest przecież wola walki, a tej naszemu Trabantowi nie brakowało.

Przy pokonywaniu kolejnej ściany deszczu nareszcie dopadliśmy Francuza, którego mogliśmy wyprzedzić. Ciągnął za sobą ogromną karawanę. Jechał wolno, z trudem przebijając się przez strumienie wody. Z zachowaniem całej wymaganej manewrem etykiety, ostrzegając światłem, klaksonem zmieniliśmy pas poruszania i przy maksymalnych obrotach naszego bohatera wzięliśmy Francuzów. Równając z nimi, pozdrowiliśmy ich nie mniej radośnie wymachując rękami. Ale, nie czekając na rewanż, pomknęliśmy dalej. Jechaliśmy już chyba z godzinę.

Żona wyciągnęła przygotowane zawczasu drugie śniadanie, szeroko otworzyliśmy drzwi naszego pojazdu, wdychając oczyszczone błyskawicami świeże, górskie powietrze.

Trzymając sporą kanapkę w jednej ręce, w drugiej kubek z dymiącą, gorącą herbatą, wysiadłem z wozu, wspierając się lekko nogą o stopień, jak zdobywca. I nagle usłyszałem: pr... pr... pr... Tuż obok zajechał i przy nas się zatrzymał jedyny przez nas wyprzedzony Francuz.

Niski, drobny, ciemny, wysiadając z samochodu, bez urazy za wyprzedzenie, powitał mnie z francuska: bonjour monsieur! Zrewanżowałem mu się w tym samym języku, odpowiedział mi, życząc: bon apetit! Podziękowałem i tak się zaczęła nasza znajomość.

— Pan mówi bardzo dobrze po francusku!

— Bardzo dobrze, to chyba przesada. Ale trzy tygodnie temu byłem we Francji.

— Gdzie?

— W Villard de Lans, koło Grenoble.

— Pan był w Villard de Lans?

— Tak, byłem.

— Uczestniczył pan może w tych uroczystościach?

— Uczestniczyłem.

— A czy pan uwierzy, ja też jestem z Villard de Lans. Pan mnie nie widział?

— A pan mnie?

— Proszę pana, kiedy mieszkaliście w „Hotelu du Parc", w czterdziestym drugim, trzecim, miałem wtedy pięć lat. Stale się koło was kręciłem. Nie przypomina pan sobie takiego brzdąca, wiecznie zakatarzonego?

Nie przypominam. Nie mogłem pamiętać. Ale ten nagły wybuch sympatii był tak szczery, spontaniczny, że mnie po prostu ujął. Chwycił za serce.

— W czasie tych uroczystości mój ojciec podejmował u nas w domu pańskiego przyjaciela z Polski. Zaraz, jak on się nazywał? Tak jakoś bardzo trudno... Gdybym mógł wymówić, to bym sobie przypomniał. Byli razem w partyzantce. Powiadam panu, jak zaczęli wspominać... Co to był za wieczór! Do rana, proszę pana.

Tymczasem zainteresowane rozmową wysypały się z Trabanta moja żona, córka i kuzynka Eugenia. Przy Citroenie, jak na wojskowym przeglądzie, stanęli żona mojego villardczyka z synami.

— Nazywam się Henri Péronnard.

Przedstawiłem się również. Uścisnęliśmy sobie dłonie i w uroczystym nastroju sprezentowaliśmy sobie nawzajem nasze rodziny.

Dalsza rozmowa potoczyła się już szerokim nurtem. Okazało się, że mamy wspólnych znajomych. Poprosiłem więc o przekazanie naszych pozdrowień profesorowi Marcelowi Malbosowi w Villard i pani Celinie SZYMCZAK w Grenoble, której cała rodzina uczestniczyła we francuskim ruchu oporu. Z prawdziwą radością podjął się, jak mówił, tego przyjemnego zadania. Podając adres pani Celiny zaznaczyłem, że gdyby go zgubił, znajdzie numer telefonu w książce telefonicznej. Niestety, nie figuruje tam w całej polskiej skali trudności. Zamiast SZYMCZAK zapisano ją bowiem SZYMEZAK. Poprosił o mój adres i przyrzekł po powrocie do Francji napisać do nas kartkę.

— Jeśli kiedykolwiek będzie pan w Grenoble, mój dom stoi dla państwa otworem. Możecie państwo być pewni naszej gościny.

Przed rozstaniem pogadaliśmy jeszcze trochę, powspominali i z uczuciem głębokiego zadowolenia pożegnaliśmy naszych nowych francuskich przyjaciół. Czekała nas jeszcze daleka droga, przejazd przez dolinę Wachau. Jest to rodzaj przełomu Dunajca; po obu stronach wielkiej rzeki ciągną się zalesione pasma wzgórz, ozdobionych ruinami starych warowni, wciąż jeszcze zamieszkałych zamków, klasztorów i strzelających w niebo czerwonymi wieżami kościołów.

W Krems popisałem się przed rodziną pamięcią topograficzną. Przemierzałem bowiem to miasto parokrotnie w czasie wojny, uciekając z niewoli, z pobliskiego Gneixendorf, ze stalagu 17B. Postanowiłem tam zajrzeć, ale na jednym ze skrzyżowań zawahałem się. Prosto czy na lewo? Nowe budynki zmieniły nieco wygląd placu. Wychyliłem się więc z wozu i pierwszego z brzegu, może 30-letniego Austriaka zapytałem:

— Przepraszam, do Gneixendorf?

— Nach lager.

— Nach lager?

— W lewo.

Podziękowałem zdziwiony i w kilkanaście minut później byliśmy już na miejscu. Wioska, jak wszystkie wioski w okolicy, niewiele się zmieniła. Przybyło jej jakby dobrobytu. A po obozie pozostała dziwna pamiątka. Betonowa, najgładsza, bez domów, pusta, bez jednego bodaj numeru: LAGERSTRASSE. Nikt przy niej nie zamieszkał. Pewnie dlatego, że prowadziła w pole, donikąd.

Opuszczona, pusta Lagerstrasse wydała mi się nagle żałosnym przypomnieniem dawnej hitlerowskiej potęgi. Prowadziła i nadal prowadzi donikąd.

Na grobie zmarłych już: stryja i stryjenki złożyliśmy kwiaty, zapalili świeczki. Podobno co pewien czas wspominali o mnie, o mojej ucieczce i do ostatka wyczekiwali na jakąś wiadomość.

Wróciliśmy z Wiednia, skończyły się wakacje. Dziś otrzymałem kartę z Francji od pana Henri Péronnard z Grenoble. Dziękuję za przemiłe spotkanie na autostradzie. Pisze, że przekazał profesorowi Malbosowi moje pozdrowienia i że odwiedził panią Celinę SZYZAK. A więc to prawda, co mówiła Cela! W czasie wojny nie potrzebowali pseudonimów. Żaden Francuz nie wymówił ich nazwiska tak samo.

KSIĄŻKA

DWA LISTY ANDRZEJA KAZIMIERZA CEBROWSKIEGO

Biografia najstarszego dziejopisa łowickiego, **Andrzeja Kazimierza Cebrowskiego**, jest znana jedynie we fragmentach. Syn Mikołaja, przyszedł na świat prawdopodobnie w latach osiemdziesiątych XVI stulecia. Po studiach na Akademii Zamoyskiej osiadł w Łowiczu. Lekarz i aptekarz, brał aktywny udział w życiu publicznym, należał do rady miejskiej, niewykluczone, że pełnił również urząd burmistrza. Zmarł 30 października 1658 r. w czasie zarazy panującej w Łowiczu.

Znany i ceniony jako lekarz, jest autorem pierwszej historii Łowicza, spisanych w latach 1648—1659 „Annales civitatis Łoviciae". Posiłkując się dziełami historycznymi i tradycją przekazywaną ustnie usiłował odtworzyć przeszłość miasta. Szczególnie interesująco przedstawił współczesną sobie epokę. Uzupełnieniem dzieła są kopie dokumentów, dotyczących historii miasta oraz wierszowana autobiografia. Pisał kronikę, by, jak mówi, nie zaginęła pamięć o przeszłości. Apeluje do potomnych, aby dzieło to kontynuowali. Syn Cebrowskiego uzupełnił kronikę o opis wypadków jednego roku. I na tym właściwie się skończyło. W latach późniejszych wpisy są sporadyczne, ostatni miał miejsce w 1767 roku.

Kronika przechowywana była na ratuszu i ze względu na zawartość kopiarza miała charakter księgi urzędowej. Tam też odnalazł ją w pierwszej połowie XIX w. **Kazimierz Stronczyński**. Za jego pośrednictwem rękopis trafił do biblioteki Baworowskich we Lwowie, a obecnie przechowywany jest w Archiwum Głównym Akt Dawnych. W roku 1937 wyszedł przekład polski **Mariana Małuszyńskiego** pt. „Roczniki miasta Łowicza pisane w latach 1648—1659".

Zachowały się również dwa listy Cebrowskiego, przechowywane obecnie w łódzkim Archiwum, dokąd trafiły wraz ze zbiorami łowickiego bibliofila — **Władysława Tarczyńskiego**. Zachowane listy, nie datowane, pisane są w języku polskim i skierowane do cechu kupieckiego w Łowiczu.

Nakładem **Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Łowiczu**, w opracowaniu **Rafała Leszczyńskiego**, ukazał się kolejny druk bibliofilski, zawierający przedruk obu listów wraz z obszernym komentarzem. W tekście listów wprowadzone zostały daleko idące zmiany jeśli chodzi o unowocześnienie pisowni jak i korektę cech wymowy Cebrowskiego. Całość sprowadzona została do ogólnopolskich norm języka literackiego. Oryginalny tekst listów został zachowany w przedruku facsimilowym. Obszerny komentarz przynosi szereg nowych ustaleń dotyczących postaci Cebrowskiego. Między innymi sprostowanie informacji odnośnie miejsca studiów. Autor komentarza pokusił się również o określenie chronologii listów i pochodzenia rodziny Cebrowskich.

Dopełnieniem całości jest materiał ilustracyjny, reprodukcje zachowanych w Łowiczu dwu portretów Kronikarza i odrys filigranu z papieru, na którym napisany został jeden z listów.

Wytworny druk bibliofilski, w nakładzie 333 egzemplarzy, wyszedł spod pras Graficznej Pracowni Doświadczalnej ZPAP w Łodzi w opracowaniu edytorskim **Michała Kuny i Michała Wieromieja**. Publikacja poświęcona jest pamięci **Zygmunta Pągowskiego**, zmarłego w 1974 roku bibliofila i miłośnika miasta Łowicza.

MAREK CZECHOWSKI

Andrzeja Kazimierza Cebrowskiego listy w sprawach publicznych. Opracował Rafał Leszczyński. Łódź 1976, str. 14.

TAK ŹLE I TAK NIEDOBRZE

Kibic jest istotą kapryśną i nie zna miary w swoich wymaganiach. Chce, aby sportowcy odnosili same sukcesy, aby jednemu zwycięstwu towarzyszyły następne. I nie uznaje żadnych racji, tylko domaga się sukcesu, czemu zresztą trudno się dziwić. Taka presja kibiców może też mieć pozytywne znaczenie, stanowiąc doping dla sportowców, ale — z drugiej strony — warto pamiętać i o tym, że inni też dążą do zwycięstwa, a więc nie wolno zapominać o sportowej przyszłości naszych zawodników i drużyn.

Nasi tenisiści pokonali drużynę RFN i już byliśmy prawie przekonani, że nie ma silnych na polskich tenisistów, ale Francuzi ostudzili te zapały. Zabrakło Wojciecha Fibaka i już polski tenis niewiele się liczy. Wniosek stąd prosty, że w sporcie liczą się nie tylko same gwiazdy, ale i ich następcy. A tych w wielu dziedzinach nie ma zbyt wielu. W tenisie również.

Zresztą i do samego Wojciecha Fibaka kibic ma pretensje. Jak to — powiada — w ubiegłym roku Wojciech Fibak był pierwszy w grze podwójnej, a w tym roku tylko trzeci? Kibic jest skłonny nie pamiętać, że Wojciech Fibak nie jest sam na świecie i że to dzięki niemu i jego sukcesom Polacy nagle zainteresowali się tenisem. Gdyby jeszcze temu zainteresowaniu towarzyszyło szkolenie młodzieży. Kibic jest skłonny nie pamiętać, że jeszcze kilka lat temu likwidowano u nas korty tenisowe, przeciw czemu między innymi gorąco protestowali: Bohdan Tomaszewski i Józef Prutkowski. Dziś — dzięki telewizyjnemu „Studio Sport" i „Sztandarowi Młodych" — znów rozpoczęto budować korty. Ale na rezultat tego trzeba będzie trochę poczekać.

Kibic nie lubi pamiętać. I jest mu z tym dobrze, bo to mu nie komplikuje życia. Nie pamięta więc, że przez kilka ostatnich lat drżał o pierwszoligowy los piłkarskiej jedenastki ŁKS, której stale groził spadek do drugiej ligi. Dla kibica to było dawno, a tak po prawdzie — to było przed rokiem. Dokładnie Teraz więc, kiedy odsuwają się w dal jesienne sukcesy piłkarzy ŁKS, kibic pamięta tylko, że zespół ten był liderem, że był rewelacją jesiennej rundy, że dobra gra ŁKS była zaskoczeniem i miłą niespodzianką dla całej kibicowskiej społeczności.

Gdyby jednak popatrzeć na sytuację ŁKS w kontekście faktów, pamiętając o tym, że przez lata zespół bronił się przed spadkiem, to może i dzisiejsze położenie tej drużyny nie wyda się aż tak tragiczne. Po pierwsze — ŁKS ma zapewnione miejsce w pierwszej lidze. Po drugie — nie spadnie poniżej środka tabeli. Po trzecie — ma wszelkie możliwości na przezwyciężenie kryzysu i może w następnym sezonie znów się liczyć wśród czołówki pierwszej ligi. Nie od razu Kraków zbudowano. Nikt nie powiedział, że ŁKS z dna musi się podnieść na wyżyny. Byłby to zresztą skok na krótką chwilę, po którym mógłby nastąpić bardziej bolesny upadek.

Kibic jest też uparty. Uparł się na przykład traktować widzewską jedenastkę jak beniaminka i zapomina, że Widzew już drugi rok gra w pierwszej lidze. Przed derbami wielu kibiców mówiło, że Widzew powinien oddać punkty dla ŁKS, bo to ŁKS walczy o pozycję lidera. Ale prawda jest inna, o czym kibic woli nie myśleć. To raczej Widzew szturmuje szczyty tabeli. Powoli, systematycznie i uparcie, grając przez cały niemal czas na dobrym poziomie. Trafiają się mecze słabsze, ale komu takie mecze się nie trafiają. Widzew ma dziś szansę na zajęcie premiowanego miejsca i to powinno być również przedmiotem troski władz sportowych Łodzi i kibiców. Sukces ŁKS polega na tym, że znalazł się w górnych rejonach tabeli ligowej, a przecież nikt nie powiedział, że musi w tym roku zdobyć mistrzostwo ligi.

Kibic jest tradycjonalistą. Lubi przyzwyczajać się do zawodników i niechętnie widzi nowych na ich miejscach. Dla kibiców kolarstwa gwiazdami są Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda. Ale w tegorocznej ekipie Polski na XXX Wyścig Pokoju nie ma ani ich, ani Mieczysława Nowickiego. Poza Tadeuszem Mytnikiem i Janem Brzeźnym sami debiutanci. Kibic macha lekceważąco ręką: — Co oni zwojują?

Ale kibic jest niekonsekwentny. Raz woła, aby zawodnik, który się źle spisuje, poszedł na emeryturę, innym razem rozpacza, kiedy nie startuje jego ulubieniec. A przecież, co rozsądniejsi kibice wiedzą, że ci sami ciągle nie mogą startować, że muszą stale dochodzić nowi, że dobrze jest, kiedy są następcy. Ci następcy muszą też kiedyś zadebiutować i w takiej imprezie, jak Wyścig Pokoju. W końcu Ryszard Szurkowski i Stanisław Szozda też kiedyś debiutowali i nie od razu święcili triumfy. Kibic woli jednak o tym nie pamiętać.

XXX Wyścig Pokoju dopiero się zaczął. Pierwsze etapy nie przyniosły nam sukcesów, ale i straty do liderów nie są jeszcze tak wielkie. W klasyfikacji ogólnej Tadeusz Mytnik jest drugi. Najbliżej niego uplasował się Czesław Lang, który po dwóch etapach zajmował 10 miejsce. Co będzie dalej, zobaczymy.

Kibic jest tradycjonalistą. Mało komu podobało się zakończenie łódzkiego etapu na ulicy. Wszyscy już przywykli do tego, że rozgrywa się to na bieżni stadionu. I muszę przyznać, że w tym wypadku podzielam ten pogląd.

BOGDA MADEJ

SŁAWNI SIŁACZE

Dalszy ciąg ze str. 1

Władysław Pytlasiński to już dziś legenda. O Stanisławie Zbyszku Cyganiewiczu — najsilniejszym człowieku świata, o jego zwycięstwach w zapaśniczych walkach pamiętają już tylko starsi ludzie — dawni kibice. Nazwisko innego słynnego polskiego zapaśnika Garkowienki przewija się w piosence o cyrku Staniewskich śpiewanej przez Jaremę Stępowskiego. Rzadko już kto pamięta atmosferę dusznych sal kinowych, cyrkowych aren, na których znani atleci — jak byśmy dziś powiedzieli zawodowi zapaśnicy — zmagali się o duże nagrody pieniężne inkasowane na oczach publiczności.

NAJSŁYNNIEJSZY ŁÓDZKI ATLETA

Jednym z najsłynniejszych polskich atletów, godnie reprezentujących barwy polskie na zapaśniczych arenach w przełomie XIX i XX w. był Ludwik Popławski. Urodzony w Łodzi, z zawodu rusznikarz, zasłynął już w 1897 r. jako wielki siłacz. W dziewięć lat później w turnieju zapaśniczym o mistrzostwo Europy Popławski pokonuje wszystkich przeciwników i zdobywa tytuł championa. W dwa lata później tj. w 1910 r. na wielkim międzynarodowym turnieju, w wypełnionej do ostatniego miejsca sali „Casino de Paris" walczył z najsłynniejszymi. 33-letni podówczas sportowiec znalazł się w czołówce zapaśniczej świata. W rok później w międzynarodowym turnieju w Kijowie zdobył drugie miejsce a w Tyflisie — trzecie. Walczył Popławski w wielkich, międzynarodowych turniejach w Mandżurii, Rosji, Turcji, Grecji, Francji, Hiszpanii, Portugalii, w Szwecji, Norwegii, nawet w Indiach zdobywając zawsze zaszczytne miejsce. Sławny siłacz odnosił również sukcesy w podnoszeniu ciężarów. Sztanga nie była dla niego nowością — dbając o kondycję ćwiczył codziennie. Ludwik Popławski był bowiem podobnie jak Pytlasiński — kulturystą, dbał o utrzymanie, wspaniałej — harmonijnej budowy ciała.

W czasie zaciętej walki w Częstochowie z Cyganiewiczem pech zrządził, że Popławski łamie żebro. Cyganiewicz czując się współwinnym tego wypadku, pragnąc dać Popławskiemu jakąś rekompensatę zaproponował mu wspólne wojaże. Przez 5 lat występowali razem...

Ludwik Popławski do 60 roku życia walczył na zapaśniczej macie a w 1957 r. trenował w łódzkich klubach już tylko dla zdrowia i przyjemności.

JEDEN PRZECIW TRZEM

Walki ówczesnych zapaśników którzy utrzymywali się z siły swych mięśni wyglądały zupełnie inaczej niż dzisiejsze zapasy. To były widowiska. Zawodnicy demonstrowali swą siłę, zginając żelazne sztaby, siłą mięśni zrywali żelazne łańcuchy. Dla ściągnięcia publiczności uprawiano również walki tzw. islandzkie. Jeden zapaśnik występował równocześnie przeciwko kilku napastnikom. Stawali przeciwko atlecie z nożami paryscy apasze, których dyrekcja cyrku zachęcała do udziału w programie wysokimi nagrodami.

W czasie występów używano oczywiście noży drewnianych, o tępym końcu, obciągniętych srebrnym lakierem, które w zetknięciu z ludzką skórą pozostawiały ślady. Celował w tych walkach zapaśnik islandzki Johannes Josefson. Potrafił on w ciągu 5 minut rozprawić się z trzema apaszami, wykazując niezwykłą zwinność i demonstrując nieznane chwyty.

Często po walce — zwycięzca odpowiadał na pytania publiczności. Pytania były różne a konsekwencje niektórych wypowiedzi zaskakujące.

Otóż kiedyś po zwycięskiej walce zapytano Aleksandra Garkowienkę czy potrafiłby być zwycięzcą w walce bokserskiej. — „Dlaczego by nie?" odpowiadał zapaśnik. W kilka dni później do pokoju w warszawskim hotelu, w którym mieszkał atleta zapukało dwóch obcych mężczyzn i zdumionemu Garkowience oświadczyło, że z upoważnienia pewnego amerykańskiego boksera wzywają go do walki na ringu. Mistrz, który nie miał zielonego pojęcia o boksie uważał wezwanie za dobry żart, lecz gdy nieznajomi oświadczyli, iż nieprzyjęcie wezwania spowoduje ośmieszenie Garkowienki w gazetach, do których oni taką informację niezwłocznie podadzą, zapaśnik przyjął wezwanie.

Walka odbyła się w Warszawie na Dynasach. Kilka tysięcy widzów przyszło oglądać to niezwykłe widowisko. Zawodowy pięściarz o dużym rozgłosie i atleta — siłacz nie mający nic z boksem wspólnego. Na atletę posypał się grad niekielnie silnych ciosów. Garkowienko przyjmował je cierpliwie i bez zmrużenia oka. Bokser nie wiedział, że jego przeciwnik w czasie cyrkowych popisów pozwalał sobie rozbijać cegły na głowie. Jeden tylko cios Garkowienki dosięgnął boksera, ale Amerykanin padł po nim jak rażony piorunem. Zabrano go na nosze i w asyście lekarza wyniesiono...

Na atletów czekały również inne niespodzianki. Organizatorzy wzywali widzów na arenę do walki z zapaśnikami lub do zmierzenia się w sztuce przeginania ręki. W 1926 r. w Poznaniu inżynier Albin Małachowski pokonał w mocowaniu się na rękę znakomitego siłacza bułgarskiego Radka Petrovicza, który zginał żelazne szyny, rwał łańcuchy i nosił przydomek „króla żelaza". Inżynier Małachowski pokonał również „na rękę" m.in. znanego polskiego zapaśnika Sztekkera.

CZARNA MASKA I... ATLETKI

Inną niespodzianką była tzw. maska. Otóż często atleci zgłaszali swój udział w turniejach incognito występując w masce. Zawodnik kryjący się za maską — w przypadku przegranej musiał ją zdjąć. W zimie 1927 r. w turnieju z udziałem kilku championów organizowanym na terenach MTP przez cyrk Staniewskich postanowił wziąć udział pod maską 50-letni Popławski. Zaskoczyło to organizatorów, ale pod naciskiem publiczności zgodzili się na wyznaczenie walki z Grikisem. Ale Grikis i inny zapaśnik de Sousa wyjechali nagle. (Bank informacji już wtedy funkcjonował i zawodnicy ci wiedzieli — kto jest „maską"). Do walki z zamaskowanym stanął Paul Bahn Samson — kolos przewyższający Popławskiego wzrostem i wagą.

Bahn Samson błyskawicznie zastosował przedni pas. Fachowcy wiedzieli, że ten kto stawi opór będzie miał połamane żebra lub uszkodzony stos pacierzowy. Tymczasem „maska" przeszła do piorunującej obrony. Bahn zerwał chwyt i przeszedł do natarcia, ale za chwilę leżał na czerwonym dywanie i wtedy naciągnął maskę na oko przeciwnika. I chyba domyślał się z kim walczy, bo naciągnął maskę na zdrowe oko jednookiego przeciwnika. W 7 minucie Popławski potraktowany w ten sposób legł na macie.

A bywało i tak, że pod maską występowała... kobieta. M.in. Helena Sujkówna z Brzezin walczyła z mężczyznami i nierzadko kładła ich na łopatki.

ZRYWAŁ GRUBE ŁAŃCUCHY JAK PASEMKA PRZĘDZY

Ci, którzy przed paru laty chodzili na filmy do łódzkiego kina „Wisła" nie wiedzieli, że kierownikiem kina jest znakomity polski zapaśnik Antoni Skrobisz, człowiek którego życie i sukcesy mogłyby być scenariuszem pasjonującego filmu.

W 1928 r. Antoni Skrobisz zgłasza się do goszczącego w Łodzi sławnego Teodora Sztekkera. Skrobisz staje się jego uczniem, ale mistrz ciągle wyjeżdża na zagraniczne turnieje. Pod opiekę przejmuje obiecującego ucznia Ludwik Popławski. Uczeń robi coraz większe postępy. W czasie urlopów wypoczynkowych Skrobisz za zaoszczędzone pieniądze podróżuje po kraju, rzuca wezwania atletom popisującym się w różnych miasteczkach. Z wielu spotkań wychodzi zwycięsko. Niebawem Skrobisz poznaje Garkowienkę a ten zabiera go za granicę.

W 1934 r. Antoni Skrobisz zostaje dopuszczony do mistrzostw Europy dla zapaśników zawodowych do 100 kg. Losowanie fatalne. Pierwszym przeciwnikiem Polaka jest Essawa — Murzyn o stalowych chwytach. Upływają męczące minuty pierwszej walki — Essawa poluje na przedni lub tylny pas. Ten jego chwyt jest miażdżący. Ale Skrobisz wykonuje błyskawiczne uniki. Czarny siłacz już ma opleść żelaznymi ramionami tors Polaka, gdy Skrobisz wykonuje błyskawiczną „biodrówkę" i chwytem przygważdża do maty...

Potem Skrobisz kładzie na łopatki Stuziego, Brilla, Luscha i innych by zdobyć wicemistrzostwo Europy na 1934 r.

TAJEMNICZA ŚMIERĆ TEODORA SZTEKKERA

W tym czasie gdy Skrobisz zdobywa tytuł wicemistrza Europy — umiera w tajemniczych okolicznościach znakomity i sławny polski zapaśnik Teodor Sztekker.

Zabłysnął w początkach 1925 roku. Jego nauczycielem był m.in. Garkowienko. Przez wiele lat Sztekker walczył z największymi siłaczami zagranicznymi i przeważnie zdobywał pierwsze miejsce choć walczył z olbrzymami, których waga była większa i o 40 kg. W międzynarodowych turniejach o tytuł mistrza świata zapaśnictwa profesjonalnego w Berlinie, Budapeszcie i Wiedniu zdobył Teodor Sztekker pierwsze miejsca. Na mistrzostwach w berlińskim pałacu sportów przy Kurfuerstendom wystawiono przeciw niemu dwóch najsilniejszych atletów, mimo to po 40 kolejnych zwycięskich walkach (tylko w tym turnieju) pokonał i ich. Siłacz ten (był mężem znanej pisarki Wandy Melcer) zmarł młodo nie ukończywszy nawet 40 lat. Łódzka „Republika" z 8 listopada 1934 r. donosiła wielkim tytułem: **„Tajemniczy zgon Sztekkera. Znany atleta polski zapadł nagle na nierozpoznawalną przez lekarzy chorobę i zmarł w szpitalu Dzieciątka Jezus".** W artykule m.in. czytamy:

„Mimo licznych narad lekarskich, w których brały udział powagi medyczne Warszawy, nie udało się dotychczas ustalić, co było przyczyną choroby, która w tak krótkim czasie, bo w ciągu 6 dni, zmogła potężny organizm atlety".

Z uwagi na wysoką 40-stopniową gorączkę podejrzewano, że atletę otruto, a tłem była konkurencja. Prokuratura umorzyła jednak śledztwo.

W trakcie zbierania materiału do tego artykułu, rozmawiałem z wieloma ludźmi — m.in. łodzianinem znającym dobrze sławnych podówczas atletów. Otóż jego zdaniem Sztekker zmarł na malarię, którą sam celowo się zaraził. Wywołanie i przebycie tej choroby miało uwolnić go od dokuczliwych czyraków na które cierpiał.

• • •

Kto dziś pamięta twardego kowala z ul. Lutomierskiej Hamelę, który rzucił swój warsztat, by stanąć w światłach areny? Kto pamięta parady zapaśników w takt Marsza Gladiatorów — Fuczika i duszne sale kinowe, gdzie magnesem był nie film ale występy siłaczy? Pożółkły stare fotografie przedstawiające „Cylispów", „Ursusów", rozsypują się stare afisze i zacierają ludzka pamięć. Niewielu już tych co pamiętają występy Sztekkera zrywającego łańcuchy jak pasemka przędzy.

ADAM LEWASZKIEWICZ

KINO „APOLLO"

W poniedziałek 7-go listopada

Ostatni dzień międzynarodowego turnieju walk

Dziś finałowe walki o nagrody:

I. Nagroda 400 złotych
II. „ 300 „
III „ 250 „
IV nagroda 200 złotych
V „ 150 „
VI „ 125 „
VII nagroda 75 złotych

Po zakończeniu walk rozdanie nagród zwycięzcom.

Walczą:

Zaremba Polska	Popławski sz. Europy	Michelson Bawarja	Brzezina Czechosłowacja
Cz. Maska incognito	Maciejewski Pomorze	Morton Łotwa	Sam Sandi Afryka

Wszystkie walki decydujące

Na ekranie: Poraz ostatni niezrównany film morski produkcji Polskiej z ZBYSZKO SAWANEM i MARJĄ BOGDĄ

„POD BANDERĄ MIŁOŚCI"

Początek filmu o godz. 7 w. walk o g. 8.30 w.

SPORT

WŁADYSŁAW LACHOWICZ

DOKĄD ZMIERZA ŁKS?

Co się dzieje z drużyną piłkarską ŁKS? Dobrze pamiętamy te przyjemne chwile, gdy jesienią obficie sypano pochwałami. A teraz... Już, niestety, na trybunach łódzkiego stadionu odezwały się gwizdy, kiedy po porażce (0:2) z Ruchem jedenastka trenera Leszka Jezierskiego schodziła z boiska. Brzydki był to odruch widowni, skoro jednak mniej odporni nerwowo kibice takim akcentem zakończyli swój pobyt na zawodach, zapytajmy, co ich tak bardzo wyprowadziło z równowagi? Czy tylko słaba w owym dniu gra jedenastki ŁKS, czy też zawiedzione nadzieje?

Odpowiedź łatwa. Sympatycy ełkaesowskiego zespołu nie mogą przeboleć nieoczekiwanych wiosennych jego potknięć. W ożywionych dyskusjach zastanawiamy się nad przyczynami regresu drużyny ŁKS. Zastanawiamy się nad pytaniem: czy marzenia o mistrzowskim tytule nabiorą jeszcze realnego kształtu, czy też nic już z tego nie wyjdzie?

Aspiracje łodzian podsycone zostały i przez trenera Jacka Gmocha. Z zespołu, który równo rok temu dramatycznie bronił się przed spadkiem i w którym, poza Janem Tomaszewskim, nie dostrzegano innych zawodników, teraz aż siedmiu piłkarzy figuruje w notesie selekcjonera kadry narodowej. Są to: J. Tomaszewski, M. Dziuba, M. Bulzacki, H. Miłoszewicz, M. Galant, A. Milczarski i St. Terlecki. Nie wszyscy z wymienionych trafią do kadrowej drużyny Jacka Gmocha, ale sam fakt zwrócenia na nich uwagi dowodzi, że w zespole ŁKS są talenty i że drużyna złożona z takiej ilości dobrych piłkarzy powinna grać lepiej, niż to obecnie czyni. Bo chyba nikt nie postawi J. Gmochowi zarzutu, iż za pochopnie powoływał na swe sprawdziany i obozy byle jakich zawodników i że w selekcji kierował się szczególną sympatią do łodzian.

Trener J. Gmoch nie skarżył się też na poziom przygotowania ełkaesiaków przy analizowaniu osiągniętych przez nich rezultatów w próbach testowych. Nie słyszeliśmy również podobnego sygnału z ust Leszka Jezierskiego, dysponującego w przystadionowym gabinecie lekarskim nowoczesną, za dewizy przez ŁKS kupioną aparaturą do badań cech kondycyjno-sprawnościowych. Dopiero po meczu z Ruchem, na konferencji prasowej, bezradnie rozkładając ręce, trener L. Jezierski wyznał szczerze, iż sam nie wie, jak skomentować zachowanie się jego podopiecznych. Można snuć różne domysły, ale niektóre informacje utwierdzają nas w przekonaniu, że piłkarze ŁKS prowadzą prawidłowy tryb życia, sumiennie trenują, często dyskutują z trenerem L. Jezierskim na temat założeń taktycznych, aparaty pomiarowe też nie kłamią. A mimo to Grzegorz Ostalczyk biega po boisku, jakby wsypano mu ołowiu do butów, zaś Stanisław Terlecki wnosi do gry nieporównanie mniej niż dawniej. Inni, poza Janem Tomaszewskim walczą także poniżej swych możliwości.

Kiedy już zastanawiamy się nad przyczynami słabszej gry jedenastki ŁKS, warto wziąć pod uwagę celną wypowiedź B. Kukucia z „Głosu Robotniczego", który stwierdził, że w drużynie ŁKS doszła do głosu teoria: „my obserwujemy, a oni niech się nawzajem tną".

Wierząc w nieustanną ciągłość sprzyjających okoliczności, ełkaesiacy z dużą niekiedy przesadą chronili w meczach własne przedpole, zapominając o tym, że siedząc za długo w „okopach", rychło stracić mogą całą punktową przewagę. I tak się stało. Taktyka na tak zwane kontry daje pozytywne rezultaty, kiedy dwaj desantowi napastnicy otrzymają natychmiastowe wsparcie z drugiej linii i jeżeli ci dwaj napastnicy są pełnowartościowymi zawodnikami oraz nie wykazują bezradności przy mało skomplikowanych poczynaniach. Jak pamiętamy z najświeższych wrażeń, takimi przebojowcami nie byli ostatnio ani Andrzej Milczarski ani Stanisław Terlecki.

Osobny rozdział stanowi Stanisław Terlecki. W jesiennych spotkaniach zbierał zasłużone brawa, imponował wspaniałymi ucieczkami, demonstrował nienaganny drybling, siał uzasadniony strach w defensywach rywali. Zimą nie próżnował. Opuścił wprawdzie kilka treningów klubowych, choć w tych dniach nie miał obowiązku meldowania się na zajęciach kadry J. Gmocha, ale powstałe zaległości starał się nadrobić. I oto Terlecki nie jest taki, jak był dawniej. To, co jesienią łatwo mu się udawało, teraz, wiosną, doprowadza go do rozpaczy. Biegający z nim krok w krok przeciwnik nie daje się wyprowadzić w pole, co więcej, odgadując intencje Terleckiego, przekreśla jego zamiar. Dlaczego?

Przy pół czarnej zastanawiali się nad tym łódzcy dziennikarze sportowi. Chyba najbliżej prawdy był A. Szymański z „Trybuny Ludu". Powiedział on:

— Poprzez swe występy w reprezentacji Polski i telewizyjne reportaże ze spotkań tej drużyny Stanisław Terlecki został dokumentnie rozszyfrowany. Orientują się już wszyscy, przy pomocy jakiego manewru udaje się mu sztuka w mijaniu przeciwnika. Czyhają na ów manewr. I tak długo będą się z tego cieszyć, aż Stanisław Terlecki nie dojdzie do wniosku, że dotychczasowy jego repertuar technicznych tricków już jest za skąpy.

Stanisław Terlecki powinien więc przestać wierzyć w powiedzenie, że „czego Jaś się nie nauczył, tego Jan nie będzie umiał", albowiem w jego wieku dalsze powodzenie w grze jest uzależnione od konsekwentnego i upartego wręcz dążenia do ciągłego uzupełniania elementów jego sztuki piłkarskiej.

Nie bez znaczenia w działaniach każdej drużyny są z góry przygotowane koncepcje. Na przykład rzuty z rogu, rzuty wolne, nawet rzuty z autu. Cóż z tego za pociecha, gdy w loży prasowej z satysfakcją stawiamy w notesach wiele kresek, oznaczając rzuty wolne egzekwowane przez ŁKS, skoro każdy jest tak do siebie łudząco podobny i przeciwnik dobrze już wie, jak się ustawić pod własną bramką. Dobrze poznali się na „rogalach" bramkarze. Stąd podkręcone piłki stają się zazwyczaj łatwym ich łupem. Byłoby dobrze, aby w trakcie treningów ŁKS więcej uwagi poświęcił urozmaiceniu stałych fragmentów gry, bo i w sposobie egzekwowania rzutów wolnych istnieje mnóstwo interesujących, różnorodnych kombinacji. Pokazuje nam je niekiedy telewizja. To i owo można z niej przenieść na własny użytek. Stałe fragmenty gry, to tylko z pozoru (poza rzutem karnym) niby nic nie znaczące detale w walce. Wytrawne zespoły uczą się tego na treningach i w meczu zaskakują przeciwnika rozmaitością wariantów.

Tych kilku uwag proszę nie traktować jako pełną analizę gry ełkaesiaków. Jest w ich poczynaniach i wiele blasków. To prawda, że za mało, to prawda, że drzemią w tej drużynie nie uruchomione dotąd siły i to także prawda, że w ciągu niezbyt długiego czasu trener L. Jezierski nie był w stanie podnieść na najwyższy poziom gry swych podopiecznych. Podejrzewam, że nawet tendencja „murowania bramki" nie leżała w jego planach. Po prostu sami piłkarze ŁKS asekurowali w ten sposób jesienny dorobek punktowy, zakładając, że walka na remis również na długo zabezpieczy pozycję lidera.

Aktualne musi więc być hasło: Do śmielszego ataku! Do szturmu z pełnym rozmachem!

Przy szukaniu możliwości powrotu na pierwsze miejsce w tabeli nie rokuje sukcesów bojaźliwe siedzenie w „okopach".

W porywie optymizmu załóżmy, że ŁKS zdobędzie tytuł mistrza Polski, że sprawi Łodzi świetny prezent. Ale w tym optymistycznym patrzeniu w przyszłość nie można zapominać o dalszej perspektywie, o uczestnictwie w meczach o Puchar Europy. W edycji tych rozgrywek górę brać będą zespoły atakujące. Chyba, że w wyniku losowania wypadnie nam walczyć z Cyprem. Byłby to jednak fuks i nawet w marzeniach nie można go poważnie brać pod rozwagę. Ten zajdzie wysoko w Pucharze Europy, kto więcej liczyć będzie na siebie, mniej na łaskawy przydział losu. Ale to daleka przyszłość.

P.S. Zarówno po meczu ŁKS ze Stalą Mielec jak i po spotkaniu z Widzewem moje uwagi nic nie tracą na aktualności.

W.L.

RECENZJE

MISTER UNIVERSUM czyli antydżuma

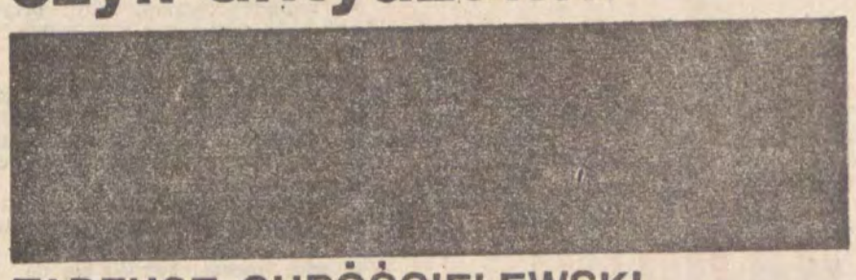

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Miejscem akcji najnowszej powieści Klimas Błachutowej jest gigantyczny blok, w którym możemy równie dobrze rozpoznać katowicki mrówkowiec, co każdy masowiec mieszkalny gdziekolwiek bądź w kraju, czy nawet poza nim. Stąd owa uniwersalność zasygnalizowana w nazwie bloku, zarazem w tytule powieści. Podobnie uniwersalny jest i czas akcji: współczesność, ale abstrakcyjna, bez wyróżników czasowych, które pozwoliłyby ją umiejscowić w konkretnym wycinku czasowym. Może to być równie dobrze współczesność roku 1973 — w którym powieść została napisana — jak i o dziesięć lat wcześniejsza bądź późniejsza.

Blok gigant jest nie tylko miejscem wydarzeń, lecz w znacznej mierze i postacią utworu. Nawet główną. Czymś w rodzaju lalki wierzchniej w znanej zabawce rosyjskiej, która to lalka będąc zarazem ścisłym futerałem decyduje o sylwetce, wyglądzie, ba, i kostiumie lalek wewnątrz. Masowiec Mister Universum, jego ogrom, doskonała sterylność i funkcjonalność, kształtuje jakość odczuwania i reakcje zalegających go piętrami — określenie autorki — złóż ludzkich, uniformizuje mentalność mieszkańców. Presja jego skali unaocznia im nikłość własnej osobowości, dążeń czy prób nieulegania szablonom narzuconym przez niego i siły, jakich jest egzemplifikacją. Autorka dokonuje operacji, którą w literaturze uczynił już był Diabeł Kulawy Lesage'a, zaś w życiu nasi milusińscy ze wspomnianą lalką: unosi kolejno i z szeregiem nawrotów strop nad mieszkaniami poszczególnych lokatorów bloku alias zdejmuje lalkę wierzchnią. Oto kilka z jej licznych spostrzeń.

Studentka — sublokatorka przeciwstawia się dyktaturze uniformizmu przez przekorną ochronę rysunku węglem na ścianie, wykonanego podczas prywatki przez podchmielonego kolegę. Jest przy tym jednak w pełni świadoma, że owa mini manifestacja odrębności własnego „ja" jest więcej niż iluzoryczna: rysunek zostanie momentalnie zamalowany po jej wyprowadzeniu się. Kandydatka na pomoc domową do pisarza — intelektualisty — osoba ukształtowana przez cywilizację masowcową i przeświadczona o swej misji cywilizacyjnej wśród zapóźnionych w postępie — poucza kandydata na chlebodawcę, że winien on zlikwidować swój bogaty księgozbiór oraz kolekcję rzeźby ludowej, gdyż tak zabudowane wnętrze kłóci się z przyjętą przez powszechność aktualną konwencją urządzania mieszkań. Uniformizm architektury wnętrza i poczucie osamotnienia w ludnym bloku, którego ogrom przerasta możliwości adaptacji psychicznej — pogłębiają ostrą depresję i poczucie bezradności wrażliwego artysty, co wróciwszy do pracy po ciężkiej chorobie z miejsca zetknął się z prawem działania zmienionych układów i przejawami hurra-kacykowstwa nowego szefa.

„Poczucie osamotnienia w ludnym bloku" to oksymoron niezwykle tu adekwatny. Kto wie, czy nie Błachutowa pierwsza ukazała w literaturze tak znane dziś paradoksalne zjawisko, że właśnie w koszarowych gigantach o identycznych normatywach i standardzie — zamiast żywych więzi sąsiedzkich, którym, zdawałoby się, winien ów egalitaryzm kwaterunkowy sprzyjać — daje o sobie niezwykle ostro znać kult powstałej i ugruntowanej w starofeudalnej Anglii zasady: „moje M—3 — moja twierdza". Sąsiedzi nie interesują się sobą, nic nie wiedzą jedni o drugich i zachowują wobec siebie podszytą niechęcią obojętność. Zataczającego się przed windą sąsiada—garbusa, który jest świeżo po zawale i do tego doznał przed godziną niebezpiecznego szoku w miejscu pracy, studentki — sąsiadki taksują pierwszym i zarazem ostatecznym rzutem oka jako pijanego i nie tylko nie zatroszczą się o niego, lecz przeciwnie, usiłują przeszkodzić w dostaniu się do windy. Sąsiedzi biorą prokuratora i panią sędzinę, którzy pod wpływem szoku przewrócili się na siebie na podeście schodów, za spółkującą parę i wycofują się z obojętnym niesmakiem w swoje arystokratyczne splendid isolation. Jedyną w masowcu osobą czującą potrzebę kontaktów i działań sąsiedzkich jest staruszka, która dzwoni do poszczególnych mieszkań z wiadomością, że na korytarzu nowoczesnego giganta pojawiły się szczury. Swoimi zjawieniami się z „komunikatem" właśnie narusza zasadę „twierdzy" i postępek ten w opinii powiadamianych kwalifikuje uczynną staruszkę do oddania w ręce milicji bądź pogotowia psychiatrycznego.

I tak oto doszliśmy do szczurów i spraw zasygnalizowanych w drugim członie tytułu tego omówienia. Błachutowa buduje bowiem swą powieść bardzo przewrotnie. Aż do punktu kulminacyjnego zdaje się ją komponować w daleko idącej zależności od „Dżumy" Camusa. Sugeruje nam nadciąganie jakiegoś niesamowitego kataklizmu, który niesie zagładę tej nowej wspaniałej Atlantydzie. Stopniuje atmosferę grozy. Straszy nas, podobnie jak Camus, masową inwazją szczurów, które naraz usiłują zaanektować korytarze gigantycznego ultranowoczesnowca... No i nic z tych rzeczy. Apokalipsa jest oberwaniem się chmury, którego betonowy kolos nawet nie odczuł. Życie toczy się w nim dalej, nie zakłócone niczym i nie kończy się katastrofą żaden — z grawitujących przecież ku niej według kanonów tradycyjnej powieści — konfliktów kłębiących się wewnątrz mieszkań—twierdz.

Czy wystarczy, gdy powiem, że śląska pisarka pokazała język schematowi Camusa i trochę nabrała czytelników? Rzecz nie w tym. Przeciwstawienie się wymaga sięgnięcia po arsenał środków — tu konwencji fabularnych — antagonisty i poprowadzenia tymiż środkami analogicznych rozważań ad absursum. Tu właśnie miejsce, by dopowiedzieć expressis verbis, że wysokościowiec Mister Universum to wszak nie tylko miejsce akcji i nie tylko główny bohater, lecz i, podobnie jak metropolia północnoafrykańska w „Dżumie", pars pro toto współczesnego kontrowersyjnego stadium rozwoju cywilizacji. Klimas Błachutowa w krytycznej tego stadium ocenie zdecydowanie przeciwstawia się camusowskiemu katastrofizmowi. Inwazja szczurów to nie trąby archaniołów przed końcem świata. Jej niezawodność prorocza jest co najwyżej niezawodnością horoskopów z „Dziennika Popularnego". Mister Universum oparł się huraganowi — w odróżnieniu, co należy przypuścić, od strzechy krytej słomą — bo jest potężny i niezłomny. Ludzie rozgrywający w nim często z nie najlepszym skutkiem swe partie z losem nie giną jako ofiary przeciwności życiowych, bo nie są z cukru, no i żyją w świecie trudnym, lecz nie w świecie demonów.

Jak można ująć ocenę ogólną tej doskonałej pod względem dramaturgicznym, a i doboru właściwej konwencji stylistycznej, książki? Pokazywanie jedynie awersu współczesności daje wątpliwej wartości utwór dworski. Pokazywanie jedynie rewersu — paszkwil. Pokazywanie zaś z jednakową uwagą obu stron medalu, budzenie jednocześnie niepokoju i wiary, jest właśnie najwyższą powinnością literatury zaangażowanej, jest warunkiem sine qua non zaangażowania — z czego nie zawsze zdają sobie sprawę konformistyczni propagandyści, politycy niższych szczebli, wydawcy i cenzorzy. „Mister Universum" jest właśnie książką najżywiej zaangażowaną.

*) Maria Klimas Błachutowa „Mister Universum", „Iskry" Warszawa 1976, cena zł 16.

SZKICE O DAWNEJ ŁODZI

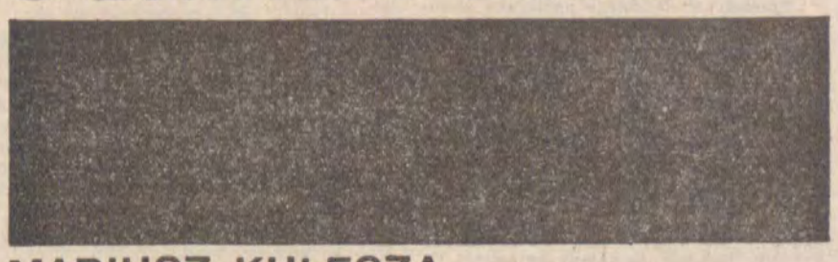

MARIUSZ KULESZA

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazała się nowa pozycja z serii popularyzującej dzieje Łodzi. Jest nią książka Bohdana Baranowskiego — „O dawnej Łodzi". Autor, znany i ceniony historyk, od przeszło trzydziestu lat związany z Łodzią, profesor Uniwersytetu Łódzkiego, od dłuższego już czasu zajmuje się badaniami dotyczącymi dziejów Łodzi, oraz przeszłości terenów, które obecnie zaliczamy do regionu łódzkiego. Ma w swoim dorobku B. Baranowski wiele prac naukowych i popularno-naukowych z zakresu historii gospodarczej, politycznej i obyczajowej tego obszaru. Jest przede wszystkim specjalistą zajmującym się problematyką poruszającą sprawy związane z życiem codziennym, wierzeniami ludności oraz z kulturą materialną, głównie najniższych warstw społecznych. Poza wyżej wymienioną problematyką B. Baranowski w badaniach swoich zajmuje się także etnografią regionalną.

B. Baranowski wydał kilka prac poruszających problemy związane z zagadnieniem osadnictwa na terenie dzisiejszej Łodzi w okresie XVI—XVIII wieku. Ostatnia jego książka ukazuje Łódź, której dzieje obejmują okres zaczynający się w roku 1423 i sięgający do początku lat trzydziestych zeszłego stulecia. Jest to okres, który w historiografii Łodzi otrzymał nazwę Łodzi rolniczej. Autor przyjmuje jako datę wstępną pierwsze wzmianki o tym terenie, a zamyka pracę na latach, które przynoszą Łodzi tyle zmian, że stanowią już odrębny problem merytoryczny, stanowią początek Łodzi przemysłowej, Łodzi, która z dnia na dzień zmieniała swoje oblicze.

Książka obejmuje cztery wieki istnienia Łodzi, ówczesnego miasteczka liczącego niespełna 200 mieszkańców oraz wsi i osad stanowiących obecnie dzielnice lub przedmieścia tego wielkiego miasta. Jest to dużym plusem tej pracy, że autor nie poprzestał tylko na opracowaniu dziejów samej Łodzi, ale również poważnie potraktował cały obszar objęty dzisiaj granicami miasta, który w swej przeszłości odegrał dość istotną rolę w dziejach samej Łodzi. Np. Widzew — na terenie którego w końcu XIX stulecia powstał jeden z największych kompleksów fabryczno-mieszkalnych Łodzi przemysłowej, praktycznie nie wchodzący w granice ówczesnej Łodzi, czy też Bałuty, które przez dłuższy okres czasu pozostawały wsią z liczbą kilkudziesięciu tysięcy mieszkańców. Innym plusem tej bardzo interesującej książki jest sprawa rozszerzenia przez autora problematyki na miasta i tereny sąsiadujące z regionem łódzkim, przez co czytelnik ma możliwość dokonania porównań dziejów naszego miasta z innymi, większymi ośrodkami miejskimi, które w ówczesnym okresie odgrywały o wiele większą i znaczniejszą rolę niż ta maleńka, zagubiona wśród lasów mieścina.

Książka „O dawnej Łodzi" zajmuje się prawie wszystkimi problemami, jakie związane były z codziennym życiem tego typu miasteczek. W kilkunastu szkicach, ściśle ze sobą powiązanych, czytelnik ma okazję uzyskania wielu informacji na temat życia politycznego, gospodarczego i kulturalnego.

Jednym z najciekawszych zagadnień jakie porusza autor w swojej pracy jest próba odpowiedzi na pytanie — co było przyczyną, że ta maleńka, położona na uboczu ważnych dróg handlowych i komunikacyjnych, z dala od poważniejszych arterii wodnych osada w ciągu krótkiego okresu czasu diametralnie zmieniła swoje oblicze, stanęła przed wielką szansą, przed wielką karierą? Autor wyjaśnia dlaczego to właśnie mała Łódź, a nie przykładowo Pabianice, Zgierz, czy też inne większe miasta, będące niekiedy i siedzibą władz lokalnych, czy też mających o wiele korzystniejsze położenie, stało się w niedługim czasie „ziemią obiecaną".

JĘZYK

KSIĄŻKA DLA KAŻDEGO

Już w XVI w. zadziwia wielka ilość książeczek, które dostarczały wiadomości gramatycznych. Fakt że miały one głównie cel praktyczny: uczyły polskiego cudzoziemców, a pisane przez innych, już spolonizowanych, nie mogły uwolnić się od reguł i schematów łaciny. Toteż obraz języka polskiego jest w nich mocno spaczony. Wśród „rozmaitych i potrzebnych sentencji młodzieńcom na pożytek zebranych" w jednym z „wokabularzy wielmi potrzebnych ku uczeniu się polskiego", za wzór prawidłowej polszczyzny służyło takie na przykład zdanie: „Gadaj sie semną w polskiey mowie o co żyw chcesz"...

Autorem pierwszej poważnej gramatyki polskiej (z 1568 roku) jest jednak też cudzoziemiec, Francuz, kalwin Piotr Statorius-Stojeński. Trzeba wiedzieć że napisanie „gramatyki" nie było wówczas (i nie jest do dziś) łatwe. Język ogólnonarodowy dopiero się kształtował, ścierały się w nim różne wpływy regionalne i różne normy. W oparciu o język Reja i Kochanowskiego udało się jednak Stojeńskiemu dokonać fundamentalnego do dziś opisu polskiego systemu gramatycznego.

Podręczniki gramatyki pisali potem najwieksi polscy uczeni: Kazimierz Nitsch, Jan Łoś, Jan Rozwadowski, Stanisław Szober (aż 12 wznowień!), Witold Doroszewski, Zdzisław Klemensiewicz i inni. Ale swoje książki adresowali głównie do środowiska akademickiego, do tych, którzy już dobrze przyswoili sobie elementarne pojęcia gramatyki. Bo popularna, ale i wyczerpująca gramatykę dla wszystkich napisać jest najtrudniej. Człowieka, któremu starczyłoby odwagi czekają kłopoty inne niż te tylko, które mieli pierwsi, XVI-wieczni polscy gramatycy.

— Od początku świata wszyscy twierdzą, że gramatyka jest jedną z najnudniejszych rzeczy pod słońcem — mówi dr Piotr Bąk — „Nie lubia jej i uczniowie i sami nauczyciele. Stąd fatalny poziom nauczania w szkołach. Ale wszyscy sa jednak przekonani, że sie na języku znają... Niełatwo pisać gramatykę i z tego wzgledu, że dotychczasowe były naprawdę „dziełami życia" wybitnych polskich językoznawców. Mój natomiast zamiar był skromny: przekonać ludzi, że gramatyka może być interesująca, że może być książką do czytania".

Dr Piotr Bąk jest znanym łódzkim polonista. Od prawie 40 lat uczył gramatyki w szkołach podstawowych i średnich, w Studium Nauczycielskim i Wyższym Studium Nauczycielskim. Dziś jest pracownikiem Instytutu Filologii Polskiej na UŁ. Ma kilka specjalności. Jest dialektologiem. Jako metodyk języka polskiego wydał m. in. „Nauke czytania i recytacji w szkołach...", której już dwa kolejne wydania rozeszły się szybko.

— Gramatyki języka polskiego nigdy bym nie napisał — mówi dr Piotr Bąk — gdyby nie konkretna propozycja „pękającego" od różnych inicjatyw i szukającego współpracowników Uniwersytetu Warszawskiego, poparta zamówieniem wydawniczym „Wiedzy Powszechnej". Nigdy by mi nie przyszło na myśl napisać „Gramatykę". Bo i po co? Żeby mnie wyśmiali? Że się odważam po takich autorytetach jak Klemensiewicz czy Szober? Żeby została w rękopisie, gdyż u nas rzadko sie takie ksiażki wydaje?...

Uznanie więc należy się i „Wiedzy Powszechnej", której podstawowym zadaniem jest właśnie popularyzowanie wiedzy w najszerszych kręgach. „Gramatyka" Piotra Bąka została wydana w pięknej serii „Biblioteki miłośników języka".

„Gramatyka" łódzkiego naukowca wyrosła z jego wieloletnich, praktycznych doświadczeń i obserwacji. Opisuje — zgodnie z ogólnoświatową tendencją — żywy, współczesny stan języka. Łączy zjawiska gramatyki z wyjaśnieniem mechanizmów powstawania niepoprawnych form i błędów. Jest więc też w pewnym sensie poradnikiem. Wyjaśnia wszystko od początku: terminy, pojęcia najbardziej podstawowe, ogólne. Ujmuje bodaj wszystkie działy podręcznikowej wiedzy o języku. Godny pochwały jest jasny, nieskomplikowany tok wykładu, styl zwięzły i rzeczowy, ale kiedy trzeba — obrazowy i barwny. Dobrane przykłady ze znanej literatury polskiej dodają tylko tej popularnej pracy — urody.

Z dydaktycznym i pisarskim talentem ukazuje autor te momenty, w których oschła wiedza o języku graniczy z barwna anegdota. A dobrze „sprzedać" trudną i nudną z pozoru wiedzę można właśnie dzięki ciekawym przykładom. Któż nie zapamięta wyrazu „kobieta" jako przykładu zjawiska zmian znaczenia wyrazów, kiedy uświadomi sobie, że słowo to utworzone jest od nazwy „kobo" czyli... „chlew, obora" i oznaczało „chlewną dziewkę"! Jeszcze do końca XVII w. miało znaczenie obelżywe, dziś zaś jest uczuciowo dodatnio nacechowane.

„Gramatyka języka polskiego" łódzkiego naukowca, Piotra Bąka, przystępnie i popularnie porządkuje tak na ogół skołtaszoną w naszych głowach podstawową wiedzę o tym języku, którym posługujemy się na co dzień. Warto więc, żeby znalazła się w każdej domowej bibliotece.

TOMASZ SOLDENHOFF

DAWNE PROCESY (I)

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

SPRAWA PAPLIŃSKIEGO

wszedłem do gabinetu. Panowie się naturalnie znacie z sądu, stwierdził Woyzbun, i Papliński podał mi rękę tłustą i rozluźnioną i odwrócił się ode mnie jak od mebla, który przestał go interesować. Odniosłem wrażenie, że uścisnąłem kawał śliskiego mięsa.

Zapraszam czasem mojego kolegę — współpracownika, żeby przysłuchiwał się rozmowie z klientem, tłumaczył mecenas. Czy pan kolega nie ma nic przeciwko temu?

Absolutnie. Ja też każę czasami mojemu aplikantowi przysłuchiwać się rozmowie z klientami. To pouczające. Chyba, że sprawa ma charakter intymny.

Czułem się zażenowany, sądziłem, że mecenas postąpił niewłaściwie, ale widocznie miał w tym jakiś cel. A więc, proszę! zwrócił się do Paplińskiego.

Tak. Moim zdaniem, jak mówiłem, tak zwany zbrodniarz jest produktem otoczenia i patologicznych stosunków społecznych. Karać zaś ma prawo tylko ten, kto sam jest bez winy, a zatem — nie ludzie, nie społeczeństwo, gdyż w nim właśnie poczęło się pojęcie zbrodni.

Oryginalna teoryjka, wtrącił Woyzbun; słowom towarzyszył pobłażliwy uśmieszek. Oryginalna, ale nieco ekscentryczna.

Ekscentryczna, powiada pan kolega, oburzył się Papliński. Więc gdzie urodził się przestępca? Kto ma w przestępstwie bezpośredni udział jak nie społeczeństwo? dopytywał się. Kto jak nie społeczeństwo ponosi odpowiedzialność za czyn objęty przepisem prawa karnego?

Kolego, przerwał Woyzbun, nie mogę się z tym zgodzić. Społeczeństwo kryminogenne czyli rodzące seryjnie przestępców nie mogłoby istnieć, musiałoby się rozpaść i zeszłoby do stanu pierwotnej hordy.

Papliński przeszedł do porządku dziennego nad tym argumentem i mówił dalej: W moim rozumieniu nie ma zbrodni, póki poszkodowany jest współsprawcą, prokurator — podżegaczem, a członkowie trybunału — delegatami społeczeństwa, które ponosi odpowiedzialność za czyny przestępne.

Woyzbun usiłował przerwać potok wymowy kolegi, lecz Papliński nie dopuszczał go do głosu. Proszę mi pozwolić dokończyć, zastopował zamiar włączenia się rozmówcy do dyskusji. Po tym, co powiedziałem, jest jasne, że adwokat ma prawo podjąć się obrony w każdej sprawie, bez względu na charakter i szkodę wyrządzoną przez przestępcę.

Słuchałem dyskusji i ogarniało mnie przygnębienie. Wywody Paplińskiego wydały mi się wycelowane w próżnię, poza nawias życia, nierealne i doktrynerskie.

Argumentował dalej, a ja w sposobie polemizowania, w lekceważeniu przez Paplińskiego zarzutów przeciwko jego teorii, w tonie wyższości i wysuwania na plan pierwszy mojej osoby, widziałem coś maniakalnego, przecenianie własnych możliwości i piramidalne zarozumialstwo.

Dlatego adwokat ma prawo przyjąć i podjąć się obrony w każdej sprawie, powtarzał z ferworem. I nie tylko prawo, dowodził. Każdy adwokat ma obowiązek przyjąć każdą sprawę, z jaką zwróci się do niego klient. I gdyby nawet klient przyznał się w kancelarii adwokata do popełnienia zbrodni...

Papliński podniósł głos, krzyczał, denerwował się, wymachiwał rękami: Gdyby nawet przyznał się do zbrodni, adwokat ma obowiązek bronić klienta tak, jak gdyby przyznania się do zbrodni nie słyszał.

Niewątpliwie było to szokujące i prowokowało do lekceważącego wzruszenia ramionami i uznania takiej „teorii" za nieodpowiedzialną albo wręcz bezsensowną, stworzoną ku prywatnemu użytkowi adwokata Paplińskiego, o którym było wiadomo, że każdy sposób obrony jest dla niego dobry, jeżeli prowadzi do wygrania sprawy. Tylko że taka „teoria" stwarzała okazję, a nawet wręcz zachęcała do wprowadzania sądu w błąd i zwalniała adwokata od przestrzegania elementarnych zasad etyki adwokackiej.

A więc szokujące, ale też zmuszające do przemyślenia problemu.

Taki jest mój pogląd na rolę obrońcy w procesie, zakończył swoje exposé Papliński. Pisałem o tym w broszurze wydanej drukiem pod tytułem „Etyka przed sądem".

Po tej namiętnej diatrybie gościa rozległ się spokojny i opanowany głos Woyzbuna. To, co kolega powiedział, to jest stawianie na głowie całej etyki adwokackiej. I ja kolegi w ten sposób bronić nie mogę.

Wcale tego nie żądam, replikował szybko Papliński. Zwróciłem się do szanownego pana kolegi z prośbą o obronę, ponieważ uważany jest kolega za kryształowego adwokata i cieszy się kolega autorytetem u sędziów. Jeżeli w ogóle pojęcie „kryształowego adwokata" nie jest sprzeczne samo w sobie, śmiał się stary cynik bawiąc się brelokiem zwisającym z łańcuszka zegarka. Brelok przedstawiał miniaturową gilotynkę do obcinania czubków cygar.

Pan kolega udowodni tylko, że ja strzelałem w stanie silnego wzburzenia, a poza tym będzie pan kolega bronił mnie według swoich szlachetnych zasad, mówił z cienką ironią Papliński. A ja już w ostatnim słowie, przysługującym oskarżonemu, wezmę na moją osobistą odpowiedzialność pogląd, jaki mam, to znaczy, jaki sobie wyrobiłem na tę „rewolwerową sprawę", jaki pisze dzisiejsza prasa.

Każda czysta sprawa wymaga, zaczął Woyzbun nieco uroczyście.

Papliński znów przerwał mu gwałtownie: Czysta lub nieczysta sprawa może być tylko po stronie klienta, nigdy — po stronie adwokata, prawił mentorskim tonem. Zawsze i wszędzie, na ławie obrończej, w pokoju adwokackim, w kuluarach sądowych zachowywał się hardo, często arogancko, z denerwującym tupetem i zarozumiałą pewnością siebie.

Dziwiłem się, że mecenas pozwala swojemu rozmówcy na taki bezceremonialny sposób bycia.

Adwokat ma swobodny wybór świadków i dowodów, z jakim wychodzi na pole walki o prawa swojego klienta rozprawiał gorąco Papliński. Wolno mu posługiwać się wszelkimi dostępnymi środkami. Nadrzędnym zadaniem adwokata jest obrona interesów klienta. Mówi się, że obrońca powinien współdziałać z wymiarem sprawiedliwości. Czy po to, żeby ukręcić sznur na szyje klientowi? Nonsens! Obłuda! dowodził zapalczywie. Podziwiałem, ile ten człowiek ma sił i temperamentu.

Dążenie do wykrycia prawdy obiektywnej ma tylko wtedy sens i rację bytu, jeżeli nie koliduje z interesami oskarżonego.

Dzwonek od frontu.

Wybaczcie, kolego! zwrócił się mecenas do mnie. Gosposia wyszła. Bądźcie uprzejmi otworzyć klientowi.

Otworzyłem drzwi, wskazałem klientowi drogę do salonu i nie wróciłem do gabinetu.

* * *

W czasie, kiedy w kancelarii i w sądach praca paliła się nam w rękach, otrzymaliśmy wezwanie na rozprawę w sprawie Paplińskiego na 8 września. W przeddzień sprawy mecenas zaprosił mnie do gabinetu i wyraził życzenie, żebym był obecny przy rozmowie z Paplińskim. Dla usprawiedliwienia, a raczej dla uzasadnienia mojego udziału w konferencji Woyzbun chciał nadać rozmowie charakter koleżeński. Spotkanie miało odbyć się po przyjęciach, o wpół do ósmej, i nie w gabinecie, lecz w salonie, przy kawie i likierze.

Nie czułem się bynajmniej zachwycony tym wyróżnieniem. Domyślałem się, że Woyzbun chce mieć we mnie świadka na wypadek, gdyby jego chimeryczny klient wystąpił po wyroku z pretensjami z powodu niedotrzymania przez Woyzbuna zasad taktyki obrończej, jakie zostały ustalone na poprzedniej naradzie.

Przypomniałem sobie, że zasugerowałem mecenasowi zrzeczenie się pełnomocnictwa, na co mi odpowiedział, że mogłoby to być źle zrozumiane, i to ze szkodą dla sprawy.

Nie zgadzałem się z tym. Zdarzało się, że adwokat odmawiał podjęcia się obrony, jeżeli wątpił, czy uda mu się uzyskać wyrok uniewinniający albo co najmniej — niski wymiar kary ze względu na okoliczności łagodzące. Nie trafiały mi również do przekonania późniejsze argumenty mecenasa, że wykonywany przez niego zawód nie jest jego prywatną sprawą, gdyż biorąc na siebie obowiązek adwokata zaciągnął dług wobec społeczeństwa. Sprawa Paplińskiego miała charakter sensacyjny; domyślałem się, że Woyzbunowi zależało na rozgłosie i że chciał w tej sprawie zabłysnąć, ale obawiałem się, że ten proces nie przysporzy mu popularności. Zresztą może wchodziły w grę jakieś inne przyczyny, które skłaniały mecenasa do przyjmowania spraw, w których obrona nie dodawała mu ani autorytetu, ani rozgłosu i które kończyły się przeważnie porażką. Mogła to być pogoń za sukcesem za wszelką cenę albo ambitny zamiar zademonstrowania sądom, kolegom i opinii publicznej, że adwokat Woyzbun wygrywa sprawy, z których każdy inny obrońca wyszedłby prawdopodobnie pokonany, albo wreszcie chęć udowodnienia samemu sobie, że przekroczywszy sześćdziesiątkę będzie jeszcze długo przydatny i sprawny jak dawniej.

Rola, jaką mi wyznaczył, nie była mi obojętna. Przyszło mi na myśl, że uknuliśmy z mecenasem spisek przeciwko Paplińskiemu. W tym spisku ja miałem być w przyszłości ewentualnym świadkiem Woyzbuna przeciwko jego klientowi. Uważałem to posunięcie za nielojalne w stosunku do Paplińskiego i zastanawiałem się, jak wycofać się z tej zmowy. Z drugiej strony jako współpracownik Woyzbuna, któremu wiele zawdzięczam, nie chciałbym okazać się niewdzięcznikiem i wymigiwać się z sytuacji, w której mu jestem potrzebny. Namyślałem się, czy nie zwierzyć się Woyzbunowi z moich wątpliwości? Ale czy mecenas mnie zrozumie? Czy nie narażę się na zarzut przesadnej skrupulatności lub pedanterii? Oto do czego doprowadziła mnie moja praktyka dependencka i współpraca zawodowa z przedstawicielami palestry! Postawa, która nie powinna mi nasuwać i dawniej by nie nasuwała żadnej wątpliwości, zaczyna mi się wydawać przesadnie skrupulatna lub pedanteryjna! Nasiąkam powoli relatywistyczną etyką środowiska, które każdą sytuację czy postawę moralną potrafi zinterpretować w zależności od potrzeby chwili. Mógłby mnie tylko usprawiedliwiać fakt, że Papliński to niebezpieczny kontrahent i trzeba się mieć przed nim na baczności. Jego cyniczna teoria podyktowana jest osobistym interesem i odgrywa rolę autoreklamy. Dlatego Papliński ma liczną klientelę. W broszurze „Etyka przed sądem" znalazłem następujące zdanie: „Nazywają nas sługami prawa i stąd wyciągają wniosek, że jest naszym zadaniem baczyć, aby zbrodnia była ukarana. Jest to oczywisty fałsz". Ten passus zapadł mi w pamięć. Jeżeli nawet przyjąć za prawdę, że niektórzy adwokaci nie przebierają w środkach do osiągnięcia celu czyli wygrania sprawy, to uogólnienie takiej postawy na całą palestrę oraz otwarte i wyzywające nieuznawanie obowiązujących w środowisku adwokackim zasad etycznych było zwyczajnym cynizmem.

Gosposia zaanonsowała przyjście gościa.

Papliński przyjął milcząco do wiadomości moją obecność oraz fakt, że rozmawiamy w salonie przy kawie z likierem, i wykazał dużą przytomność umysłu. Zasiadłszy przy owalnym stole wyjął z kieszeni w kamizelce płaski złoty zegarek na grubym łańcuszku i mrużąc zaczerwienione powieki spojrzał na cyferblat. Następnie schował zegarek do kieszonki i oświadczył, że bardzo mu przykro, lecz ma pełną poczekalnię klientów i może nam poświęcić najwyżej pół godziny. Dlatego proponuje, żeby nie wracać do kwestii, które zostały już omówione na poprzednich naradach, a rozważyć jego nową propozycję polegającą na podziale ról. Zmiana byłaby taka, że wbrew poprzedniej umowie udowodnieniem faktu, że oskarżony działał w afekcie patologicznym zająłby się mecenas Woyzbun jako obrońca oskarżonego.

Musiałem przyznać w duchu, że uzasadniał w oryginalny sposób swoją propozycję zmiany ustalonego poprzednio podziału ról porównywając zadania wyznaczone obrońcy i oskarżonemu do form narracji powieściowej w pierwszej i w trzeciej osobie. Dało mu to okazję do popisania się erudycją. Twierdził, że narracja w trzeciej osobie jest, jego zdaniem, bardziej rzeczowa, obiektywna, pozbawiona osobistego zaangażowania, wielostronna, i lepiej trafia do intelektu czytelnika vel słuchacza. Dlatego mecenas Woyzbun winien zająć się udowodnieniem i przekonaniem sędziów, nastawionych na odbiór ścisłych i rzeczowych argumentów (czyli — jak w narracji powieściowej w trzeciej osobie, gdzie występuje tradycyjny bohater on), że oskarżony działał w stanie afektu patologicznego. Natomiast Papliński jako oskarżony w ostatnim słowie przemawiałby nastrojowo i lirycznie, niby autor powieści pisanej w pierwszej osobie (ja), gdyż powieść w takiej konwencji łatwiej trafia do strony emocjonalnej czytelnika vel słuchacza niż do strony intelektualnej. A zarówno w interesie obrony, jak oskarżonego leży przede wszystkim przekonanie sądu rzeczowymi argumentami, że inkryminowany czyn podpada pod artykuł 225 § 2 kodeksu karnego, mówiący o złagodzeniu kary, gdy podsądny działał w stanie afektu.

Woyzbun zacisnął usta i powolnym ruchem przesunął dłoń po zaczesanych z czoła do tyłu głowy włosach.

Gość spojrzał z wyrzutem na mecenasa, jak gdyby lekko zdziwiony, starając się go zrozumieć albo może tylko współczując mu z powodu braku szybkiej orientacji kolegi, pytając, szanowny kolega jest innego zdania? Jakiego rodzaju wątpliwości...

Nie. To jest raczej tak, odpowiedział Woyzbun ze sztucznym uśmiechem. A zresztą nie będę się upierał. Zgoda.

To byłoby wszystko, co wymagało omówienia.

Wstał nagle i zdecydowanie. Kto by nie wiedział, że uprzedził nas o kancelarii rzekomo pełnej klientów, do których mu było pilno, mógłby pomyśleć, że w tym nagłym ruchu poderwania się z krzesła wykonanie poprzedziło zamiar. Tak samo wypadła szybka wymiana uścisków dłoni.

Podejrzewałem w zachowaniu Paplińskiego milczącą replikę za podstęp, z jakim został zmuszony do rozmowy w mojej obecności, i udawania, że nie domyśla się niczego. Mógł to być również gest: „Nie wierzycie mi? Dobrze, niech i tak będzie. Nie mogę na dzień przed sprawą zmieniać obrońcy. I nie będę brał odwetu. Zależy mi przede wszystkim na wygraniu sprawy".

Reszta pozostaje bez zmian, skonstatował zatrzymując się w drzwiach. Zaś błąd bierze się stąd, że teoretycznie została postawiona na głowie reguła etyki adwokackiej, zobowiązująca nas do współdziałania z sądem w poszukiwaniu tak zwanej prawdy materialnej.

Teraz zwrócił się do mnie jako do młodszego kolegi: Czyli zasada praktycznie nakazująca obrońcy akceptowanie dowodów winy klienta, który wziął sobie mecenasa, żeby go bronił wszelkimi sposobami przed stryczkiem! wzniósł pouczająco palec wskazujący. A więc adwokat w roli oskarżyciela. Dobre, co? Circulus vitiosus. Sprzeczność sama w sobie. Obrońcy występującemu w interesie oskarżonego nakazuje się zarazem, żeby zdradził klienta, który mu zapłacił za obronę. Szatański pomysł. Ten kto wymyślił coś takiego musiał nienawidzić adwokatów. Albo może sam był chybionym obrońcą i chciał się zemścić utrudniając nam zadanie i stawiając niemożliwe bo nierealne wymagania. Rezultatem teoretycznego nonsensu jest cichy, ustawiczny, od czasów Cycerona spór sądu z obrońcą, jak daleko mogą się posunąć ustępstwa adwokatury na rzecz współdziałania z sądem w wykrywaniu prawdy materialnej na szkodę dla interesów oskarżonego. Dlatego nasza dzisiejsza narada już była przekroczeniem „etyki" adwokackiej tak, jak ją rozumie szanowny pan kolega! Cha, cha, cha! wychodząc zagrzmiał triumfalnym śmiechem.

Nie chciałem z nim polemizować, zrzędził Woyzbun nie w humorze. Nie potrzebuję koledze tłumaczyć, że wszystko, co mówił, to bzdura. Sam kolega rozumie.

Przeszedł się po salonie.

A w dodatku zrzucił na mnie cały ciężar obrony. Niezłe zagranie! śmiał się mecenas kwaśno. Chyba z siebie samego. Zastanawiam się tylko, czy nie kryje się za tym jakieś oszukaństwo.

Milczałem zdziwiony, że Woyzbun nie polemizuje z kpiącym persyflażem, jaki Papliński wygłosił na temat współdziałania palestry z sądownictwem, i traktuje na pół żartobliwie jego paradoksalne argumenty mówiąc: Rozbrajająca szelma. Ale barwna postać!

W powiedzeniu „barwna postać" usłyszałem nutkę pobłażania na które nie mogłem się zgodzić. Oceniałem pryncypialnie i surowo wszelkie odchylenia od obowiązujących norm etycznych i wymagałem od ludzi poszanowania tych norm.

Zapytał, co sądzę o dzisiejszej rozmowie.

Co sądzę? Rozmyślałem właśnie, że często zbyt beztrosko, tanim kosztem uchylamy się od moralnej oceny czyjegoś postępowania. Powoduje nami przeważnie niechęć narażenia się komuś, na kim nam zależy, albo obawa, żeby (w myśl powszechnie przyjętej maksymy, że lepiej mieć dziesięciu przyjaciół niż jednego wroga) nie przysporzyć sobie antagonisty w kimś, kto był nam dotąd obojętny, albo wreszcie o lenistwo myślowe nieskore do uważniejszego przyjrzenia się zjawisku, które powinno zatrzymać na sobie dłużej naszą uwagę. Zamiast tego uwalniamy się od odpowiedzialności kwitując sprawę zdawkowym powiedzeniem w rodzaju: Rozbrajająca szelma. Ale barwna postać.

Kolega się zamyślił, przypomniał mi jowialnie mecenas.

Tak. Przepraszam. Pan mecenas powiedział: „Barwna postać". Możliwe. Niemniej — żulik, sformułowałem dosyć ostro mój pogląd.

Woyzbun znieruchomiał w swoim spacerze dookoła salonu, stanął jak wryty i przyjrzał mi się z uwagą, jakby mnie po raz pierwszy zobaczył.

Ho, ho, ho! zdziwił się. Ale z kolegi Katon!

Ukłuł mnie ten docinek. Zaprotestowałem chłodno mówiąc, uważam tylko, że każdy powinien wypełnić swój obowiązek.

Zaczęła mnie drażnić panująca w tej kancelarii jakaś niezdrowa atmosfera moralna. Odczuwałem ją jak chorobę zakaźną. Wisiała w powietrzu. Zdawało mi się, że ją widzę w mętnym odbiciu zmatowiałych luster, w mglistym, nieprzejrzystym świetle elektrycznym, zawierającym kurz i zawiesiny brudu, jak poruszony osad mułu z zmąconej wodzie.

(cdn.)

U PRZYJACIÓŁ

Prasa polska i radziecka szeroko relacjonowały przebieg zakończonych niedawno w Kijowie Dni Literatury Polskiej. Na marginesie tej wielkiej imprezy przytoczymy wypowiedź Wasilija Kozaczenki I sekretarza Zarządu Związku Pisarzy Ukrainy drukowana w „Litieraturnej Gazietie".

„Całym sercem powitaliśmy naszych polskich przyjaciół, dobrych sąsiadów i towarzyszy po piórze. Tradycyjne związki naszych literatur sięgają korzeniami w daleką przyszłość. Opromieniają je wielkie nazwiska Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Tarasa Szewczenki i Łesi Ukrainki.

Te związki i przyjaźń nabrały w naszych czasach tak szerokiego rozmachu, odznaczają się taką różnorodnością form, o jakich nasi odlegli poprzednicy nie mogli nawet marzyć.

Z roku na rok umacniają się i rozwijają twórcze braterskie więzi między narodami ZSRR i socjalistycznej Polski. Obejmując wszystkie dziedziny życia — politykę, gospodarkę, kulturę i sztukę i stanowiąc przykład prawdziwie owocnej przyjaźni i współpracy. Nigdy dotąd w wielowiekowej historii ludzkości nie znano tego rodzaju stosunków międzypaństwowych, jakie istnieją dziś między Związkiem Radzieckim, a innymi państwami socjalistycznymi, a wśród nich z Polską.

Zarówno literatura radziecka jak i literatura polska są ściśle związane z życiem swych narodów, łączy je wiele cech wspólnych: służba najwyższym ideałom humanizmu, założenia ideowo-etyczne, poczucie obywatelskiej odpowiedzialności, bez których to czynników prawdziwy artysta nie może żyć, ani tworzyć.

Wśród konkretnych form naszej współpracy kulturalnej poczesne miejsce zajmują przekłady literatur polskiej i ukraińskiej. Możemy z dumą stwierdzić, że w tym ważnym procesie kulturalnego zbliżenia uczestniczyli i uczestniczą nasi najlepsi twórcy, poczynając od takich mistrzów poetyckiego przekładu, jak Maksym Rylski, Pawło Tyczyna, Mikoła Bażan, a kończąc na pisarzach młodszych pokoleń.

Istotny wkład w dzieło przyswojenia czytelnikom radzieckiej Ukrainy utworów prozaików i poetów polskich wnosi czasopismo „Wsieswit". W ostatnich latach na jego łamach ukazało się 18 powieści, dwie sztuki, około 30 opowiadań i setki wierszy, głównie polskich pisarzy współczesnych.

Dni Literatury Polskiej na Ukrainie stały się wielkim międzynarodowym festiwalem kulturalnym, prawdziwie wiosennym świętem braterstwa i przyjaźni krajów socjalistycznych. Zapoznaliśmy naszych polskich towarzyszy z życiem naszej republiki. Wymieniliśmy poglądy o sprawach związanych z tak ważnym dla pokoju i postępu wydarzeniem, jakim niewątpliwie będzie światowe Forum Pisarzy w Sofii".

* * *

W Paryżu zakończył właśnie gościnne występy zespół baletowy moskiewskiego Teatru Wielkiego.

Zespół dał w sumie 53 koncerty. Wszystkie spektakle oglądane były przez publiczność francuską bardzo uważnie o czym świadczą głosy prasy.

Gazeta „Le CROIX" pisze — „Teatr Wielki" pokazał, poprzez swoją twórczość i repertuar, jak powinna wyglądać prawdziwa sztuka taneczna, mogąca zadowolić najwybredniejszego odbiorcę".

„L' Humanite" stwierdza, że „artyści Teatru Wielkiego zasługują na najwyższe uznanie, ale szczególnie wyróżnili się Jekatierina Maksimowa i Władimir Wasiliew".

* * *

W związku ze 150 rocznicą śmierci wielkiego kompozytora Ludwika van Beethovena w Centralnym Państwowym Muzeum Kultury im. Michała Glinki otwarto wystawę autografów artysty, znajdujących się w zbiorach radzieckich muzeów.

W jednym z działów ekspozycji znajduje się portret L. van Beethovena pędzla L. Pasternaka, wystawiono także maskę pośmiertną kompozytora, wykonaną w dniu jego śmierci 26.III. 1827 r.

FRANCUSKI WYWIAD NA AFRYKAŃSKIM KONTYNENCIE

W wywiadzie udzielonym niedawno francuskiemu pismu „Afrique et Asie" prezydent Ludowej Republiki Angoli, Agostinho Neto, scharakteryzował lapidarnie lecz treściwie zakulisowe manewry Francji w krajach Afryki. Prezydent powiedział m. in.: „Francja, a ściślej mówiąc — jej stolica, stała się głównym ośrodkiem dywersji skierowanej przeciwko różnym krajom afrykańskim. Właśnie stamtąd, z tego ośrodka prowadzą nici intryg i spisków, które siły reakcyjne organizują przeciwko Angoli, Kongu Brazzaville, Gwinei i byłym koloniom portugalskim. Jednym słowem, Francja stała się azylem dla wszystkich reakcyjnych ugrupowań, które kierują stamtąd dywersją propagandową i zbrojną, wymierzoną w postępowe kraje Afryki".

Ośrodek, o którym mówił prezydent Neto, jest znany pod nazwą „Nowa organizacja wolnej Afryki" (ONAL). Celem jego działalności jest zjednoczenie i skonsolidowanie wszystkich reakcyjnych i opozycyjnych ruchów w Afryce. Rozwija on działalność w trzech kierunkach: podtrzymuje reakcyjne koła w Algierii, prawicową opozycję w Gwinei Bissau i koalicję rozłamowców FNLA — UNITA — FLEC w Angoli. Ostatnio do ośrodka w Paryżu dołączyli liderzy innych jeszcze ruchów prawicowo-reakcyjno-opozycyjnych, działających w Gwinei, Nigerii, Etiopii i Mozambiku.

Z ośrodkiem blisko współpracuje francuski wywiad: Służba Dokumentacji i Kontrwywiadu (SDIK) oraz jej Wydział Specjalny do Spraw Afrykańskich i Malgaskich (powołany do życia w 1959 roku), taki francuski wariant amerykańskiej CIA. Już od lat służby te prowadzą tajną wojnę z niepodległymi krajami Afryki, przeszkadzając im w prowadzeniu niezależnej polityki wewnętrznej i zagranicznej, korzystnych dla ich narodowych interesów. Agenci wywiadu przenikają do afrykańskich urzędów państwowych, aktywizują ruchy rozłamowe i wspierają je w działalności dywersyjnej, zwalczają i terroryzują działaczy ruchów postępowych w Afryce, uciekając się niejednokrotnie do fizycznego unicestwiania ich przywódców.

Mimo licznych sensacyjnych skandali działalność zachodnich służb wywiadowczych w Afryce jest nadal otoczona głęboką tajemnicą. Byłe mocarstwa kolonialne: Francja i Anglia zawsze zabiegały o zabezpieczenie w Afryce swoich dawnych interesów politycznych, ekonomicznych i strategicznych. Francja, która, w odróżnieniu od Anglii, zachowała bardziej bezpośrednią kontrolę nad krajami afrykańskimi wchodzącymi niegdyś w skład jej kolonialnego imperium, wykorzystuje swoje tajne służby przede wszystkim do walki z postępowymi afrykańskimi organizacjami politycznymi. I gdzie się tylko ujawniają jakiekolwiek ruchy rozłamowe, wiadomo od razu, iż chodzi o eksploatację terytoriów bogatych w minerały i ropę naftową, i że z reguły w te afery polityczne są zamieszani agenci francuskich służb specjalnych.

Agenci Wydziału Specjalnego do Spraw Afrykańskich i Malgaskich brali udział w zwalczaniu ruchu narodowowyzwoleńczego w Algierii, w działaniach dywersyjnych w Gwinei, w dramatycznych wydarzeniach w Kongu Kinszasa (obecnie Zair), werbowali w Paryżu najemników dla rozłamowego reżimu Czombego w Katandze, próbując w ten sposób umocnić francuskie wpływy w tej zdekolonizowanej prowincji. Dopiero w kilka lat później, wskutek przemian politycznych, państwa kapitalistyczne przestały popierać Czombego. Niemniej Francuzom udało się w tym czasie wprowadzić swego zaufanego agenta do otoczenia ówczesnego premiera rządu kongijskiego, Cyryla Aduli (jego rząd został sformowany w lipcu 1960 roku). Ponadto na czele tajnej służby Aduli stał człowiek z SDIK.

Chociaż Francuzi odegrali swoją złowieszczą rolę w znanych dramatycznych wydarzeniach w Kongu Kinszasie w latach 1960—65, to jednak główną siłą wywiadowczo-wywrotową działająca w tym kraju była bez wątpienia CIA. Ona też traktowała mieszanie się francuskich agentów wywiadu do spraw Konga jako niezręczną próbę pomniejszania wpływów CIA w tej strefie świata. Mimo to francuska służba specjalna zabierała się już do „sprzątnięcia" generała Mobutu przy pomocy jednego z jego goryli.

Służba Specjalna do Spraw Afrykańskich i Malgaskich, mimo niezadowolenia CIA, nie zaprzestała, oczywiście, realizowania wytyczonych celów. W 1965 roku francuscy agenci kontrwywiadu, współpracując zaocznie z marokańską służbą wywiadu, aresztowali przywódcę marokańskiej opozycji, Mechdiego Ben Barkę, przebywającego na emigracji we Francji. W konsekwencji został on zamordowany w tajemniczych okolicznościach. Sprawa ta wywołała w swoim czasie głośny skandal.

W czerwcu 1967 roku agenci SDIK brali udział w porwaniu Czombego. Francuskiemu agentowi udało się zdobyć zaufanie Czombego, przebywającego w tym czasie na wygnaniu w Hiszpanii. Powracając z nim samolotem z Ibizy, agent ów zmusił pilota do wylądowania w Algierii, gdzie Czombe został aresztowany.

Później była sprawa oderwania od Nigerii jej wschodniej prowincji i stworzenia z niej tzw. Republiki Biafry. Francuzi mieli tu na widoku niezwykle bogate złoża ropy naftowej. Zresztą o koncesję na naftę w Biafrze ubiegało się także kilka innych krajów zachodnich. Francuska kompania naftowa ELF-ERAP wydobywała już naftę w Kongu Brazzaville, obecnie Ludowa Republika Konga, w Gabonie i Republice Wybrzeża Kości Słoniowej.

Najemnicy zwerbowani przez SDIK oraz tajna sieć agentów Wydziału Specjalnego spełniali w Biafrze tylko jedną, ale zasadniczą funkcję: zabezpieczali francuską kontrolę nad bogatymi złożami nafty w prowincji Biafra.

Jednym z głównych terenów działalności francuskich służb wywiadu był Gabon. W końcu lat 60-tych wykorzystywano ten kraj jako bazę, z której przerzucono most powietrzny do Biafry. Gabon ma dla Francuzów znaczenie strategiczne, stąd bowiem wywiad francuski udziela pomocy tzw. „wyzwoleńczemu ruchowi" FLEC, działającemu w enklawie Kabinda.

Kabindę, będącą integralną częścią Republiki Angoli, oddziela od macierzystego kraju terytorium Zairu. Ten niewielki skrawek Ludowej Republiki Angoli — 7,6 tys. km kwadratowych, zamieszkuje około 80 tysięcy Afrykańczyków plemienia Bakongo — nazywany afrykańskim Kuwejtem, kryje w ziemi i na szelfie bajecznie bogate złoża ropy naftowej. Francuska kompania naftowa ELF-Congo posiada w Gabonie koncesje na przybrzeżnych działkach, graniczących z terytorialnymi wodami Kabindy.

Francja jest oczywiście bardzo zainteresowana możliwością umocnienia się na tym strategicznie ważnym terytorium roponośnym. Dlatego też w Gabonie, podobnie jak w Biafrze, francuskie służby specjalne bardzo aktywnie wspomagają rozłamową organizację FLEC, pasowaną na gwaranta nietykalności inwestycji krajów kapitalistycznych.

Na tle tych wydarzeń, zresztą z konieczności zaledwie naszkicowanych, nietrudno dostrzec, iż cały niesłychany rwetes wokół „komunistycznej penetracji" w Afryce, „sowieckich baz wojskowych" w krajach Afryki, itp., itd., jest łatwo czytelnym pretekstem do odwrócenia uwagi od próby kapitalistycznych krajów Zachodu, a przede wszystkim Francji (interwencja w Zairze), umocnienia się na terytoriach Afryki zasobnych w bogactwa naturalne, a głównie w ropę naftową. Bogactwa te były zawsze przedmiotem pożądania międzynarodowych monopoli.

JERZY CZECH

HEMINGWAY NA EKRANIE

Kino amerykańskie jest po prostu zaśmiecone mnóstwem nieudanych ekranizacji twórczości literackiej Ernesta Hemingwaya. Teraz, po 20-letniej przerwie, Hollywood powraca do Hemingwaya. Na ekrany kin w USA wchodzi wersja filmowa pośmiertnie wydanej powieści „Wyspy na oceanie", mówi się o planach ekranizacji powieści: „Za rzekę w cień drzew" i „Pożegnanie z bronią". Film „Wyspy na oceanie", w którym główną rolę gra znany aktor George Scott, odtwarzający postać samego pisarza, jest pierwszą ekranizacją zaaprobowaną przez jednego z członków rodziny Hemingwaya.

Wdowa po pisarzu, Mary Hemingway, która przygotowała do druku rękopis „Wysp na oceanie", wysoko oceniła artystyczne walory filmu i grę Scotta. „Jest to doskonała taśma — powiedziała po wstępnym obejrzeniu filmu. — Ogląda go się z przyjemnością". Jak poinformowała Mary Hemingway — „Jedyną ekranizacją która spotkała się z pochwałą pisarza był film „Zabójcy", nakręcony w 1946 roku według jednego z jego licznych opowiadań. Inne filmy nie podobały mu się, albo z powodu niedokładności w szczegółach, albo nadmiernej hollywoodzkiej pompy. Był człowiekiem namiętnie i głęboko rozmiłowanym w ścisłości przekazywania szczegółów, w opisywaniu rzeczy takimi, jakimi są w życiu".

Aktor i reżyser zarazem, John Huston, który był przyjacielem Hemingwaya, powiedział niedawno o swoim zamiarze przeniesienia, po raz pierwszy, na ekran najbardziej skomplikowanej i impresyjnej powieści pisarza: „Za rzekę w cień drzew". Huston poinformował, iż zdjęcia do filmu odbędą się wiosną przyszłego roku niedaleko Wenecji, w scenerii błot i grzęzawisk. Główną rolę w filmie będzie grał Richard Burton. Huston i Hemingway polowali w tamtych okolicach na kaczki, a scena samego polowania jest kulminacyjnym punktem powieści.

„Będzie to film — wspomnienie, opowiada Huston. Dla Hemingwaya książka ta była eksperymentem, próbował zrobić coś — jak mi mówił — czego jednak nie udało mu się zrobić. Ale mimo to uważał, że powieści nie doceniono, że książka wypadła o wiele lepiej niż pisali o niej wówczas krytycy".

Peter Barth, producent ekranizacji „Wysp na oceanie", zamierzał nakręcić w ubiegłym roku nową wersję filmową „Pożegnania z bronią", jednak na pewien czas odłożył ten projekt. Wprawdzie zaprzecza iż uczynił to dlatego, żeby jego kompania mogła wpierw ocenić reakcję publiczności na przygotowany już do wyświetlenia na ekranach kin amerykańskich film „Wyspy na oceanie". „Niemniej — przyznaje Barth — bardzo mnie interesuje, jak — po tej fali przemocy i gwałtów zalewającej ekrany amerykańskich kin — zareaguje publiczność na pełen zadumy film o człowieku, który pragnął zrozumieć własnych synów".

(J.C.)

Sens warszawskiego Zgromadzenia Budowniczych Pokoju
Szczyt siedmiu w Londynie

Warszawa stała się miejscem najbardziej reprezentatywnego spotkania budowniczych pokoju. W Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki zebrali się przedstawiciele narodowych komitetów Światowej Rady Pokoju z ponad 100 krajów oraz przedstawiciele 50 organizacji rządowych i międzynarodowych, aby poszukać odpowiedzi na pytanie: **co obecnie należy czynić, aby umocnić pokój i pogłębić wzajemne zaufanie między narodami.**

Nie jest to już zadanie utopijne. Jak powiedział w swoim przemówieniu powitalnym na Światowym Zgromadzeniu Budowniczych Pokoju Edward Gierek: **„Budowa trwałego i powszechnego pokoju jest dziś zadaniem możliwym i realnym".**

Lata ostatnie przyniosły w świecie, a na naszym kontynencie w szczególności, odprężenie. To słowo ma głęboką treść i interpretowane właściwie powinno znaczyć ogarnięcie stosunkami pokoju i współpracy wielu dziedzin. Dziś kluczowe znaczenie dla pokoju ma przede wszystkim zahamowanie wyścigu zbrojeń. Spodziewamy się pomyślnego wyniku radziecko-amerykańskich rokowań na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych. Sądzimy, że uda się przełamać trudności w rokowaniach wiedeńskich, dotyczących redukcji zbrojeń i sił zbrojnych w Europie środkowej. Pokładamy określone nadzieje w specjalnej sesji Zgromadzenia Ogólnego NZ, która powinna utorować także drogę Światowej Konferencji Rozbrojeniowej.

Światowy ruch pokoju odegrał już wielce pożyteczną rolę. Stanowi on siłę, która decydująco wpłynęła na zwrot tendencji na naszym globie w kierunku pokoju. Przez krzewienie poczucia współodpowiedzialności i wzmacnianie przeświadczenia o skuteczności zbiorowych działań przyczynił się do oddalenia niebezpieczeństwa światowej wojny. Ale w walce o pokój ważne jest wyeliminowanie wszystkich powodów i ognisk napięcia, likwidacja praktyk rasizmu i apartheidu, zaniechanie dyskryminacji w handlu i rozwijanie na równoprawnych zasadach współpracy państw.

Dzisiaj, napisał w swym posłaniu do uczestników Zgromadzenia Leonid Breżniew **„...sprawą ważną jest utrwalenie tego, co już osiągnięto i niezłomne posuwanie się naprzód, stwarzanie takich warunków materialnych, politycznych i moralnych, w których odwrócenie biegu wydarzeń stałoby się niemożliwe".**

A przeciwnicy odprężenia wciąż liczą właśnie na to, że uda się im powstrzymać proces i, jak w minionych latach, antagonizować państwa. Siły militaryzmu, kolonializmu i rasizmu nie złożyły przecież broni i w niepohamowanym dotąd wyścigu zbrojeń szukają zachęty do aktywnego działania.

Datą obrad Światowego Zgromadzenia w Warszawie **zbiega się z 32 rocznicą zwycięstwa nad faszyzmem w hitlerowskim wydaniu i zakończenia II wojny światowej.** Na zamknięcie w sposób ostateczny jej karty musieliśmy czekać aż 30 lat. Dopiero przecież Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie przyniósł jednoznaczną deklarację nienaruszalności istniejących na naszym kontynencie granic, suwerenności i integralności terytorialnej wszystkich państw. Ten fakt — uwieńczonej sukcesem helsińskiej konferencji — nie położył jednak kresu działalności określonych kół, które teraz chciałyby utrudnić belgradzkie spotkanie sygnatariuszy tego Aktu. Czyż nie najlepszy to dowód, że ciągle jeszcze musimy walczyć o kontynuację odprężenia?

Warszawskie zgromadzenie Światowej Rady Pokoju na pewno pozwoli lepiej sprecyzować sposoby tej walki, której powodzeniem zainteresowane są wszystkie narody.

* * *

Do dzisiejszego przeglądu włączamy jeszcze tylko jeden temat — londyńskiego spotkania szefów rządów siedmiu państw zachodnich. Rozpoczęło się ono w dniu oddawania do druku tego komentarza — trudno więc z całą pewnością stwierdzić, czy, jak planowano, będzie poświęcone wyłącznie problematyce gospodarczej. Nieoficjalny porządek dzienny przed rozpoczęciem obrad przewidywał **omówienie następstw kryzysu gospodarczego, problemów walutowych i handlowych oraz stosunków z krajami rozwijającymi się.** Na spotkanie przyleciał Jimmy Carter.

Komentatorzy podkreślają, że pierwszy pobyt nowego prezydenta USA w Europie nie wywołał wysokiego zainteresowania w Stanach Zjednoczonych. Odwrotnie jest w państwach zachodnioeuropejskich, które ciekawi co wzbudzający tyle kontrowersji prezydent ma do powiedzenia. Tym bardziej, że w państwach tych nie podziela się jego optymizmu co do rezultatów londyńskiego spotkania.

W. SŁAWSKI

TELEWIZJA

WOJNA

W ostatnich tygodniach mieliśmy okazję oglądać na szklanym ekranie kolejne wybitne pozycje radzieckiego kina. A zatem paroodcinkowy film — balladę **„Pociąg sanitarny"** — piękną, głęboko ludzką opowieść o wojnie daleko od frontu, wojnie w pociągu sanitarnym. Wojna jest straszna i okrutna na polu bitewnym, ale stokroć bardziej wymowna była właśnie tam w owym szpitalu na kołach, przemierzającym równiny dalekiego zaplecza.

Polski tytuł filmu nie przystawał — co prawda — do balladowej i bardzo ciepłej, lirycznej tonacji opowieści. Był zbyt suchy, zbyt informacyjny. W rosyjskiej wersji brzmiało to lepiej: **„Na całą resztę życia"**, czy **„Na całe przyszłe życie"** połączyła bohaterów filmu owa podróż obfitująca w tragizm i liryzm, w uśmiechy i łzy.

Piękny film, wywodzący się ze znakomitej tradycji radzieckiego kina, mówiącego o wojnie — mimo upływu lat, a może właśnie dlatego — coraz piękniej i coraz szerzej.

Również w tej tradycji tkwi piękny film **Rezo Czheidze „Ojciec żołnierza"** ze wstrząsającą kreacją **Sergo Zakariadze** w roli tytułowej. Głównym bohaterem opowieści jest stary chłop gruziński, który wyrusza na wędrówkę w poszukiwaniu rannego na froncie syna. Założenia dramaturgiczne przypominają pod wieloma względami **„Balladę o żołnierzu" Georgija Czuchraja**, chociaż oba filmy różnią się wyraźnie stylem i ujęciem tematu.

Nie będzie chyba przesady w stwierdzeniu, że każdy nowy radziecki film wojenny przynosi prawdy i obrazy coraz pełniejsze, mówi o latach wojny coraz więcej i coraz głębiej. Takim filmem jest choćby **„Ojciec żołnierza"**. Wymowna jest scena, gdy ojciec, nie wierząc, że syn został już ze szpitala wypisany, chce sprawdzić w książce chorych... „Sprawdziłeś?" — pyta sanitariusz. „Nie — odpowiada Gruzin — nie umiem czytać po rosyjsku, ale syn mi pisał, że jest w tym szpitalu..." I daje sanitariuszowi list. „Nie umiem przecież czytać po gruzińsku" — mówi sanitariusz.

Wojna gwałtownie pomieszała żyjące dotąd na swoich ziemiach narody Kraju Rad. Gruzin walczył ramię w ramię z Łotyszem, Uzbek dowodził Tatarem. Wszyscy mówili jednym językiem, ale różnił ich akcent i wymowa. Szkoda więc, że owa nieporadna, lecz jakże wzruszająca rusczyzna starego Gruzina zagłuszona została w tym filmie drewnianym głosem lektora. A przecież ów język pełnił w filmie także funkcję artystyczną, był nierozerwalnie związany z postacią głównego bohatera.

Jest to kolejny przyczynek do dyskusji nad problemem czy lektorski podkład dźwiękowy nie okalecza filmu z jego walorów artystycznych. Oczywiście okalecza — czasem bardziej, czasem mniej. W wypadku „Ojca żołnierza" odebrał **Sergo Zakariadzemu** jakąś istotną część kreowanej przez niego postaci.

Cechą radzieckich filmów o wojnie jest także — nieodmiennie od lat — ogromny ładunek humanizmu. Jedną z większych scen filmu jest — nieomal symboliczna — sekwencja, kiedy stary Gruzin uderza towarzysza broni, który czołgiem wjechał do winnicy. „To jest front, nie park kultury" — broni się czołgista, ale stary Gruzin ma przecież wielką, l u d z k ą rację. To nic, że wojna, to nic, że oni palili nasze wsie, ale ta winnica to l u d z k a praca i niepotrzebnie niszczyć jej nie wolno.

Film jest skonstruowany niemal według reguł antycznej tragedii. Ojciec spotyka syna w przededniu zwycięstwa, w rozwalonym domu dzielą ich dwa piętra bronione przez wroga: syn jest na ostatnim, oddział ojca atakuje z parteru. Nie widzą się, wołają tylko do siebie w ojczystym języku. Kiedy kamienica zostaje zdobyta, ojciec zastaje syna ranionego śmiertelnie.

Utwór **Rezo Czheidze**, znany już z ekranów kin, mogło dzięki telewizji obejrzeć dodatkowo kilkanaście milionów widzów. Jest to film prawdziwie wybitny i bardzo dobrze, że przypomniano go w cyklu: **„Prawda czasu — prawda ekranu"**.

KAROL RYSIAK

POWIEŚĆ W ODCINKACH (4)

Wiesław Jażdżyński

przygody źle urodzonego studenta

Tymczasem nad Karolem wisiały już ciężkie chmury.

— Mam też dobrych znajomków na Bałutach, wezmą cię na przechowanie. Nie damy sobie w kaszę dmuchać, studencie.

— Nic z tego, panie Budzisz, będę musiał poszukać sobie innego uniwerku.

— Pleciesz, studencie, wszystko się wyjaśni. Fabryka duża, narodu kupa, jest lewica, jest i prawica, a najwięcej tych po środku, nie za bardzo zorientowanych, chcą pracować i spokojnie żyć. Rozumiesz? Niektórzy przypuszczają, że ten sztandar ma służyć prawicy, niech sobie wisi na terenie zakładu, weźmie go się w razie czego. Nie masz z tym nic wspólnego, wyjaśni się, studencie.

— Nie da rady, panie Budzisz.

Poprzedniego dnia Karol uświadomił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo. W przerwie między wykładami podeszło do niego dwóch bojowych studentów. Występowali zawsze manifestacyjnie, czarne ubrania, białe koszule, czerwone krawaty. Rozmowę zaczął ten wysoki, szczupły i ryży, nazywany przez ogół Lapassjonarią w spodniach.

— Wiemy o tobie już wszystko.

— Ciekawe — zażartował Karol — bo ja, na przykład, nie wiem sam o sobie wszystkiego.

— Chętnie ci uzupełnimy braki, ale nie za darmo.

— Wiedza miała być za darmo, czytałem w poważnej gazecie.

— Jak dla kogo. Nieuważnie czytałeś, ty musisz płacić.

— A za co?

— Zagrajmy najlepiej w otwarte karty — zaproponował ten drugi, niski i tęgi, łysiejący lekko, nazywany Królem Fideistów.

Karol dowiedział się o sobie następujących rzeczy: urodził się źle, nieprawidłowe położenie społeczne, na dobrą sprawę już w łonie matki nabył niedobrych cech swojego ojca — interwenta, które rozwinęły się w wyniku określonego klasowo wychowania. W ujęciu Króla Fideistów Karol nie był twórcą zła, choć je czynił, powodowały nim te geny rodzinne, środowisko, jaśniepańskie i burżuazyjne mity, stąd właśnie służba akurat w aka a nie gdzie indziej, czy podrzucenie ostatnio sztandaru prawicy do wielkich zakładów.

— O twoim braciszku także wszystko wiemy — dodał Lapassjonaria — brzydko to wygląda, ale my ci możemy pomóc.

Król Fideistów mówił właściwie bardzo konkretnie — jest szansa i dla Karola, nawet dla niego, przestanie być przedmiotem, nic nie znaczącym listkiem, którym manipuluje wiatr, może zostać ważnym składnikiem rewolucyjnego wiatru, jak Lapassjonaria albo nie szukając daleko on. Żadna klasa panująca nie zeszła jeszcze ze sceny zdejmując uprzejmie kapelusz przed nadchodzącą, zapraszając serdecznie do przejęcia władzy. Czy nie jest tak, kolego Żesławski? Prawidłowość historyczna, znasz ją na pamięć ale chyba z książki, zobaczysz w życiu — zrozumiesz wszystko. Reakcja nie jest układem towarzyskim, ale polityczną siłą, nie chce zejść dobrowolnie ze sceny. A cóż to takiego powiedział przed godziną hrabia profesor Nowosądecki tym swoim zachowaniem, gardłowym „r"? Pamiętasz, prawda? Phrroszę państwa, a tehrraz dochodzimy w naszej wędrówce po dziejach myśli społecznej do mahrrrsizmu, ja bahrrdzo państwa przephrraszam, ale dophrawdy nie wiem, ci w tej dothrrrynie jest zwykłą phrropagandą, czyli bujdą, a co fantazją nie mającą nic wspólnego z nauką. Mówił to? Mówił, sam to przyznajesz i na tym właśnie polega walka klasowa na gruncie ideologicznym. A kto mu w tym miejscu bił brawo? Nie zauważyłeś, nie szkodzi, my zauważyliśmy.

Budzisz cisnął niedopałek do kubła. Za oknem, w ciepłym słońcu, bawiły się dzieci. Karol słyszał czysty głosik Ani.

Rosną sobie grzybki w trawie,
grzybki w trawie,
I na świat patrzą ciekawie, i
na świat patrzą ciekawie,
Co to będzie, co to będzie, tyle
grzybków rośnie wszędzie...

Gdzieś koło fabryki nici załoskotał pociąg, ptaki śpiewały wyraźniej, zderzały się i mieszały echem. I w tym momencie Karol zapragnął nagle przejść na drugą stronę torów kolejowych, ale tak jak się przechodzi granicę państwa, obojętnego jeśli nie wrogiego, chciał się zaszyć w parku i tam spłukać gorzki smak dnia.

— Nie spodziewałem się studencie, że to się tak pokręci, ale i ty mnie słuchałeś, mówiłem — oddaj Batorowi, Głuszcz nie lubi tego sztandaru, trochę potrwa zanim się przyzwyczai.

— Zdam egzaminy i wyjadę, wpakowałem się w kabałę.

— Jeżeli Stefek szybko wróci, to ty nigdzie nie wyjedziesz, studencie. Pomyślałeś o małej? Ania nie rozwinie się bez ciebie jak należy. Zmienisz na razie dom, ale nie miasto. To jest dobre miasto, lepsze niż ci się zdaje, bo tu jest najwięcej ludzi pracy. Jeden rozumie drugiego, bo rozumie życie. Chociaż może nie od razu.

— A dlaczego Głuszcz nie rozumie?

— Bo mu kto inny najważniejsze myśli podpowiada, niejaki Władzio, diabeł — stróż całej fabryki.

— Może w takim razie Bator rozsupła sprawę sztandaru?

— Na razie ma jeszcze za krótkie ręce. Mówię ci, studencie, jak Stefek wróci z Bieszczad zdrowy, cały i prędko, to nam pomoże. Jeżeli wróci... Upa grochem nie strzela. A właściwie dlaczego ty chcesz nawiać, studencie? Zbroiłeś coś?

Król Fideistów postawił sprawę jasno — jest bojowe zadanie. Wykonasz — zrehabilitujesz się. Trzeba wchodzić we wskazane kręgi studenckie, robić dobre wrażenie, opowiadać dowcipy „anty", jeśli braknie własnych można otrzymywać przydział najlepszych i uważnie obserwować, kto z kim, w jakim miejscu, zapisywać opinie, oceny, najlepiej dosłownie, notować dzień, godzinę, miejsce, nazwiska obecnych, ich reakcje, masz tę gładkość Karolu Żesławski, dobrze widziane złe pochodzenie, nadajesz się. Egzaminy zdawaj, bracie, na piątki, tak na wszelki wypadek.

— Nic nie zbroiłem, panie Budzisz, tylko źle mi się składa.

— Nie takie biedy nas gniotły.

— Pan działał w pepeesie?

— Po lewicy, ale i tak nie zawsze mogliśmy się dogadać z Głuszczem i jego komórką. Rację to oni często mieli, ale byli strasznie narwani.

— Ale o co? Jednej matki dzieci jesteście w tej fabryce.

— O co? O co się tylko da. Ale ty, studencie, nie masz się czego bać.

— Może nie mam, a może mam, to zależy od którego końca dialektyki spoglądać.

— Mów jak na spowiedzi.

Karol zreferował szczegółowo rozmowę z Lapassjonarią i Królem Fideistów. Budzisz słuchał uważnie, ale nie wyglądał na specjalnie przejętego.

— Przecież nie powiesz mi studencie, że reakcji nie ma, bo jest.

— Jest, zgoda panie Budzisz.

— No to ją po łbie.

— Owszem — zgodził się Karol — ale nie takimi metodami.

— Chyba masz rację, studencie, rewolucja polega na przekonywaniu a nie podsłuchiwaniu, ty też nie powinieneś podsłuchiwać, nawet za darmo. Uszy są może teraz najważniejsze, ale to przejdzie i zostanie głowa.

— Racja, ale co w takim razie zrobić?

— Ja ci swoje powiedziałem, staraj się o głowę a nie uszy i trzymaj się Budziszów.

Karol wstał. Dobre sobie, przecież to żadna konkretna rada. Niemal każde zdanie kodeksu wychowania jaki znał, zaczynało się od — nie. Nie zabijaj, nie pożądaj, nie cudzołóż (nie znał znaczenia tego słowa, ale powtarzał za księdzem), nie podnoś ręki na starszego, bo ci uschnie jak komuś tam biblijnemu, nie szargaj świętościami, nie wyrażaj się źle o dostojnikach i ich portretach nie czyń drugiemu co tobie niemiłe, nie kop dołków, nie rób dnia z nocy, nie zaglądaj przez dziurkę od klucza, nie śmieć, nie wychylaj się — bardzo bogaty repertuar z jedną wszakże wadą, nie odpowiadał na zasadnicze pytanie, co wolno, co trzeba w takim razie czynić.

— Przejdę się trochę, panie Budzisz, bolą mnie uszy, czuję, że słyszę coraz gorzej.

— Ładnieś to powiedział, studencie. Żebyś tylko nie zapomniał o małej i Budziszach, a wszystko będzie dobrze.

Każdy ma dość siły, żeby znieść cudze nieszczęście — pomyślał Karol wychodząc. Na podwórku wciąż jeszcze trwała zabawa. Ania biegała po trawie z związanymi oczami odważnie i pewnie, pokrzykiwała — nie uciekniesz mi, nie uciekniesz, znajdę cię wszędzie, w mysiej dziurce też ciebie znajdę. Biegła w stronę Karola. Umknął na ulicę i pomaszerował w stronę przejazdu kolejowego. Po kocich łbach telepał się pusty beczkowóz, woziwoda podśpiewywał wesoło.

Poszła Mania po wodę
do ciemnego zdroju,
Antek za nią rach-ciach-ciach,
nie dał jej spokoju.

Usiadł na brzegu pół dzikiego parku i obserwował z wysokiej skarpy przejeżdżające pociągi. Zużyte lokomotywy ciągnęły ciężko węgiel dla ludzi i fabryk, złuszczone wagony osobowe skrzypiały rozpaczliwie, niosły jednak ludzi w stronę stolicy, gasły za każdym razem głuche stuki, zgrzyty, cichły popiskiwania, nasilały się następne, bardziej natarczywe u schyłku dnia. Tylko usiąść pod rozdartą sosną i płakać, cóż innego mogę zrobić? — smęcił się Karol — płakać, tylko płakać nad własnym losem, nic się nie klei, nic się nie składa, ledwie się zacznie i już przerywa. Otoczyły go czarne chmury jak dym z lokomotywy. A taki byłem grzeczny — uśmiechnął się gorzko do siebie — zabiegi o wolną drogę do nieba rozpoczął wcześnie, chyba już od pierwszej komunii, jak zawsze posłuszny woli wychowawców. Nie skradł koledze wiecznego pióra, na stalówki nikt się nie łakomił, nie skradł dobrego śniadania sąsiadowi choć miał ochotę, nie podpowiadał choć przyjaciel cierpiał męki, długo cierpiał przy tablicy nim wreszcie otrzymał dwójkę, nie zaglądał do ściągawek, nie połykał przed klasówką waty, aby dostać naglej gorączki, przyrzekł księdzu prefektowi i dotrzymał słowa — nie podglądał dziewcząt w kąpieli, poskramiał jak mógł pragnienie dotknięcia białej piersi Iwony, nie zostawił ani jednego grzechu przed konfesjonałem. I co z tego? Do nieba coraz dalej.

Wiedziony instynktem podniósł się szybko i skoczył w krzaki. Po drugiej stronie torów biegła mała.

— Wujciu Karolu, nie chowaj się, wiem, że tam jesteś!

Leżał bez ruchu, słyszał tylko swoje serce. Stukało głucho, przyśpieszało, czuł je w krtani i skroniach.

— Znajdę cię sama, tylko się raz odezwij!

Zapłakała nagle. Karol podniósł głowę. Stała na samym brzegu głębokiego przekopu, po dnie pełzał długi pociąg towarowy.

— Nie kocham cię, już, jak taki jesteś.

Zasłoniła twarz rękami, odwróciła się i pobiegła w stronę starego osiedla. Karol wstał i powlókł się pustą aleją w stronę miasta. Nie był szczęśliwy ani bogaty, nie był także ani kochany ani znienawidzony, tylko po prostu już nikomu niepotrzebny. Do Budziszów powrócić nie mógł, chyba tylko nocą, kiedy mała śpi, żeby zabrać swój dobytek. Gdzie zabrać? Czy jest sens pozostawania w mieście bez możliwości ukończenia studiów? Lepiej wyprawić się na Ziemie Zachodnie, wołają o ludzi energicznych, z sercem do pracy. Można tam urządzić się ładnie, mieszkać w skanalizowanym domu, może willi, nie to co tu w mieście cuchnącym latem. Jaki w takim razie wybrać sobie kostium pioniera? Opuścił park prawie spasjonowany nowymi możliwościami. Nauczyć się rolnictwa? Można, dlaczego nie, po co jednak siać żytko i owiesek, kiedy można uprawiać zawsze poszukiwane warzywa? Tak się teraz zostaje szybko półmilionerem. Po co jednak babrać się w ziemi, podlewać, nawozić, chronić przed mrozami, kiedy można założyć fabryczkę, byle tylko robotników nie było więcej niż pięćdziesięciu, od tej liczby zaczyna się kapitalizm, no i produkować lusterka, guziki, paski do spodni, klamerki, nylonowe bluzeczki, klipsy, krawaty, suknie ślubne, wszystko o czym przemysł państwowy nie pamięta. Szedł wolno ulicą Narutowicza prawie pewien, że nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło. Dobrze, na przykład idą nutrie, norki, nie mówiąc już o lisach.

— Cześć kolego!

Karol obudził się.

— Cześć, ale nie mów do mnie kolego, najlepiej milcz jak do mnie mówisz.

— Nie jesteśmy kolegami?

— Nie.

— No to będziemy, ja ci to mówię.

Lapassjonaria stał przed budynkiem rektoratu i rozglądał się wokoło tak, jakby akurat z tego miejsca widać było cały świat.

— Nie będziemy, ja ci to mówię.

— Wiesz sam, że nie masz innego wyjścia, kolego Żesławski to ważna jedyna szansa, inaczej nie ukończycie studiów. Ładnie to powiedziałem prawda?

— Brzydko, bardzo brzydko, a co do szansy to jeszcze zobaczymy.

— Na początek postaraj się dowiedzieć, co za strajk szykuje Falanster pod Zieloną Koniczyną.

— Żegnam cię ozięble z dużą domieszką pogardy!

Lapassjonaria wyciągnął z kieszeni paczkę amerykańskich cameli i uprzejmym gestem zapraszał. Karol odszedł dwa kroki.

— To są te papierosy, które zabieracie najbiedniejszym studentom, ładnie to powiedziałem?

Strzał był celny, Lapassjonaria przewodniczył komisji, która zajmowała się rozdziałem paczek amerykańskich z żywnością i papierosami pośród studentów.

— Odbeczysz za to posądzenie.

— Świetnie, akurat zabiera mi się na płacz.

Karol poszedł dalej w stronę głównej ulicy. Po drodze zmienił zdanie, postanowił zostać starostą na zachodzie kraju.

V.

— Człowieku, żeby ty miał teraz tyle złotówek, tyle tych marnych złotówek, ile przy mnie otworzono butelek, byłbyś bogaty. Ale nawet od bogatych falanster pieniędzy nie bierze, bo ma swoje, kapujesz?

Rys. Janusz Szymański-Glanc

POLOWANIA EGZOTYCZNE

Warto przeczytać opowiadania Kamila Giżyckiego, zawarte w tomie „Polowania egzotyczne", warto również i trzeba przeczytać posłowie Zbigniewa Kubikowskiego, który opowiada o barwnym życiu Giżyckiego. Cóż to za życiorys! Urodzony w roku 1893, po raz pierwszy uciekł z domu w wieku lat sześciu, aby samotnie żyć w lesie. Po trzech dniach odnalazł go pies. Jedenastoletni już Kamil Giżycki po raz drugi opuszcza domowe pielesze i tym razem dociera do... Marsylii, gdzie odszukał statek, na którym pływał jego kuzyn. W tym momencie rodzina powinna się już była zorientować, że młody człowiek ma ogromne ciągoty podróżnicze i w domu nie usiedzi. Wbrew jej zaleceniom, zamiast studiować prawo, Giżycki wyjeżdża do Monachium na studia techniczne. Podczas I wojny światowej los zetknął go z legendarnym baronem Ungernem i Ferdynandem Antonim Ossendowskim. Poznanie Ossendowskiego zadecydowało o dalszym życiu Giżyckiego, choć, gwoli ścisłości, trzeba dodać, że po rozbiciu wojsk „krwawego barona", jak nazywano Ungerna, Giżycki przez jakiś czas był instruktorem technicznym w mandżurskiej armii marszałka Czang-Tso-Lina, drukował w gazetach chińskich, a potem w Japonii budował fabrykę. Po powrocie do Polski zetknął się znów z Ossendowskim, który organizował akurat wyprawę do Afryki Zachodniej i zaprosił do swojej ekspedycji Kamila Giżyckiego. Tak się zaczęła jego wielka przygoda z Afryką.

Książka „Polowania egzotyczne" to zbiór opowiadań afrykańskich Giżyckiego, ciekawie, dobrze napisanych, w sumie atrakcyjnych dla czytelnika. Pierwsze jej wydanie ukazało się w roku 1927, po powrocie autora z jego pierwszej wyprawy do Afryki. Bo oczywiście nie była to podróż jedyna. I trzeba przyznać rację autorowi posłowia, kiedy powiada, szkoda, że Giżycki nie zostawił po sobie pamiętników. Kto wie, czy nie byłaby to jego najciekawsza książka.

Kamil Giżycki — „Polowania egzotyczne". Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo, Wrocław 1977, str. 227, cena zł 35,—

ŚNIADANIE MISTRZÓW...

Twórczość Kurta Vonneguta polscy czytelnicy znają choćby z „Rzeźni numer pięć" czy „Kociej kołyski". Ten amerykański pisarz, popularny przede wszystkim w tamtejszych kręgach uniwersyteckich, tym razem prezentuje nam swoją kolejną powieść o długim tytule „Śniadanie mistrzów, czyli żegnaj, czarny poniedziałku". Akcja tej powieści rozgrywa się współcześnie w USA a jej bohaterami są Kilgore Trout i Dwayne Hoover. Pierwszy to autor utworów fantastyczno-naukowych drugi: sprzedawca „Pontiaków". Vonnegut zajmuje się w swojej powieści bolączkami nękającymi współczesne społeczeństwo, a robi to z właściwym sobie humorem i dystansem. W przedmowie do „Śniadania mistrzów..." tak pisze: „Książka ta jest moim prezentem dla siebie samego na pięćdziesiąte urodziny. Czuję się tak, jakbym stanął na kalenicy stromego dachu — po wdrapaniu się na jedno jego zbocze. Zostałem tak zaprogramowany, aby w wieku lat pięćdziesięciu zachowywać się dziecinnie: obrażać Gwiaździsty Sztandar, bazgrać flamastrem flagi hitlerowskie, dziury w zadku i różne inne rzeczy. Aby dać pojęcie o dojrzałości moich ilustracji do tej książki oto rysunek dziury w zadku...".

I rzeczywiście oglądamy rysunek dziury w zadku, obok zresztą wielu innych, zabawnych rysuneczków, którymi Vonnegut zilustrował swoją powieść.

Książka ukazała się w Serii Współczesnej Prozy Światowej.

Kurt Vonnegut, Jr. — „Śniadanie mistrzów, czyli żegnaj czarny poniedziałku", przełożył L. Jęczmyk, PIW, W-wa 1977, str. 364, cena zł 35,—

SIEDEM FANTASTYCZNYCH OPOWIEŚCI

Tytuł tej książki może mylić, nie jest to bowiem siedem opowieści science fiction, jest to po prostu proza duńskiej pisarki Karen Blixen (1885—1962), zaliczanej nie tylko do najlepszych nowelistów w swoim kraju, ale uważanej także za największą duńską pisarkę XX wieku. Wokół jej osoby narosła legenda. Sama zresztą pisarka lubiła podtrzymywać tajemniczość otaczającą jej osobę. Była baronową, dwadzieścia lat spędziła samotnie na swojej plantacji kawy w Afryce, pisywała pod pseudonimami, wreszcie jej światowy debiut wypadł dość późno, bo dopiero wtedy, kiedy Karen Blixen liczyła sobie czterdzieści dziewięć lat.

„Siedem fantastycznych opowieści" pisała autorka podczas swojego pobytu w Afryce, w okresie, który sama uważała za najszczęśliwszy. Z jej notatników wynika, że pisane były na przemian: po duńsku i po angielsku. Całość ukazała się jednak w języku angielskim i została wydana w roku 1934 w Stanach Zjednoczonych pod pseudonimem Isak Dinsen. Książka stała się bestsellerem, dość długo jednak czytelnicy nie wiedzieli, kto jest naprawdę jej autorem. I dopiero w 1937 roku, z okazji publikacji następnej, znakomitej książki „Pożegnania z Afryką" (wydanie polskie — 1962 r.) wydawca ujawnił autorstwo Karen Blixen.

„Siedem fantastycznych opowieści" to siedem historii ludzkich losów, historii pełnych zadumy, życzliwości, nie pozbawionych jednak ironii. Chronologia w utworach Karen Blixen nie jest rzeczą najważniejszą. Istotniejsze od kolejności jest stopniowanie nastroju. Teraźniejszość jest tu przemieszana z epokami dawniejszymi, wątki wzajemnie się zazębiają i przenikają, mistrzowska narracja powinna podbić nawet najwybredniejszego czytelnika.

„Siedem fantastycznych opowieści" ukazało się w poznańskiej Serii Dzieł Pisarzy Skandynawskich.

Karen Blixen — „Siedem fantastycznych opowieści", przełożył F. Jaszuński, Wyd. Poznańskie, Poznań 1977, str. 447, cena zł 70,—

CZYŻ NIE DOBIJA SIĘ KONI?

Znamy oczywiście ten tytuł, bowiem i na nasze ekrany dotarł film zrealizowany w roku 1969 przez Sydneya Pollacka. Film był ekranizacją powieści, której autor nazywał się Horace McCoy i związany był z Hollywoodem. McCoy urodził się w roku 1897, w czasie pierwszej wojny światowej był pilotem, został dwukrotnie ranny i odznaczony Croix de Guerre. Pracował później jako komiwojażer, reporter, aktor, redaktor. Pisał również opowiadania, które ukazywały się w czasopismach wydawanych na zachodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. To właśnie utorowało mu drogę do filmu. Zaczął pisać scenariusze filmowe i do końca życia — zmarł w roku 1955 — napisał ich blisko siedemdziesiąt. Napisał również pięć powieści. Powstała w latach 1932—1933 powieść „Czyż nie dobija się koni?" była pierwszą z owych pięciu i od razu zdobyła sobie uznanie krytyków amerykańskich, choć wśród czytelników była prawie nie znana. Wydana w kilka lat później w Europie, wzbudziła wielkie zainteresowanie, a Malraux, Gide i Sartre uznali ją za pierwszą amerykańską powieść egzystencjalną, stawiając jej autora w rzędzie najwybitniejszych pisarzy amerykańskich.

Mamy obecnie możliwość nie tylko skorygowania tych opinii, ale i porównania filmu z powieścią, która była pierwowzorem. Tym bardziej, że czyta się ją znakomicie.

Horace McCoy — „Czyż nie dobija się koni?", przełożyła Z. Zinserling, PIW, W-wa 1977, str. 121, cena zł 20,—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

MIASTO I WIERSZ

To miasto od zarania miało poetów, którzy je kochali i żyli tu, poświęcając Łodzi swoje wiersze. Z miłością wzajemną bywało różnie, ale to przecież nie najważniejsze. Nie kocha się wszak za coś, kocha się mimo wszystko.

W poezji łódzkiej mamy sztandarową postać, przypominaną aż do znudzenia, choć mało kto czytał jego wiersze. Myślę o autorze „Z mroku i dymu" — **Arturze Gliszczyńskim**. Ale przecież Gliszczyński opuścił to miasto z gorzkim doświadczeniem, z uczuciem rozczarowania, choć przecie poświęcił Łodzi najpiękniejszy czas swojej młodości.

Ale od niego — dziś to wiemy na pewno i dziś to doceniamy — rozpoczął się poetycki zapis dziejów i spraw tego miasta. Dziś antologia wierszy o Łodzi jest potężnym tomem czekającym na wydanie. Dzięki dotacji Ministra Kultury i Sztuki owa pomnikowa antologia niebawem trafi do księgarń.

Pozwoliłem sobie na ów historyczny wstęp, bo oto leży przede mną tomik pt. **„Miasto i wiersz" Romana Gorzelskiego**, publikacja współczesna, ale przecież w jakiś sposób wypływająca z owego łódzkiego nurtu poezji.

A nurt ten jest niezwykle interesujący, bogaty i wartki. Pisał o Łodzi **Julian Tuwim** — drugie sztandarowe nazwisko w literackiej tradycji miasta. Wbrew pozorom Tuwim o Łodzi pisał mało, choć swoje przywiązanie do miasta demonstrował bardzo często. Ale oddalenie, emigracja w dalekim Rio de Janeiro, wyzwoliła w poecie obrazy dzieciństwa i młodości i powstały **„Kwiaty polskie"** — jeden z piękniejszych poematów.

Ambicje historyczne miał również Gorzelski. Może więc nieprzypadkowo wydawca jego tomu wierszy jest Stowarzyszenie Historyków Sztuki i Biuro Badań i Dokumentacji Zabytków. Te współczesne wiersze poety lat siedemdziesiątych ilustrują dziewiętnastowieczne ryciny i ten mariaż jest jak najbardziej udany. Duża w tym zasługa **Ryszarda Kuby-Grzybowskiego**, który tomik Gorzelskiego opracował plastycznie łącząc wiersze z ikonograficznym zapisem starej Łodzi.

Dla historycznej ścisłości, lecz bez komentarzy, przypomnę jeszcze, że cykl łódzkich wierszy Romana Gorzelskiego „Miasto i wiersz" otrzymał pierwszą nagrodę w Warszawie, tzw. „Nike Warszawska — 1969".

Mnie w tej poezji najbardziej urzeka znakomite połączenie „historyczności" tematu z bardzo osobistą, intymną tonacją. W takich choćby wierszach, jak „O zmierzchu", „Genealogia łódzkiego tkacza", „Stara fabryka"... Ale nie jest to tylko ton zamyślenia i refleksji nad przeszłością.

Pisze Gorzelski:

„Łodzią było to miasto na wyschniętej rzece
ósmym grzechem było,
ósmym cudem świata,
dopiero teraz jest tu ziemia obiecana
źródło nieba kiełkuje z rozsypanej tęczy".

Jest w tym tomie sonet o Teatrze Nowym — największym zjawisku artystycznym ostatnich dziesięcioleci, jest poetycki reportaż z ulicy Piotrkowskiej, gdzie:

„w pamięci krąży biel kruchego dnia
rozszerzają się i gasną plamy reklam
wylatują z lamp promienie..."

Miasto i wiersz. To miasto po stokroć godne poematów...

WIDOK

LEWYM OKIEM

WICEHRABIA PRZEPOŁOWIONY

Gdzie się kończą żarty? — zapytywał niedawno Widok na łamach naszego pisma, przytaczając przykłady wiadomości tak nieprawdopodobnych, że aż budzących wątpliwości — właśnie takie: czy autorzy żartują sobie z nas, robią z czytelnika balona, wpędzają go w maliny?

Raz podaje prasa o zdolnym kompozytorze, który rzuca wszystko i siedząc w szałasie na Azorach gra na fujarce ptakom. Kiedy indziej „Kultura" donosi o japońskim uczonym, który zapisuje sny wielu ludzi i stwierdza, że odpowiadają one autentycznym zdarzeniom sprzed paruset lat, skąd wniosek, że ci którym się owe sny przyśniły musieli już kiedyś żyć na tym świecie. To znowu Urban w „Polityce" relacjonuje otwarcie w Warszawie kasyna gry w ruletę. Japończyka i kasyno rozeznaliśmy jako żarty primaaprilisowe i tylko prasowa agencja zachodnioniemiecka dała się nabrać, powtarzając serio wiadomość o warszawskiej ruletce. O kompozytorze z fujarką sprawa trudniejsza. Nie mniej trudna — z artykułem w „Przekroju" o tym, jak uruchomić drugą półkulę mózgu.

Czytamy mianowicie, że nawet najwięksi geniusze ludzkości pracowali tylko połową swego mózgu, czego koronnym dowodem ma być fakt, że pisali tylko jedną ręką, przeważnie prawą. Prawą rękę prowadzi lewa półkula, prawa tymczasem nic nie robi i marnuje się. Uczony, który tę teorię rzekomo głosi, radzi uczyć się jednoczesnego pisania obiema rękami, i to każda ręka co innego. Dopiero wtedy zmusza się do myślenia obie półkule mózgu. O ileż wydajniejsza będzie umysłowa działalność człowieka, gdy z półgłówka stanie się nareszcie całym głowaczem! Szkoda, że przeoczono jeszcze takie drobiazgi: pisząc jednocześnie dwa teksty zmuszałoby się nie tylko dwie półkule do dwóch różnych a jednoczesnych procesów myślowych; przecież każde oko musiałoby śledzić i kontrolować co innego, każda ręka inaczej się poruszać. Inna musiałaby być pozycja piszącego, inna, podwójna i dwojaka, praca wszystkich mięśni i nerwów. Czy nie prościej wreszcie przepołowić faceta, jak tego wicehrabiego z powieści Italo Calwino, i mieć nareszcie ową upragnioną wydajność pracy?

Szerząca się moda czy manierа hiper super „intelektualnej" przekory wielu naszych publicystów i felietonistów naprawdę doprowadziła do tego, że zaczynamy wszędzie podejrzewać lipę, branie na fundusz, zgrywę i małpi grymas. Z tekstu podanego w takiej konwencji najłatwiej się wycofać wyśliznąć, wykpić: przecież ja tego serio nie mówiłem! No — mówcie wyraźniej, co dla was jest serio, a co nie. Inaczej zaczniemy się śmiać z najpoważniejszych spraw, biorąc je za jeszcze jeden kawał trefnisia.

Zdaje się, że poważnie pisze się ostatnio tylko o jednym, niezmiernie pryncypialnym zjawisku: o piosence. Każdy, kto o niej pisze, uważa za potrzebne odciąć się od legionu niefachowców, którzy zabierali głos przed nim. Wyśmiewa zwroty i terminy tych niefachowców, aby jednym tchem posłużyć się terminami i zwrotami tymi samymi, tą samą stylistyką, oczywiście — naszpikowana do niestrawności angielszczyzną. Nie znajdziecie najmarniejszej recenzyjki o piosenkarzu (z jakiegoś tam kraju) bez „longplayów" „singlów", „dyskotekowego soulu", „bestsellerów" i „rock-jazzów". Gdyby ukazało się u nas takie prawo, jak we Francji, gdzie za każde zbędne użycie obcojęzycznego słowa płaci się grzywnę, to już same „bestsellery" zamiast „przebojów" przyniosłyby niezłe sumy na budowę nowych bibliotek.

Używa się angielszczyzny, jak gdyby ona dopiero nadawała tekstowi cechę „fachowości". Używa się też mnóstwa mądrych słów dla samego erudycyjnego, trochę śmiesznego prestiżu. Czytam na przykład tak: „Artysta najtańsze nawet komplementy, płaskie jak pierś chłopczycy, połyka sprawnie jak kaczka kluski mlaskając z zadowoleniem nad pikantnym smakiem swego autentycznego talentu. Stan ciągłej ataraksji nie powinien więc doprowadzić do depresji".

Mniejsza już o ciężkawą barokowość tego zdania, a także zdań sąsiednich, gdzie znajdujemy jeszcze Einsteina, Choderlos de Laclos, Randalla Jarella, Georges'a Buffona i Beethowena, a wszystko w związku z piosenką. Ale co z tą ataraksją? Ataraksja to obojętność mędrca, który ma już za sobą egzaltacje, wzruszenia, nawet zainteresowania czymkolwiek. To stan, do którego po długim życiu mieli dochodzić stoicy. Co ten termin robi w cytowanym kontekście?

Czegoś tu nie rozumiem. Ale kto wie, może autor właśnie chciał tak sobie zakpić z niedość inteligentnego czytelnika? Może przeczyta to i uśmieje się z Ćwieka?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

MILION, ILE TO JEST?

Na znajomym skwerku, gdzie był wydeptany róg — bo wiadomo, że ludzie uparcie dążą do upraszczania wszystkiego — pojawiła się nowa, młodziutka trawa oraz napis na deseczce: „Depczesz miliony". Jest to skrót niemal piramidalny, ale dokładnie czytelny. Każdy wie, o co chodzi. Depcząc trawę, depczesz miliony, jakie wydaje się na jej zasiewanie. Bo przecież takich wydeptanych rogów na różnych skwerkach jest więcej.

W sprawie trawy mam stosunek od dawna ustalony, a wyraża się on tym, że trawa jest dla ludzi, a nie ludzie dla trawy. Konsekwencją takiego poglądu jest zgoda na to, kiedy dzieci z wielkiego bloku ganiają po trawnikach, bo po czym mają ganiać, po betonowych czy asfaltowych alejkach? Po wysypanym żwirem placyku przeznaczonym dla zabawy? Ale dla wielu ludzi dzieci biegające po trawie stanowią naruszenie ustalonego porządku, z którego wynika, że trawa jest nietykalna. A sprawa jest prosta. Nasza trawa jest najczęściej bardzo młoda i bardzo nietrwała. Ale też i nasze osiedla są młode. To prawda, że na tych osiedlach jest wiele słonecznej przestrzeni, że dzieci wychowujące się na tych osiedlach nie będą nawet potrafiły sobie wyobrazić, co to były podwórka studnie i co to w ogóle były podwórka, stanowiące przestrzeń zawartą między śmietnikiem a bramą, ze wszech stron ograniczoną, ciasną i ponurą.

Urządzanie nowych osiedli kosztuje miliony i ludzie depczą po tych milionach. To też prawda. Kiedy więc propagandysta odwołuje się do wyobraźni odbiorcy, podsuwając mu finansowe skojarzenia, to tylko dobrze świadczy o propagandyście, że szuka nowych rozwiązań, a nie trzyma się kurczowo nakazu: „Nie deptać trawników!", „Szanuj zieleń". Te stare nakazy, powtarzane od lat, dawno się już zdewaluowały, a poza tym mało kto lubi, gdy mu się coś każe lub zabrania. Znacznie łatwiej przyswaja sobie prośbę, sugestię, abstrakcyjne nawet skojarzenie. Bo w gruncie rzeczy „deptanie milionów" jest abstrakcją. A poza tym jest w tym jakiś cień szantażu.

W Suchej Wsi pod Radomskiem pewien rolnik też mówił o milionach. Konkretnie chodziło o 2 miliony złotych, gdyż — jak ponoć słyszał — tyle kosztowało naprawianie drogi łączącej wieś z Radomskiem. Sucha Wieś leży zaledwie 5 km od Radomska i ma wszelkie szanse na to, aby już w niedalekiej przyszłości stać się radomszczańskim przedmieściem. Zimą naprawiano drogę łączącą Suchą Wieś z Radomskiem, ale prace przerwano w połowie i teraz wszystko, co zrobiono niszczeje. Kiedy więc rolnik z Suchej Wsi na spotkaniu w Klubie „Ruchu" mówi, że marnuje się 2 miliony złotych, to nie jest to żadna abstrakcja, tylko troska o konkretnie wydane pieniądze i to społeczne pieniądze, które marnuje się na skutek przerwania prac. W jego przekonaniu społecznie bardziej opłaciłoby się dokończenie tych prac, nawet gdyby trzeba było wydać na ten cel więcej pieniędzy. Drogę trzeba będzie zbudować i tak, ale wtedy do kosztu niedokończonych prac dołoży się koszt robót rozpoczynanych od nowa. Dla człowieka myślącego racjonalnie i — jak to zwykliśmy określać — po gospodarsku jest to ewidentne marnotrawstwo. Konkretne, codziennie oglądane. Denerwujące.

Epatowanie milionami jest bardzo modne. Ale milion złotych jest to suma pieniędzy, którą nikt nie potrafi sobie wyobrazić. Wiadomo, że jest tego bardzo dużo. W Totolotku też gra się o milion, ale wygrywa się najczęściej kilka setek najwyżej, jeśli w ogóle się wygrywa. Operowanie milionowymi sumami nie zawsze jednak wywołuje oczekiwany skutek, gdyż nie zawsze znajduje się dla nich punkt odniesienia. Jeśli na przykład dyrektor jakiegoś przedsiębiorstwa mówi mi, że inwestycja kosztuje 20 milionów złotych, to nie wiem, czy to jest dużo, czy mało. W ogóle to jest bardzo dużo. Ale w porównaniu do kosztów inwestycji jego sąsiada, który na ten cel wydał 80 milionów złotych, to jest mało. A jak to ma się do potrzeb inwestycyjnych tego przedsiębiorstwa?

Byłem kiedyś na spotkaniu z wysokim działaczem gospodarczym, który mówiąc o sprawach rynku powiedział, że w jakimś tam działe nie bilansują się 2 miliardy złotych, ale to nie jest żaden problem. Oświadczenie to nie wywarło na mnie żadnego wrażenia, na innych słuchaczach podobnie, gdyż rozumiem, że w skali całej gospodarki operuje się jeszcze większymi wielkościami i nie ma w tym niczego nadnaturalnego. Pod warunkiem, że nie zacznę miliardów porównywać z moim rocznym budżetem, wtedy bowiem można dostać zawrotu głowy i popaść w chroniczną nerwicę.

W propagandzie — na szczęście — coraz częściej odchodzi się od abstrakcji i zmierza się w kierunku konkretu, w kierunku pojęć porównywalnych. Na przykład wielkość produkcji Huty Katowice pokazywano w porównaniu do tego, co można będzie zrobić z otrzymywanej tam stali. I to silniej przemawia do wyobraźni odbiorcy. Nie znaczy to wcale, że powinniśmy całkowicie zrezygnować z pokazywania wielkości kosztów różnych przedsięwzięć ale warto pamiętać, że abstrakcyjny milion silniej przemówi do wyobraźni, jeśli uzmysłowimy adresatowi również jego wymierną wartość, jeśli przeliczymy go na konkrety. Na przykład w wypadku opóźnień i strat budownictwa, jeśli pokażemy te straty nie według ich wartości, ale według tego, co można byłoby w zamian zbudować. Inaczej, nie ile straciliśmy milionów złotych, ale ile mniej mieszkań, żłobków, przedszkoli, sklepów czy punktów usługowych zostało zbudowanych.

MARCIN RODAK

P.S. W felietonie „Do rzeczy, panowie!" dwukrotnie wkradł się błąd do nazwiska Pawła Tomczaka, za co serdecznie przepraszam.
M.R.

magazyn

JAN JANISZEWSKI

DZIENNIKARKI Z HOLLYWOOD

Śniadaniu w Hollywood towarzyszyło we wszystkich sferach łapczywe przeglądanie artykułów **Louelli Parsons i Heddy Hopper.** Zainteresowania nie osłabiał fakt wszystkim znany, że wytwórnie płaciły olbrzymie sumy swym agentom prasowym za kłamstwo i sensację, które z kolei przekazywali Louelli i Heddzie. Czytelnicy czytali z zainteresowaniem wytwory ich fantazji, a nawet często wierzyli w autentyczność nowinek.

Louella, niska, tęga, nie dbająca o wygląd zewnętrzny, uśmiechnięta, trzykrotnie zamężna. Od najwcześniejszych lat swego życia była gwiazdą — reporterką w imperium **W. R. Hearsta.** Jej macierzystą redakcją był **„Los Angeles Examiner".**

Hedda wystąpiła później na scenie prasowej. Była wysoka, smukła, elegancka. Swym szybkim głosem staccato raczej żądała odpowiedzi niż stawiała pytania. Początkowo była chórzystką, z kolei awansowała na aktorkę Broadwayu i filmu. W średnim już wieku zajęła się dziennikarstwem. Macierzystą jej redakcją był **„Los Angeles Times".**

Hedda i Louella stanowiły nieprawdopodobną parę stale rywalizujących z sobą dziennikarek. Miały tylko jedną wspólną cechę — wzajemny wstręt.

O związaniu się Louelli z W. R. Hearstem głosi szeroko znana opowieść. Otóż król prasowy zorganizował na swoim jachcie „Oneida" podróż morską. Na pokładzie znajdowali się między innymi Louella i producent filmowy, **Thomas Ince.** Kiedy jacht był na pełnym morzu, Hearst, wchodząc do kabiny swojej przyjaciółki, **Marion Davies,** zastał ją nagą, z pasją okładającą leżącego na podłodze Ince'a. Wzburzony Hearst zastrzelił go, a ciało wyrzucił za burtę. Louelle rzekomo widziała tę scenę, a za zachowanie tajemnicy Hearst zapewnił jej pracę do końca życia.

W opowieści tej istnieją dwie nieścisłości. Po pierwsze Ince, cierpiący na żołądek, zszedł z jachtu w San Diego, udał się stąd pociągiem do Los Angeles i w dwa dni później zmarł tam na atak serca. Po drugie: Louella Parsons nie brała udziału w podróży jachtem, a karierę zawdzięczała po prostu swym zdolnościom dziennikarskim.

Heddę wprowadziła do Hearsta jej przyjaciółka, znana z piękności i talentu pisarka **Francis Marion.** Podczas przyjęcia u króla prasowego, w jego rancho w San Simeon, Hedda poznała Eleanor Patterson, publicystkę z „Washington Post", która ujęta jej pikantnymi spostrzeżeniami, zaproponowała tygodniowy felieton, a z kolei w dwa lata później, w 1937 roku, zaangażował ją **„Los Angeles Times".** Na scenie Hollywoodu ukazała się więc druga gwiazda prasowa, a w niedługim czasie jej artykuły o stolicy filmu rozchodziły się w całym świecie.

Ukazanie się potężnej rywalki Louelli skomplikowało sytuację ludzi łaknących i żyjących z reklamy. Jak bowiem można było przekazać jakąś informację jednej z nich, nie narażając się drugiej? Wydać się może nieprawdopodobne, ale w mieście o instynkcie stada i nasileniu niepewności, jeśli jedna z tych pań wyraziła się o aktorce lub aktorze, że jest „niebezpieczny", wówczas zamykały się przed nim bramy wytwórni.

Hedda była nieprzenikniona i bezwzględna, a w zaciekłości politycznej osławiony senator Mac Carthy był w porównaniu z nią niegroźnym chłopcem.

Louella była dobroduszna, w dobry nastrój wprawiał ją niekiedy bukiet róż, ale niepewna. Często sugerowała się ostatnim głosem w wydawaniu opinii. Popełniała wiele błędów. Gdy Louella przeprowadzała wywiady, przyjmowała rozmówców w komfortowej willi w **Maple Drive** i podejmowała ich najstarszym środkiem rozwiązującym języki — ginem lub whisky i dzielnie dotrzymywała towarzystwa.

Hedda stosowała tę samą taktykę, ale raczyła się rozwodnionym tonikiem. Była purytanką i z zaciekłością atakowała nawet tylko podejrzanych o skazę w życiorysie. Do furii doprowadziła **Joe Cottena** i jego żonę Leonorę, kiedy grubymi czcionkami ukazała się jej notatka w prasie, jakoby Joe został przychwycony przez patrol straży przybrzeża z kilkunastoletnią **Deanną Durbin** na tylnym siedzeniu w jego samochodzie. Dodatkowy zaś szczegół, że Deanna miała szeroko rozłożone nogi, stanowił chyba dostateczną pointę nawet dla niewyrobionego czytelnika.

Joe Cotten, typowy gentleman z Wirginii, ostrzegł Heddę, że jeśli kiedykolwiek w życiu napisze o nim choćby linijkę, to poczęstuje ją kopniakiem w d... Pewna siebie Hedda zajęła się znów na łamach gazety Cottenem, a on urzeczywistnił swoją obietnicę, w chwili, kiedy dziennikarka wchodziła na „party" do wspólnych znajomych.

Wkrótce po zakończeniu II wojny światowej Hedda wydała książkę pod tytułem „To tylko prawda", która pociągnęła za sobą szereg spraw sądowych. Między innymi napisała: **„Zawezwałam do siebie Elizabeth Taylor, aby wyperswadować jej zamiar małżeństwa z Michałem Wildingiem, ale nie tylko dlatego, że jest za stary dla niej, lecz oddaje się homoseksualizmowi ze Stewartem Grangerem".** Ponadto, zarzuciła M. Wildingowi, że wyrzucono go z brytyjskiej marynarki za homoseksualizm. Sprostowałem te brednie i opowiedziałem jej o chlubnej służbie Michała w marynarce. Nie chciała mi dać wiary. Ale sąd był innego zdania — ukarał Heddę i wydawcę grzywną w wysokości trzech milionów dolarów i odwołaniem oszczerstwa.

Obydwie te panie zbudowane były z niezwykle mocnego surowca. Wykazywały się tytaniczną wprost pracą: codziennie ukazywały się ich artykuły, a w niedzielę obszerny materiał publicystyczny. Prawda, że zatrudniały wielu informatorów, którzy znosili im informacje, ale w premierach filmów i ważniejszych wydarzeniach towarzyskich brały udział osobiście. Godzinami dziennie posługiwały się telefonem, selekcjonowały materiały, śledziły i opracowywały informacje. Informatorzy ich pracowali w restauracjach, instytutach piękności, burdelach, studiach, szpitalach.

Przed rozpoczęciem produkcji niemal każdego filmu angażowały swych wywiadowców. Nie gardziły szantażem i presją. Wszyscy obawiali się telefonu z poleceniem: „Proszę zadzwonić natychmiast do pani Parsons (lub pani Hopper). Lepiej było natychmiast się zgłosić, gdyż wtedy można było jeszcze wstrzymać jakąś nieprawdziwą, szkodliwą informację. Oto przykład rozmowy telefonicznej.

Dziennikarz: Kim była dziewczyna, którą pan pieścił w małym barze w San Fernando Valley dziś o trzeciej rano?

Aktor: Byłem z matką.

Dziennikarz: Był pan z Gertie Gebberth. Przypuszczam, że zawiadomił pan jej męża o tym, że pozostanie dłużej w pracy?

Aktor: Tak, tak, zaraz po zakończeniu pracy udaliśmy się na jednego drinka do baru.

Dziennikarz: Otrzymałam informację, że pieścił pan jej piersi.

Aktor: Wypadły z biustonosza i pomagałem jej po prostu umieścić je na właściwym miejscu.

Dziennikarz: Bzdura!... ale nie napiszę o tym, nie chcę panu sprawiać przykrości.

Aktor: Pani jest wspaniała.

Dziennikarz: Czy ma pan dla mnie jakieś wiadomości?

Aktor: Niestety, w tej chwili nie.

Dziennikarz: To niech pan, kochanie, zadzwoni, jak się coś znajdzie.

Obydwie miały swych faworytów, którzy otrzymywali pochwały za aparycję, talent, uprzejmość, a nawet za prowadzenie dobrej kuchni, ale biada każdemu, kiedy się łaska odwróciła. Wówczas miliony czytelników dowiadywały się, że pan X jest zerem. Niekiedy, kiedy ich poglądy się różniły, aktor zyskiwał na reklamie, gdy jedna zrzucała go z piedestału, a druga windowała na szczyty.

Zazdrością zawodową, jako byłej aktorki, można wytłumaczyć u Heddy, że nie doceniała twórczych talentów, natomiast Louella bez wewnętrznych motywów szydziła i wydrwiwała takie wielkości ekranu, jak **Gretę Garbo, Audrey Hepburn, Laurence Oliviera, Marlona Brando,** szczególnym zaś przedmiotem jej ataków był **Orson Welles.**

Kiedy Louella stwierdziła, że **„Obywatel Kane"** jest modelowany na jej bossie **W. R. Hearst'cie** i **Marion Davies,** biczowała Wellesa przy każdej okazji. Oskarżyła go o dekowanie się od służby wojskowej, uwodzenie **Rity Hayworth,** kiedy **Victor Mature** odbywał służbę w Gwardii Wybrzeża oraz uchylanie się od podatków, kiedy kręcił filmy w Europie.

Natomiast Hedda przez wiele lat wylewała żółć na **Chaplina.** Szczuła na niego w prasie za wyznawanie liberalnych poglądów politycznych, podburzała opinię, zarzucając mu pozostawanie przy obywatelstwie brytyjskim, chociaż fortunę zdobył w USA. Największe oburzenie wywołał u niej zamiar poślubienia przez Charliego osiemnastoletniej córki **E. O'Neilla, Oony.** Wielki aktor zlekceważył kampanię Heddy, a notatkę o ślubie swym z dziewczyną młodszą od niego o trzydzieści sześć lat zamieścił w gazecie macierzystej Louelli.

Foto: Archiwum

FELIKS RAJCZAK

AFORYZMY

Bogaci duchem są najczęściej ubogimi krewnymi ubogich duchem.

✱

Pewien poeta zapisał się do grupy, by wejść do literatury.

✱

Ludzie zdolni wychodzą na wierzch nawet po śmierci.

✱

Wierzy tylko w to, co na talerzu.

✱

Co on wnosi do kultury? Legitymację związkową.

✱

Cierpienie uczy mądrości, a mądrość — spokoju ducha.

✱

Obecnie analfabeta awansował: n a u c z a.

✱

Prawda nie może być niesprawiedliwa.

✱

Jest czasem potrzebny im jako nazwisko.

WYPISY ŁÓDZKIE (5)

KAROL KOZŁOWSKI

Z DZIEJÓW SCENY POLSKIEJ W ŁODZI W LATACH 1844–1900

W towarzystwach, grywających w okresie czasu od roku 1878 do 1888, dali się poznać prawie wszyscy wybitniejsi polscy dramatyczni artyści np. w trupie Teksla śpiewak Bandrowski, Zapolska, Bolesławski, w trupie Trapszy jego cała nader utalentowana rodzina, a więc Marceli Trapszo, (Milański), Stanisław Stachowicz, Irena i Tekla Trapszówny, w trupie Czartoryskiego — Różańscy, Winkler, Popławski. Trupa **Derynga** w roku 1899 zjechała do Łodzi z całym doborem artystów, a byli tam Frenkiel, Przybyłowicz, Siemaszko, Czosnowska, Pysznikówna.

W sezonie zimowym 1884 roku w trupie Teksla występowali gościnnie artyści teatrów warszawskich: Leszczyński, Ładnowski, Rychter i Anastazy Trapszo. Tymczasem Łódź coraz bardziej potężniała, wyrastała na wielkie miasto. Liczyła już nie 20.000 mieszkańców, jak wówczas gdy pierwsze towarzystwo dramatyczne w 1844 roku ją odwiedziło, jeno przeszło 300 tysięcy. Przodownicy opinii społecznej, złudzeni jej ogromem i bogactwem, zaczęli nawoływać do utworzenia stałego teatru polskiego, którego, ich zdaniem, Łódź wielka potrzebuje i mieć go powinna. A gdy się znalazł w osobie publicysty **Lucjana Kościeleckiego,** chętny do zajęcia się tą sprawą, zamożniejsi mieszkańcy, a w pierwszym rzędzie rodzina Scheiblerów, nie odmówili mu pomocy materialnej. Kościelecki w roku 1888 zorganizował towarzystwo i dnia 6 października tegoż roku zainaugurował teatr stały sztuką Zaleskiego „Małżeństwo Apfel". Do składu teatru łódzkiego należeli wówczas Winkler, Grabińka, Majdrowiczowie, Kopczewski, Jarszewski, Knapczyński, Feldman, Różański, Wyrwiczówna. Gościnnie występowali: Wisnowska, Marcello i Żelazowski. Co do wyboru repertuaru i pod względem artystycznym Kościelecki prowadził teatr bez zarzutu, lecz obojętność publiczności łódzkiej na utwory rzeczywiście wartościowe znowu zwyciężyła i Kościelecki, zrujnowany materialnie i przygnębiony moralnie z wiosną roku 1890 złożył kierownictwo teatru. Znowu atoli znalazło się kilka jednostek, rozumiejących znaczenie stałej sceny polskiej w Łodzi. Grono obywateli z rejentem Placheckim na czele, a przy nader czynnym udziale energicznego i wysoce uspołecznionego Władysława Wizbeka, zajęło się sprawami teatru. Postanowiono prowadzić teatr stały, na dyrektora powołano artystę **Karola Kopczewskiego,** ściągnięto do Łodzi Marcelego i Tekię Trapszównę, Bissen-Janowska i Morską, pozostawiając również w towarzystwie wszystkich wybitniejszych artystów towarzystwa Kościeleckiego. W tym sezonie prócz artystów warszawskich występowała dwa razy gościnnie H e l e n a M o d r z e j e w s k a, lecz pomimo to publiczność łódzka jeszcze się wzruszyć nie dała. Przerażające pustki w teatrze spowodowały, że po roku okazał się niedobór 12 tys. rubli, który został pokryty przez kilku miłośników sceny. Nie zrażony jeszcze niepowodzeniem sp. Wizbek trwając w zamiarze utrzymania stałego teatru, dopomógł **Czesławowi Janowskiemu** do objęcia dyrekcji sceny łódzkiej. Lecz p. Janowski, sam doskonały aktor, w obawie by i jego przedsięwzięcie nie poszło na marne, starał się zjednać sobie publiczność, zadowalając jej niższe upodobania estetyczne. Wystawiano więc lekką komedię, czasem operę, lecz najczęściej farsy i operetki, na które łodzianie dość często uczęszczali. Toteż p. Janowski utrzymał się przy kierownictwie teatru najdłużej, bo przeszło lat cztery, i jeżeli nie zarobił, z własnej kieszeni nie dołożył.

Po ustąpieniu Janowskiego kierownictwo teatru objął znany literat i publicysta **Michał Wołowski,** szczery miłośnik teatru, który prócz tego posiadał dużo rzutkości i zabiegliwości i umiejętnie teatrem administrował. Dobrał on sobie bardzo dobry personel teatralny, repertuar umiał urozmaicać i niejednokrotnie wyprzedzał inne sceny polskie, nie wyłączając i warszawskiej, wystawieniem wybitnych dzieł dramatycznej literatury europejskiej. W Łodzi wystawiono wcześniej niż w Warszawie „Hanusię", „Dzwon zatopiony", „Samotnych", „Kolegę Cramptona" — Hauptmanna, „Dziką kaczkę" Ibsena, trzy sztuki Rostanda, „Popychadło" Szutkiewnicza i wiele innych. Krytyka teatralna warszawska stawiała ruchliwość i świeżość repertuaru teatru łódzkiego za przykład scenie warszawskiej, i przyznawano scenie łódzkiej palmę pierwszeństwa w szeregu wszystkich scen polskich, prowincjonalnych.

Jednakże i Wołowski nie mógł się obejść bez pomocy materialnej. Podczas jego zarządu teatrem otrzymał różnymi czasy od grona miłośników sceny, z inicjatywy p. Teodora Trenkiera, około 10 tysięcy rubli. Lecz i to nie wystarczyło wobec uporczywej i niezwyciężonej obojętności publiczności łódzkiej. Wołowski stracił parę tysięcy rubli, z którymi przyjechał do Łodzi dla objęcia teatru. Nie mogąc podołać dłużej wiosną roku 1900 złożył zarząd teatru i Łódź opuścił, złamany materialnie i moralnie.

Po nim objął kierownictwo p. **Grubiński,** artysta teatrów warszawskich rządowych. Okres ten nie należy już do historii sceny łódzkiej, jako obejmujący czasy bieżące.

Do zasług śp. Wołowskiego dla sprawy teatru polskiego w Łodzi dodać należy powołanie do życia o wiele wcześniej od Warszawy, teatru ludowego, bo w lecie 1899 roku. Teatr ten przy poparciu rodziny Scheiblerów powstał w samym środowisku wielkich fabryk łódzkich, na terytorium zakładów fabrycznych Scheiblerowskich w miejscowości zwanej Księży Młyn. W sali Bauma, przy ogrodzie spacerowym, przeznaczonym na użytek robotników, urządzono prowizoryczną scenę, na której aktorzy teatru łódzkiego, nie wyłączając najwybitniejszych, grywali sztuki ludowe i mieszczańskie, a nawet przystępniejsze dla umysłów mniej inteligentnych celniejsze utwory literatury dramatycznej swojskiej i obcej. Przedstawienia te, dawane w porze popołudniowej w niedzielę i święta, po cenach niesłychanie niskich, bo od 10 do 30 kop. za miejsce, cieszyły się wielką popularnością.

Z powstaniem kuratorium trzeźwości Wołowski zorganizował na wzór Warszawy, teatr ludowy w teatrze Sellina, lecz widowiska te nie miały powodzenia.

W dziejach sceny polskiej zasługują jeszcze na ciepłą wzmiankę mianowicie ci z aktorów, którzy przeszło od lat dwudziestu, w złej czy dobrej dobie, dzielą bez przerwy jej losy stojąc wytrwale na posterunku. Do takich przede wszystkim należy p. Karol Kopczewski, aktor inteligentny, zamiłowany w swoim zawodzie, długoletni reżyser, a przez czas pewien i dyrektor sceny łódzkiej.

Kopczewski po raz pierwszy wystąpił w Łodzi w roku 1878 w towarzystwie Kremskiego i Trapszy i odtąd prawie bez przerwy na scenie łódzkiej pracuje.

Drugim z kolei aktorem, któremu słusznie należy się miano weterana sceny polskiej w Łodzi jest Marian Winkler, aktor o bardzo wybitnym talencie, popartym odpowiednim wykształceniem.

Winkler wystąpił po raz pierwszy w Łodzi w roku 1882 i odtąd był jej wiernym aż do chwili obecnej, pomimo nęcących ofert ze Lwowa, Krakowa, a nawet i Warszawy, gdzie wreszcie został zaangażowany do teatru „Nowości".

Wreszcie poczesne miejsce zajęła w dziejach sceny łódzkiej i pani Rozalia Bartoszewska, aktorka sumienna, pracowita i bardzo uzdolniona do ról charakterystycznych. Pani Bartoszewska, rozpocząwszy pracę na scenie łódzkiej za dyrekcji Kopczewskiego, do dziś dnia służy jej gorliwie, zyskując z każdym rokiem coraz większe uznanie u publiczności.

Poza tym dłuższy czas na scenie łódzkiej pracują: Karol Ceremużyński, zaangażowany w roku 1880, aktor epizodowy, bardzo dobry w rolach starych sług, i Sabina Ceremużyńska, wyróżniająca się w rolach charakterystycznych drugo- i trzecioplanowych. Karol Bartoszewski, aktor zawsze sumienny w mniejszych rolach charakterystycznych, zaangażowany w roku 1889, Wacław Gurynowicz, wyborny aktor w rolach żydów i w ogóle sumienny w rolach trzecioplanowych charakterystycznych, zaangażowany w roku 1891. Antoni Różański, aktor o bardzo wybitnym talencie, wielce pracowity i różnorodny, posiadający piękne warunki zewnętrzne i w rozwoju swego talentu wciąż idący naprzód, zaangażowany w roku 1895. Ewelina Wróblewska, aktorka do ról bohaterek, o pięknej choć trochę ostrej dykcji, bezspornie utalentowana, zaangażowana w roku 1895.

Wreszcie Józef Mielnicki, również zaangażowany w roku 1895 do ról lekkich amantów, wyborny w roli Papkina w „Zemście za mur graniczny" i w wielu innych.

W zakończeniu zaznaczyć nam jeszcze wypada, że wielu z aktorów sceny łódzkiej zajęło wybitne stanowiska na pierwszorzędnych scenach polskich.

Wybrał:
HENRYK RUDNICKI

Praca powyższa ukazała się w pamiątkowej księdze **„Scena polska w Łodzi"**, wydanej we wrześniu roku 1901 na otwarcie Teatru Polskiego, wybudowanego przy ul. Konstantynowskiej (dzisiaj Obrońców Stalingradu) przez Fryderyka Sellina.

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102. Telefony 652-44, 217-98 oraz 293-00, wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa—Książka—Ruch". Nr indeksu 26762. Zam. 991, W-11